Lovelace Merline

Szalone walentynki

Doktor Jack Merritt nie wierzył w przeczucia,wolał odwoływać się do racjonalnych argumentów.Mimo to myśl o służbowej podróży napawała go nieuzasadnioną obawą.Nie mógł jednak odmówić zaproszeniu senatora Claiborne'a.Na lotnisku w Waszyngtonie czekała na Jacka pierwsza z licznych niespodzianek - ta była przyjemna.W imieniu senatora powitała go śliczna młoda kobieta,która przykuła jego wzrok,zanim jeszcze się przedstawiła jako Angela Paretti.Następna niespodzianka była zdecydowanie przykra - samochód,którym Jack i Angela jechali do hotelu,został ostrzelany....Tak zaczęły się liczne przygody,ale ....wszystko dobre co się dobrze kończy.

PROLOG

Dzień dobry, Tiff.

- Dzień dobry, Lucy. - Tiffany Tarrington Tolouse zdjęła płaszcz, uśmiechnęła się przyjaźnie i jako niepoprawna ro-mantyczka aż westchnęła w duchu na widok rozjaśnionej twarzy koleżanki. Po powtórnym ślubie ze swoim eksmężem, Chrisem, Lucy Falco, czarnooka piękność, wręcz promieniała szczęściem. Dodatkowego posmaku temu romantycznemu wydarzeniu dodawał jeszcze fakt, że pogodzenie się byłych małżonków miało miejsce właśnie tutaj, w agencji „Podróże Guliwera" - i to w samym środku przerwy noworocznej!

Tak przynajmniej uważała Tiffany. A Lucy wciąż uśmiechała się, ilekroć przechodziła obok świeżo odremontowanej ściany, w której potrójny wybuch rzekomo bezpiecznych fajerwerków wyrwał potężną dziurę.

- Masz. - Lucy podała starszej koleżance ręcznie malowany kubek z chińskiej porcelany. - Dobrze ci zrobi, jak się napijesz gorącej herbaty.

- Dzięki!

Tiffany z wdzięcznością uśmiechnęła się do koleżanki. Jako rodowita mieszkanka Atlanty źle znosiła chłodne zimy. Dzisiaj, na przykład, w ten wyjątkowo nieprzyjemny, lutowy poranek, dotarła do pracy skostniała z zimna.

6 SZALONE WALENTYNKI

- Co cię tu sprowadza tak wcześnie? - zainteresowała się Lucy. - Myślałam, że się wybierasz na walentynkowe śniadanie z szampanem u Antoine'a.

Zalotnym gestem, właściwym kobietom w każdej epoce i w każdym wieku, Tiffany poprawiła srebrzyste loki.

- Postanowiłam dać Humphreyowi szansę, żeby mnie zaprosił na kolację z szampanem. To chyba bardziej odpowiednie dla chłopca, który właśnie skończył pięćdziesiąt jeden lat.

- Strasznie się cieszę - powiedziała Lucy, patrząc na nią promiennym wzrokiem. - Ostatnio odnoszę wrażenie, że nasza agencja zaczyna się specjalizować w organizowaniu romantycznych podróży poślubnych. Kto wie, może następną przygotujesz dla siebie?

- Może. - Uśmiech zniknął z twarzy Tiffany. - A wracając do rzeczy, przyszłam dziś wcześniej, żeby odwołać dodatkowe rezerwacje dla doktora Merritta.

- Sama widzisz! - westchnęła Lucy. - Ostrzegałam cię, że on nie będzie miał ochoty na ten walentynkowy pakiet, którym chciałaś go uszczęśliwić. Luksusowe apartamenty i limuzyny to nie w jego stylu. Zwłaszcza gdy podróżuje w sprawach służbowych.

- Przecież on nigdy inaczej nie podróżuje, jak tylko w sprawach służbowych! Od lat organizujemy wakacje dla pracowników Miejskiego Szpitala Dziecięcego, a doktor Merritt ani razu nie wybrał się na żaden urlop. A poza tym chciałam okazać mu w jakiś sposób wdzięczność za to, że załatwił córeczce Jimmy'ego miejsce w klinice specjalistycznej.

- Tiffany, nie zapominaj o tym, że to on zarządza kontrole i ewentualne śledztwa w sprawie nadużyć. Dlatego to właś-

nie on nie może żyć ekstrawagancko i wydawać szpitalnych pieniędzy na jakieś limuzyny.
- Wiem, wiem - odparła Tiffany z błyskiem w oku. - Ale za każdym razem, gdy dostarczam mu do biura bilety, moje rozleniwione serce zaczyna wyprawiać dzikie harce. Miałam nadzieję, że srebrna limuzyna, schłodzony szampan i Waszyngton nocą pomogą mu zapomnieć na chwilę o liczbach, bilansach i tak dalej. Kto wie? Może już znalazł sobie kogoś ciekawego, z kim mógłby spędzić walentynki.
- On udaje się do Waszyngtonu w sprawach służbowych - powtórzyła z naciskiem Lucy. - Na pewno przez cały czas będzie jeździł z zebrania na zebranie. Lepiej dostosuj się do jego życzenia i odwołaj wszystkie rezerwacje.
- Cóż, trudno. - Tiffany westchnęła z rezygnacją. - Ale jak można tak głupio marnować najbardziej romantyczną noc w roku!

ROZDZIAŁ 1

Jack zauważył ją natychmiast po wyjściu z terminalu. Stała z książką przyciśniętą do piersi, oparta o błotnik granatowego chryslera, zaparkowanego wbrew wszelkim przepisom na podjeździe dla taksówek. Z zamkniętymi oczyma i twarzą uniesioną ku blademu, lutowemu słońcu, z opadającą na ramiona kaskadą ciemnokasztanowych loków, sprawiała wrażenie, jakby zapomniała o bożym świecie.

Wyglądała jak pogańska boginka, witająca pierwsze zwiastuny wiosny.

Jack nie uważał się za człowieka skłonnego do fantazji, dlatego zdumiało go to porównanie, pierwsze, jakie mu się nasunęło, podobnie jak miłe uczucie, jakie ogarnęło go na ten widok. Była to czysto instynktowna reakcja, jakiej zdrowi, nieskomplikowani mężczyźni zwykli doznawać w obecności intrygującej kobiety. Ze smutkiem pomyślał, że już dość długo nie doświadczał podobnych emocji. Zdecydowanie zbyt długo. Co najmniej od rozwodu, czyli od pięciu lat.

Widocznie za dużo pracował. I za bardzo przejmował się tym cholernym raportem.

Na myśl o tym, że za dwa dni ma stanąć przed komisją senacką, mięśnie, już i tak zesztywniałe po wielogodzinnym locie z Atlanty, stwardniały mu w bolesne węzły. Był umó-

SZALONE WALENTYNKI 9

wiony z przewodniczącym podkomisji za niespełna pół godziny w celu ustalenia Unii zeznań. A to znaczyło, że miał mniej niż godzinę na to, żeby się zastanowić, co chce powiedzieć.

Przełożył aktówkę do lewej ręki, w której już trzymał walizeczkę i trencz i podrapał się po karku. A potem, żeby się rozluźnić, zerknął na piękną czcicielkę słońca.

Jej gęste, falujące włosy, opadające na czarną, doskonale skrojoną tunikę z dwoma rzędami złotych guzików, mogły przykuć uwagę każdego mężczyzny. Spod tuniki wystawała wąska czarna spódnica, której dyskretne rozcięcie odsłaniało fragment kształtnej łydki w czarnej pończosze. Przy tak eleganckim stroju adidasy na grubej podeszwie, ozdobione lśniącymi, czerwonymi serduszkami, powinny wyglądać co najmniej niestosownie, tymczasem w przypadku nieznajomej dodawały tylko uroku i wywoływały uśmiech na twarzy patrzącego.

Silny podmuch wiatru przerwał radosne skupienie, w jakim wystawiała twarz ku słońcu. Nie sposób było przy tym nie zauważyć, że uniósł również rąbek jej spódnicy.

Niezły widok, pomyślał Jack. Całkiem niezły.

Właśnie zaczął się zastanawiać nad tym, w jakim tempie uczucie banalnej przyjemności zaczyna się przeradzać w coś znacznie bardziej złożonego, kiedy nieznajoma zadrżała i otworzyła oczy. Spojrzała na niego, a jej ciemne brwi uniosły się, nadając twarzy kpiący wyraz.

Musiał przyznać, że sobie na to zasłużył, żeby stać się obiektem jej kpin. W końcu gapił się na nią jak ogłupiały nastolatek.

Na swoje usprawiedliwienie miał tylko jedno - ta kobieta

rzeczywiście przykuwała wzrok. Uśmiechnął się przepraszająco i odwrócił się.
- Doktor Merritt?
Uśmiech zastygł na twarzy Jacka. W jednej chwili wróciło napięcie, które przez ostatnie kilka dni towarzyszyło mu jak cień. Odwrócił się do nieznajomej.
Kobieta zrobiła krok w przód. Kpiący uśmiech zniknął z jej twarzy, a jego miejsce zajął wyraz uprzejmego zainteresowania.
- Doktor Jack Merritt?
Jako wicedyrektor i główny audytor Miejskiego Szpitala Dziecięcego, Jack na co dzień stykał się z całą masą lekarzy konsultantów oraz wciąż powiększającą się liczbą pacjentów. Aby uniknąć zamieszania, nigdy nie używał tytułów naukowych, które zdobywał równolegle ze służbowymi. Tak naprawdę żadne tytuły go nie interesowały.
Natomiast w chwili obecnej ciekawiło go coś zupełnie innego - czego ta kobieta może od niego chcieć.
- Tak, doktor Merritt to ja - potwierdził. Nieznajoma wrzuciła książkę do samochodu, po czym przybliżyła się krokiem pełnym gracji.
- Słyszałam, że pański lot miał opóźnienie, spowodowane złą pogodą w Atlancie. - Sięgnęła po pękającą w szwach aktówkę Jacka. - Miał pan bardzo ciężką podróż?
- Miewałem lepsze - mruknął, chwytając ją za nadgarstek.
Spojrzała na niego ze zdumieniem. Oczy miała brązowe, w odcieniu ciemnego miodu, który przypominał mu słodki syrop z melasy.
- Mogę wiedzieć, czemu to panią interesuje?

SZALONE WALENTYNKI 11

Złotobrunatne oczy rozszerzyły się, a potem błysnęły oburzeniem.

- Wcale mnie to nie interesuje, chciałam tylko zacząć rozmowę - odcięła się, a widząc w jego oczach podejrzliwość, dodała szybko: - Nie płacą mi ekstra za konwersację z klientami. Jeżeli nie ma pan ochoty na grzecznościowe rozmowy, to w porządku.

Była niezła, nawet bardzo dobra, pomyślał Jack. Nie lubiła owijać w bawełnę. Żadnych umizgów, żadnych aluzji. Musiała słyszeć, że tego rodzaju gierki w jego przypadku nie odnoszą skutku. Olśniewająca blondyna, która miesiąc temu zaczepiła go podczas konferencji audytorów w Tampa, próbowała być bardziej bezpośrednia Ich spotkanie w hotelowym barze, po długim dniu wypełnionym seminariami i pokazami eksponatów, sprawiało wrażenie przypadkowego w przeciwieństwie do rodzaju usług, jakie mu zaproponowała gardłowym szeptem.

Rozbawiony, odrzucił przepojone zapachem whisky zaproszenie do jej pokoju. Nawet gdyby miał czas i ochotę, wolałby jedną ze swoich koleżanek. Blondyna wydęła kapryśnie usta, a propozycja spędzenia reszty wieczoru zmieniła się z pokusy w fizyczną niemożliwość. Kiedy wstał od stolika, żeby odejść, napisała numer pokoju na serwetce i wsunęła mu ją do kieszeni - na wypadek gdyby zmienił zdanie.

Przyczynę jej natarczywości zrozumiał, kiedy po pewnym czasie wrócił do baru, żeby podpisać rachunek, o czym wcześniej zapomniał. W ciemnej loży dostrzegł blondynę z przedstawicielem wielkiej firmy dystrybucyjnej... tej samej, w którą najmocniej ugodziły wyniki jego kontroli.

12 SZALONE WALENTYNKI

Wcześniej nie powiodły się subtelne próby przekupienia go za pomocą zaproszeń na „konferencje" na Arabach i w Szwajcarii. Najwidoczniej w tej sytuacji firma postanowiła sięgnąć po inne środki. Gdyby skorzystał teraz z oferty nieznajomej, wkrótce po powrocie do Atlanty kompromitujące taśmy wideo zostałyby mu dostarczone do domu, a może nawet trafiłyby na biurko jego szefów.
Wtedy im się nie udało, teraz tym bardziej im się nie uda.
Chociaż...
Chcąc nie chcąc, Jack musiał przyznać, że propozycja spędzenia nocy z tą ślicznotką o oczach gazeli wydała mu się znacznie bardziej kusząca niż to samo w towarzystwie tamtej blondyny.
Zdecydowanie musialbyć przepracowany. To jedyne wytłumaczenie niepojętego wrażenia, jakie wywierała na nim ta kobieta, która w tej chwili spoglądała na niego niezbyt przyjaznym wzrokiem. Zmroziła go spojrzeniem, a potem wróciła do granatowego chryslera i otworzyła tylne drzwi.
- Możemy już jechać?
Uderzył go jej dumny krok i przesadna uprzejmość w głosie. Poniewczasie uświadomił sobie, że elegancki kostium w stylu wojskowym symbolizował coś więcej ni? tylko modę. Ta kobieta zjawiła się tu po to, żeby go zabrać z lotniska, ale niekoniecznie z tym zamiarem, o jaki ją posądzał. Musiała być tym kierowcą, którego agencja „Podróże Guliwera" wysłała po niego na lotnisko, wbrew jego instrukcjom. Zirytowany i lekko zażenowany podszedł do samochodu.
- Przepraszam, jeżeli zachowałem się niegrzecznie. Lot był okropny, a poza tym nie spodziewałem się, że ktoś po mnie wyjedzie.

SZALONE WALENTYNKI 13

Nieznajoma popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Czy dlatego zachowywał się pan tak, jakbym chciała panu ukraść teczkę?

- Owszem, miałem przez chwilę takie obawy. Oraz parę innych.

- Skoro ustaliliśmy już moją tożsamość - powiedział, wyciągając rękę - mogę teraz poznać pani godność...?

Zawahała się, a potem podała mu rękę. Skórę miała ciepłą i gładką, a uścisk dłoni zaskakująco mocny.

- Angela. Angela Paretti.

Powtórzył w myślach jej nazwisko. Brzmiało swojsko, ale nie potrafił go umiejscowić. Nigdy przedtem jej nie spotkał. Tego był absolutnie pewny. Musiałby zapamiętać te zmysłowe usta i kaskadę ciemnych włosów.

- Jestem kierowcą senatora Claiborne'a - wyjaśniła. -Dziś rano dzwoniliśmy do pańskiego biura, by zawiadomić, że będę czekała przed terminalem Delta. Widocznie nie przekazano panu tej wiadomości.

- Nie - odparł Jack. Nazwisko Claiborne'a było mu znane. - Przed wyjazdem nie zdążyłem się skontaktować z biurem.

No tak! Powinien był przewidzieć, że senator wytnie mu taki numer. Senator Henry Claiborne, zwany Szczwanym Lisem, weteran dawnych dobrych czasów, w których interesy ubijało się w zadymionych kuluarach, reprezentował w stolicy Karolinę Południową przez ponad cztery dekady. Przebiegły i niebywale wpływowy, przewodniczył komisji, która zaczęła przygotowywać plany reformy opieki zdrowotnej na długo przed tym, zanim stało się to chwytliwym hasłem politycznym. To on, jako przewodniczący komisji, wezwał

14 SZALONE WALENTYNKI

Jacka do Waszyngtonu, żeby omówić z nim nowy program kontrolny, wprowadzony w Dziecięcym Szpitalu w Atlancie.

Jack próbował uniknąć tej podróży albo przynajmniej odłożyć ją na później. Uważał, że pośpiech jest tu niewskazany. Wnioski płynące z przeprowadzanych przez niego kontroli były zbyt daleko idące, by je przedstawiać bez dokładnej analizy i ponownego sprawdzenia faktów. Jednak senator Claiborne był nieugięty, a ich spotkanie określił mianem „przyjacielskiej pogawędki". Zapewniał Jacka, że nie ma mowy o żadnych scysjach na łamach Kongresu między dwoma „dżentelmenami z Południa". Chciał tylko - jak twierdził - usłyszeć coś więcej o kontrolach, które narobiły tyle zamieszania w środowisku medyczrjym.

Po jego telefonie Jack nie miał już wyjścia. Widocznie chytry senator odgadł to i wysłał samochód z kierowcą, żeby się upewnić, iż oporny świadek przybędzie na „przyjacielską pogawędkę".

Jakby potwierdzając podejrzenia Jacka, kobieta wymownie spojrzała na zegarek.

- Przepraszam za to nieporozumienie, ale dobrze się stało, że senator wysłał mnie po pana. Pański samolot miał spore opóźnienie, więc gdyby chciał pan odebrać samochód zamówiony przez pańskie biuro, spóźniłby się pan na spotkanie. A my akurat zdążymy na czas. - Machnęła z wdziękiem w stronę otwartych drzwi. - Senator nie lubi czekać!

Tłumiąc irytację, podszedł do wozu. W końcu to nie wina tej ślicznotki, że jej szef jest przebiegłym manipulatorem. Rzucił bagaże na tylne siedzenie i powiedział:

- Usiądę z przodu.

- Jak pan woli. - Angela wzruszyła ramionami. - Przełożę tylko moje rzeczy.
Jej rzeczy, jak Jack zauważył, składały się z czarnej torby konduktorki, która ważyła więcej niż jego teczka, równie ciężkiej „Historii politycznej Stanów Zjednoczonych" oraz pomiętej papierowej torebki, z której rozchodziły się smakowite zapachy.
Ciastka, pomyślał. I do tego pewnie prosto z cukierni.
Słodki aromat wanilii sprawił, że zaburczało mu w brzuchu. Tego ranka nie zdążył ani zadzwonić do biura, ani zjeść śniadania, a dawno już minęło południe. Przełożył na tylne siedzenie torbę i książkę, po czym zajął miejsce obok kierowcy.
Podróż do Waszyngtonu od pierwszej chwili układała się nie tak, jak by tego chciał. Najpierw spóźniony, okropny lot, potem to nieporozumienie na lotnisku, w perspektywie spotkanie z senatorem, a potem pewnie będzie jeszcze gorzej. W tej sytuacji Jack uznał, że może sobie pozwolić na chwilę relaksu u boku tej intrygującej ślicznotki podczas krótkiej jazdy do miasta.
Angela obeszła granatowego chryslera, potrząsając głową. Jak mogła być taka roztargniona? O mały włos nie przegapiła swojego pasażera! Czekała przez ponad godzinę, a potem zachowała się jak skończona idiotka! Co za pomysł, żeby z zamkniętymi oczyma wystawiać twarz do słońca. A ten Merritt musiał akurat wtedy wyjść z budynku!
Całe szczęście, że przystanął na podjeździe, a ona otworzyła oczy i zobaczyła, jak się w nią wpatrywał. Pierwszą, instynktowną reakcją było uczucie satysfakcji, że tak atrakcyjny mężczyzna przygląda jej się z widocznym zaintereso-

waniem. Ale uczucie to zniknęło w chwili, gdy go rozpoznała. Zbyt dużo wiedziała o tym Merritcie i jemu podobnych, żeby potraktować jego zainteresowanie jako komplement.
Usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk. Wsłuchując się w przytłumiony szum silnika, zapięła pas, a potem poczekała, aż pasażer dopasuje swój.
Zajęło mu to chwilę. Doktor Merritt był postawnym mężczyzną. Ziarnista czarno-biała fotografia, wycięta z jakiegoś czasopisma medycznego, nie oddawała ani jego postury, ani inteligencji, kryjącej się w stalowoszarych oczach.
Nie wyglądał na lekarza ani biznesmena, ani na jednego z przedstawicieli tych licznych branż, które w ostatnich czasach pojawiły się jak grzyby po deszczu. Żaden z nich nie miał tak bujnej, czarnej czupryny, przystrzyżonej bardzo konserwatywnie, tak zdecydowanego podbródka ani tak szerokich barów.
Miał za to, podobnie jak oni wszyscy, elegancki garnitur - grafitowy w dyskretny prążek. Jak również ich lodowate spojrzenie.
Kiedy otworzyła oczy, przyłapała go na uśmiechu, który natychmiast zniknął. Prawdę mówiąc, emanowała z niego jakaś wrogość. Angela na tyle często bywała obiektem nieprzyjaznych spojrzeń rozmaitych księgowych, kontrolerów oraz komorników, że zdążyła już się na nie uodpornić. A jednak, z jakiegoś powodu, drażnił ją niechętny wzrok tego mężczyzny. I to do tego stopnia, że utraciła swój profesjonalny spokój.
A zresztą... Nie pierwszy raz przygadała przystojnemu przeciwnikowi. Senator Claiborne nie bez powodu lubił podkreślać, że nie zatrudnił jej dla talentów dyplomatycznych.

SZALONE WALENTYNKI 17

Odrywając wzrok od pasażera, Angela wcisnęła specjalny guzik w zamontowanym pod ręką telefonie. Już po pierwszym sygnale odezwał się uczeń, odbywający praktykę na Kapitolu.

- Biuro senatora Claiborne'a.
- Tu Angela. Odebrałam doktora Merritta i jesteśmy w drodze.
- Tak jest, proszę pani.

Angela z uśmiechem rozłączyła się. Ci praktykanci byli tacy gorliwi.

- Gotowy?-zwróciła się do pasażera.
- Gotowy.

Zacisnęła ręce na kierownicy, zerknęła we wsteczne lusterko, a potem w przednie i odjechała od krawężnika. Reakcja specjalnie zmodyfikowanego silnika sprawiła, że - jak zawsze - krew zaczęła żywiej krążyć jej w żyłach. Z chirurgiczną precyzją przecięła dwa pasy ruchu i na zatłoczonej jezdni wykroiła miejsce dla chryslera.

Gwałtowny ruch kolana pasażera przykuł jej uwagę. Z rozbawieniem zauważyła dwie duże stopy w czarnych eleganckich półbutach, wciskające się nerwowo w pluszowy dywanik.

Kryjąc uśmiech, ruszyła krótką trasą wzdłuż Memorial Parkway. Po lewej stronie roztaczał się zimowy, bezśnieżny krajobraz Wirginii. Po prawej promienie słońca odbijały się od srebrzystoszarych wód Potomacu. Sama już nie pamiętała, ile razy przemierzała tę trasę, zawsze jednak uderzała ją jej malowniczość. Tym razem prawie niczego nie dostrzegała, bo całą jej uwagę przykuwał siedzący obok mężczyzna.

Mimo iż pierwsze próby nawiązania rozmowy spełzły

na niczym, zawodowa uprzejmość nakazywała jej podjąć kolejną.
- Czy to pańska pierwsza wizyta w Waszyngtonie, panie doktorze?
- Pierwsza od dłuższego czasu - odparł. W jego głosie wychwyciła cień akcentu, którym jej szef lubił popisywać się przy różnych okazjach. - A poza tym, Jack.
- Nie rozumiem?
- Proszę mi mówić Jack. Tam, skąd pochodzę, załatwia się wszystko mniej oficjalnie - i znacznie wolniej!
Bezwiednie zaparł się rękami o deskę rozdzielczą, bo olbrzymia ciężarówka pojawiła się tuż przed ich maską. Z niebywałą precyzją Angela wyminęła drugi pojazd.
- Bez obaw, panie doktorze... Jack. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym zgubiła pasażera.
- Miło mi to słyszeć.
- No ale kiedyś musi być ten pierwszy raz - dodała. Nie odpowiedział na tę ewidentną zaczepkę, tylko uniósł
znacząco brwi, kiedy w kilka sekund później odezwał się sygnał oznaczający, że dopuszczalna prędkość została przekroczona. Angela zauważyła jego minęi na jej usta wypłynął spontaniczny uśmiech Parettich.
- Prawdę mówiąc, lubię poszaleć na jezdni.
- Zdążyłem to zauważyć.
Tym razem jego akcent był wyraźniejszy, niemal tak znajomy jak akcent senatora, tyle że bardziej... seksowny. Nawet jeśli nie nauczyła się niczego więcej przez ubiegłe trzy lata, z pewnością zrozumiała jedno - że miła powierzchowność i ujmujące maniery mało znaczą tam, gdzie gra toczy się o pieniądze.

SZALONE WALENTYNKI 19

- Zawsze lubiłaś takie duże prędkości? - zapytał, nie odrywając wzroku od autostrady. - A może to nabyta skłonność?
- Mam to we krwi. Mój brat Tony twierdzi, że jeżeli chodzi o wciskanie gazu, jestem jeszcze gorsza niż on.
- Tony?

Z miejsca zorientowała się, że wszystko skojarzył.

- Tony Paretti, kierowca rajdowy, to twój brat, tak? - zapytał z błyskiem w oku.
- Były kierowca rajdowy - odpowiedziała beznamiętnym tonem. - Od kilku lat nie startuje.

A tak dokładnie od trzech lat i siedmiu miesięcy.

- Przypominam sobie, że czytałem o tym wypadku - powiedział cicho Jack.

Angela wbiła paznokcie w skórzaną okładzinę kierownicy. Nawet teraz, po tak długim czasie, na wspomnienie tego koszmarnego lipcowego dnia, kiedy samochód jej brata zgubił koło i roztrzaskał się o mur, czuła bolesny ucisk w sercu. Nawet długie, pełne rozpaczy tygodnie, podczas których tkwił zawieszony między życiem a śmiercią, nie dały się porównać z tymi kilkoma sekundami potwornej rozpaczy.

- Widziałem go niedawno w telewizji. - Głęboki głos Merritta wyrwał ją z zamyślenia. - Występował w reklamie... Nie, w krótkim programie na temat wprowadzenia ostrzejszych kar za prowadzenie pod wpływem alkoholu.

Angela spróbowała się uśmiechnąć.

- Sponsorzy chcieliby, żeby reklamował wszystko, od mydła po pamiątki z torów wyścigowych. Ale Tony bardzo uważa na to, co firmuje swoim nazwiskiem.
- Mądry facet.

- O tak, bardzo mądry.
Wbiła wzrok w szarą wstęgę asfaltu, ale przed oczyma wciąż miała roześmianą, łobuzerską twarz brata. Był od niej o sześć lat starszy i szybko stał się jej idolem. Tony zawsze pokpiwał sobie z jej dziecinnych prób zwrócenia na siebie uwagi, ale zarazem ją rozpieszczał. Nawet w bardzo zżytym środowisku włoskim w Baltimore, gdzie dorastali, rodzinę Parettich łączyła szczególna więź.
- Brat nadal jest bohaterem wyścigów o Puchar Winstona. - Duma, której ani czas, ani okoliczności nie zdołały osłabić, zabrzmiała w jej słowach. - Jako pierwszy debiutant od trzydziestu lat wygrał podwójną rundę kwalifikacyjną w wyścigach Daytona. Słyszałeś o tym?
- Nie, nie słyszałem.
Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Oczywiście, skąd mógł słyszeć? Jack Merritt mógł mieć co najwyżej powierzchowną wiedzę - o ile w ogóle - na temat świata, w jakim wyrosła.
Nie powinna zapominać, że był wytworem systemu, który omal nie wdeptał jej rodziny w błoto. Obracał się w kręgu liczb, na Boga! A ona przeżyła już tyle niemiłych doświadczeń z ludźmi jego pokroju, że miała ich dość na całe życie.
Włączyła kierunkowskaz i zjechała na zewnętrzne pasmo. Po chwili chrysler wykonał gładki skręt i wjechał na nitkę, prowadzącą na most.
- Od jak dawna jesteś kierowcą senatora aaiborne' a? -zapytał Jack, przerywając milczenie.
- Prawie od trzech lat.
- Nie wiedziałem, że członkowie Kongresu mają samochody z kierowcami.

SZALONE WALENTYNKI 21

Angela uśmiechnęła się drwiąco. Powinna była wiedzieć, że prędzej czy później wyjdzie z niego natura kontrolera.

- Bo nie mają. Na ogół sami prowadzą albo korzystają z puli wozów, przydzielonych dla Kongresu.

- Ale nie senior wśród senatorów z Karoliny Południowej?

Mogła mu powiedzieć, że wada wzroku senatora stanowiła poważne zagrożenie dla użytkowników dróg. Że współpracownicy za jego plecami nazywali go E.T. z powodu jego licznych „bliskich spotkań". Mogła też się przyznać, że senator aaiborne dał jej pracę, której tak rozpaczliwie potrzebowała, nie tylko ze względu na bezpieczeństwo innych, ale również dla własnej wygody. Jednak poczucie lojalności względem pracodawcy nie pozwalało jej rozmawiać o tym z innymi.

- Martwisz się, na co idą twoje podatki? - odwróciła pytanie.

- A powinienem się martwić?

- Nie w tym przypadku. Ten samochód jest własnością senatora Claiborne'a, a nie rządu Stanów Zjednoczonych. A pensję płaci mi ze swoich...

- Uważaj!

Nie potrzebowała ani jego ostrzeżenia, ani szybkiego, mimowolnego ruchu stopy na podłodze. Zdążyła już zauważyć zator na jezdni i zaczęła wciskać hamulec.

A nie była w tym odosobniona. Wkoło rozbrzmiewał przenikliwy pisk opon. Sześć szeregów samochodów gwałtownie zwolniło. Kilka sekund później chrysler zatrzymał się o milimetry od zderzaka stojącego przed nim wozu.

Merritt przygładził włosy.

22 SZALONE WALENTYNKI

- Ładne hamowanie.

Pokiwała z roztargnieniem głową. Wzrok miała wbity w ciągnący się przed nimi sznur samochodów. Wszystkie pasma, prowadzące na północ, były zablokowane. Nawet jak na Waszyngton był to niebywały korek.

- Ale klops! - mruknęła, bębniąc palcami po kierownicy.

- Wygląda na to, że senator będzie musiał trochę poczekać.

Cień satysfakcji w jego głosie zirytował Angelę. Szczyciła się tym, że zawsze dowoziła szefa i jego gości na czas. Wyłączyła silnik i nacisnęła klamkę.

- Nie ruszaj się. Sprawdzę, co się dzieje.

- Muszę rozprostować nogi - powiedział, sięgając po trencz. - Przejdę się z tobą.

Angela nie musiała zabierać płaszcza, bo pod tuniką miała ciepły, wełniany sweter. Mimo to z przyjemnością wystawiła twarz ku słońcu. Wspięła się na zderzak, żeby się rozejrzeć, i zastygła, kiedy silne dłonie zacisnęły się wokół jej talii. To Merritt chciał ją podtrzymać.

Przyczyna tak gigantycznego korka musiała się znajdować gdzieś poza wjazdem na most. Angeli nie udało się zobaczyć niczego poza długimi szeregami unieruchomionych pojazdów. Odwróciła się i popatrzyła w stronę, z której przyjechali. Samochody zaczęły już blokować jezdnie na drugim brzegu rzeki.

No tak! Utknęli na dobre! Ani w przód, ani w tył!

Jak na ironię, na pasmach prowadzących na południe odbywał się normalny ruch. Patrząc na mijające ich samochody na drugiej stronie mostu, Angela soczyście zaklęła. Nauczyła się tego wyrażenia od kumpli Tony'ego jeszcze jako dziecko,

ale nie wymówiła go na głos od dnia, w którym jej brat przyłapał ją na tym, jak popisywała się nim przed kolegami z trzeciej klasy.
- Poczekamy tu - zwróciła się do Merritta, schodząc na ziemię - i to dosyć długo.
Puścił ją, a ona, ku swojej konsternacji, zareagowała na nieobecność jego dłoni równie silnie, jak na ich obecność.
- Bywałem w gorszych korkach - powiedział. - Jest okazja, żeby odpocząć i odetchnąć świeżym powietrzem. To znaczy, względnie świeżym - dodał, nabierając w płuca haust spalin wydzielanych przez samochody, których właściciele nie wygasili silników w nadziei na szybkie odblokowanie zatoru.
- Ty sobie pooddychaj, a ja w tym czasie zadzwonię do biura.
Zostawiła go, opartego o przedni zderzak, podziwiającego monumentalną urodę Jefferson Memoriał na północnym krańcu mostu. Sama połączyła się z biurem, wyjaśniła sytuację i poprosiła o przekazanie wiadomości senatorowi, po czym zaczęła się zastanawiać, co dalej.
Mogła zostawić Merritta, żeby sobie w spokoju pooglądał ładne widoki. Nie miała obowiązku zabawiać go podczas długiego postoju. Nie miała też na to najmniejszej ochoty. Reprezentował sy stem, którym się brzydziła.
Poczekała na przypływ pogardy, który nieodmiennie towarzyszył rozmyślaniom na temat machiny biurokratycznej, stawiającej pieniądz nad człowiekiem. I pojawił się, ale z mniejszą niż zazwyczaj siłą.
Może Tony miał rację, pomyślała, marszcząc brwi. A może przyszła pora, żeby zapomnieć o wypadku i jego skut-

kach? Może nie powinna się tak głęboko angażować w walkę senatora o zreformowanie systemu opieki zdrowotnej? I z taką niecierpliwością wyczekiwać publicznego całopalenia?
Tak czy owak, było już za późno. Za niespełna czterdzieści osiem godzin Jack Merritt, jak kozioł ofiarny, zostanie złożony na ołtarzu reformy służby zdrowia.
Bębniąc w kierownicę, przyglądała się Merrittowi przez szybę. Mimo postanowienia, że będzie go traktowała wyłącznie jako środek do celu, uświadomiła sobie, że chciałaby się dowiedzieć o nim czegoś ponad to, co wyczytała w skrótowym biogramie, przygotowanym w biurze senatora. Chciałaby poznać format człowieka, którego senator przeznaczył na odstrzał.
Nawet zasądzonym należał się ostatni posiłek. Sięgnęła po papierową torbę, wyjęła z torebki kilka ligninowych chusteczek, a potem wysiadła z wozu i stanęła obok Merritta.
- Jesteś głodny?
Jego spojrzenie prześlizgnęło się po jej twarzy i zatrzymało na papierowej torebce.
- Prawdę mówiąc, tak - przyznał z błyskiem rozbawienia w oczach. - Wącham to coś, odkąd wsiadłem do samochodu.
- To coś to czysta sztuka. Dzieło mojej ciotki Helen. Zawsze przysyła mi paczkę przez kuzyna Leonarda.
Otworzyła torebkę i podsunęła Merrittowi, żeby mógł do niej zajrzeć.
- Możesz sobie wybrać. Najlepsze domowe cannoli po tej stronie Atlantyku albo serduszka tortom z okazji dzisiejszego święta.
- A jakie dziś święto?
- Chyba żartujesz?

SZALONE WALENTYNKI 25

Kiedy zrozumiała, że nie żartuje, podniosła nogę i pokręciła stopą. Czerwone serduszka na adidasach zalśniły w słońcu jak odblaskowe szkiełka.

- Przecież dzisiaj obchodzimy Dzień Świętego Walentego. Na co dzień raczej nie noszę takich butów.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem - mruknął.

Tym razem był szczerze ubawiony, a jego uśmiech wytrącił Angelę z równowagi. Zniecierpliwiona zaszeleściła torebką.

- No, to które chcesz?

- Spróbuję cannoli.

Wzięła przez serwetkę ciastko i podała Merrittowi. Kiedy sięgała po drugie, dla siebie, padł pierwszy strzał.

ROZDZIAŁ 2

Angela od razu wiedziała, że suchy trzask to nie był odgłos samozapłonu. Znała na pamięć wszystkie możliwe hałasy silnika, a to z całą pewnością nie był jeden z nich. Wychowana na ulicy i wyszkolona przez ekspertów na wypadek wszelkich okoliczności, w jakich może się znaleźć zawodowy kierowca, domyśliła się, co byłp. źródłem tego hałasu, jeszcze zanim zdążyła się obejrzeć.

Nieprzerwany strumień pojazdów sunął jezdnią, prowadzącą w kierunku południowym. Angela powiodła po nich uważnym wzrokiem. Na początku nie zauważyła niczego niepokojącego. A potem, w jednym z tych straszliwych ułamków sekundy, które zdają się trwać wiecznie, dostrzegła błysk bladej twarzy, spoglądającej przez otwarte okno samochodu. A tuż pod jasną plamą z okna wystawała czarna lufa.

- O mój Boże!

Trzymane w ręku ciasteczko zostało zgniecione na miazgę, a bita śmietana rozprysła się na wszystkie strony. Angela oderwała się od błotnika i z całych sił uderzyła Merritta w pierś. Zachwiał się, pociągając ją za sobą.

- Co...!?

- Na ziemię!

Nagle ugięły się pod nią kolana i jak worek kartofli osunę-

ła się w jego ramiona. Czy zadziałał jej własny ciężar, czy Merritt zorientował się w sytuacji, tego nie wiedziała, ale nagle znalazła się pod doktorem, a resztki powietrza uszły z jękiem z jej płuc.
Kiedy dotknęła twarzą asfaltu, powietrze rozdarł kolejny wystrzał. Tylne szyby chryslera rozprysnęły się w drobny mak. Ostre jak brzytwa odłamki szkła obsypały wszystko dokoła. Ze stojącego za nimi samochodu rozległ się okrzyk przerażenia. To krzyczała jakaś kobieta.
Angela nie była w stanie się poruszyć. Zresztą nawet nie próbowała. Krew huczała jej w uszach tak głośno, że z trudem usłyszała trzeci, a potem czwarty, nieco cichszy wystrzał, sygnalizujący, że strzelec pędził na południe.
Atak skończył się równie szybko, jak się zaczął. Pozostały po nim jedynie rozlegające się ze wszystkich stron krzyki oraz ciężkie ciało Merritta, wciskające ją w chodnik. Czuła na policzku jego gorący, przyspieszony oddech, a także ucisk kolana na łydce.
Przez kilka długich sekund kryła się pod jego opiekuńczym ciężarem, aż wreszcie jej płuca zapragnęły tlenu. Zaczęła się wiercić, a potem spróbowała zrzucić go z siebie.
Już przy jej pierwszym ruchu Merritt przetoczył się na bok. Zaczerpnęła tchu, uniosła się na łokciu i odgarnęła włosy z czoła. Spodziewała się ujrzeć jego twarz, stężałą w szoku i oburzeniu. A nawet skamieniałą ze strachu. W końcu jej własne serce nadal tłukło się w piersi jak oszalałe!
Ale jeśli nawet Jack Merritt doznawał podobnych uczuć jak ona, nie dał tego po sobie poznać. Tylko wypukła żyłka, pulsująca gwałtownie na szyi, oraz ton, ostry jak brzytwa, świadczyły o tym, że był zdenerwowany.

28 SZALONE WALENTYNKI

- Nic ci się nie stało? - wyrzucił z siebie.
- Yyy... chyba nic. A tobie?
- Ze mną wszystko w porządku.

Kiedy zaczął się podnosić, Angela chwyciła go za rękę.

- Uważaj! - krzyknęła. - Masz we włosach szkło. Merritt odsunął się i potrząsnął głową. Lśniące okruchy

posypały się na chodnik z radosnym brzękiem, który w tych okolicznościach zabrzmiał wręcz nieprzyzwoicie. Potem przykląkł na jedno kolano i ujął Angelę pod pachy, żeby pomóc jej wstać. Podniosła się, uważając na odłamki szkła, i przez moment poczuła się kompletnie zdezorientowana. Blade, zimowe słońce wciąż odbijało się w wodach Potomacu, sznur samochodów sunął po przeciwnej stronie mostu? a mewy z krzykiem krążyły nad wodą.

Za to pas prowadzący na północ nadal pogrążony był w chaosie. Trzaskały drzwi unieruchomionych samochodów, a ludzie wysiadali, wołając, że nie są ranni. Przerażone dziecko zanosiło się krzykiem w ramionach rozhisteryzowanej matki. Jakiś wojskowy stał obok czarnego, sportowego wozu i z niedowierzaniem patrzył na popękaną szybę. Tuż za nim dwie kobiety machały rękami, wskazując na coś, co wyglądało jak dziura po kuli w błotniku.

Angela nie musiała oglądać otworu po kuli, żeby wiedzieć, co się wydarzyło. Dowód miała pod ręką. Obie tylne szyby chryslera były roztrzaskane. A z okna przy fotelu kierowcy sterczały odłamki szkła, wyszczerbione jak zęby rekina

Zapominając o zgniecionym ciastku, które trzymała w ręku, zacisnęła pięści. Resztki bitej śmietany wypłynęły jej spomiędzy palców. Nagle zawrzała gniewem.

SZALONE WALENTYNKI 29

Nie była naiwna. Wiedziała, że bezsensowna przemoc mogła wydarzyć się gdziekolwiek i o każdej porze, a jej przyczyny często bywały bardziej niż banalne. Wiedziała również, co to niebezpieczeństwo. Letnie miesiące i weekendy zwykła spędzać na torach wyścigowych, gdzie mężczyźni wyciskali z silników ostatnie moce, a śmierć czaiła się na każdym zakręcie. Przecież na własne oczy widziała, jak wóz jej brata stanął w płomieniach.

Godziła się na ryzyko, bo rozumiała, że niebezpieczeństwo jest nieodłączną częścią życia. A jednak nie była przygotowana na wściekłość, jaką wzbudził w niej ten akt przemocy. Dygotała wręcz z furii i drżały pod nią kolana.

- Masz, załóż to.

Podniosła wzrok i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz Merritta, który zarzucał jej na ramiona swój trencz.

- Nie jest mi zimno!

- Ale drżysz - powiedział ostro. - Możesz być w szoku.

- Nie jestem w szoku - zaprzeczyła, wymachując rękami. - Jestem po prostu wściekła jak cholera! Popatrz, co oni zrobili!

Kipiąc ze złości, zaczęła oglądać uszkodzenia, jakim uległ jej samochód.

- Czytałam o ludziach, którzy trafili w sam środek ulicznej strzelaniny - powiedziała przez zaciśnięte zęby - ale póki człowiek sam czegoś takiego nie przeżyje, nie wie, jaką to wzbudza wściekłość!

- Myślisz, że to była zwykła uliczna strzelanina?

- Oczywiście! A co innego?

Jack nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Puls wciąż tętnił mu jak oszalały, a zimny pot spływał po grzbiecie.

- Nie wiem.
Angela machnęła ręką, odwróciła się na pięcie i po stłuczonym szkle pomaszerowała do wozu.
- Muszę zadzwonić na policję.
Podczas gdy Angela telefonowała, Jack patrzył na roztrzaskane szyby. Jego logiczny, uporządkowany umysł próbował zanalizować to, co się wydarzyło, i skalkulować współczynnik prawdopodobieństwa. Co przemawiało za tym, że ktoś przypadkowo nacisnął cyngiel albo członkowie jakiegoś gangu postanowili postrzelać sobie w tym właśnie miejscu i o tej porze? Jakie były szanse, że Angela Paretti będzie jechała właśnie tą trasą? Jedna na milion? Jedna na dziesięć milionów? Z ponurą miną doszedł do wniosku, że byłą. zbyt wiele niewiadomych, by mógł już teraz rozwiązać to równanie.
Na przykład - dlaczego sześć pasm ruchu zostało jednocześnie zablokowanych?
Albo dlaczego akurat ich chrysler najbardziej ucierpiał podczas strzelaniny?
A przede wszystkim, dlaczego senator Claiborne wysłał po niego Angelę na lotnisko?
Spojrzał na nią dyskretnie. Stała owinięta jego trenczem, z kropkami bitej śmietany na twarzy. Opisywała przez telefon przebieg wypadku, gestykulując wolną ręką. Słuchając jej sprawozdania, Jack raz jeszcze przebiegł w myślach wydarzenia ostatnich chwil.
Znowu usłyszał suchy trzask wystrzału i zobaczył ciemną falę włosów Angeli, kiedy odwróciła głowę. Poczuł uderzenie jej ciała, gdy się na niego rzuciła.
Zacisnął zęby. Bez względu na niewiadome w równaniu

tym był jeden pewnik - przewracając go, Angela ocaliła mu życie. Miał teraz u niej dług, a należał do ludzi, którzy nie lubią nie wyrównanych rachunków.
Wsunął pięści do kieszeni i czekał, aż Angela skończy telefonować - po rozmowie z policją odbyła jeszcze jedną, znacznie dłuższą, z biurem senatora. W końcu rozłączyła się i skrzywiła na widok plam z bitej śmietany, jakie zostawiła na słuchawce. Sięgnęła do kieszeni na drzwiach samochodu, wyjęła garść chusteczek i kilkoma szybkimi ruchami otarła twarz.
- Senator jest na głosowaniu - powiedziała Jackowi. -Jego sekretarz obiecał mi, że natychmiast przekaże mu wiadomość o tym, co się stało.
- Wygląda na to, że nasze spotkanie będzie musiało zaczekać jeszcze trochę dłużej.
Angela zmarszczyła brwi i dotknęła skroni.
- Ach, cała jestem umazana śmietaną. Czuję to, chociaż tego nie widzę.
- Poczekaj - powiedział, wyjmując z kieszeni złożoną chustkę do nosa. - Ja to zrobię.
Zawahała się, a potem podsunęła mu twarz.
Ocierając resztki śmietany z czoła i policzków Angeli, Jack nagle uświadomił sobie, że stała w tej samej pozie, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy - z zamkniętymi oczami, uniesioną ku słońcu twarzą i opadającą na plecy falą ciemnych włosów. Na myśl o tym, że po raz pierwszy w życiu zobaczył Angelę Paretti zaledwie dwadzieścia minut temu, przeszedł go lekki dreszcz.
Wydawało mu się, że miało to miejsce wcześniej. Znacznie wcześniej. Jakby w innym życiu. W jakiś dziwny sposób

kilka sekund wspólnie przeżytego niebezpieczeństwa podzieliło czas na dwie epoki. Przed strzelaniną i po niej. Zanim Angela rzuciła mu się w ramiona - i potem. Zanim pomiędzy nim i tą kobietą wytworzyła się pewna więź - i później.
Studiując uważnie twarz Angeli, rozważał kolejną serię niewiadomych, które nagle przyszły mu do głowy. Taką niewiadomą była na przykład kobieta, która po wypadku takim jak ten drżała z wściekłości, a nie ze strachu. Albo jej ciepła skóra, jaką wyczuwał koniuszkami palców. Albo ta nagła chęć, żeby zlizać resztki śmietany, zdobiące płatek jej ucha.
- Nieźle się trzymasz - mruknęła - zważywszy na to, że przed momentem ktoś do nas strzelał.
- Nie podobało mi się to dokładnie tak samo jak wszystkim.
- Nie widać tego po tobie.
- Wielu rzeczy po mnie nie widać. Angela prychnęła pogardliwie.
- Czy tego was uczą na kursach dla audytorów? Nie okazujcie żadnych uczuć, bo wasz klient gotów błędnie pomyśleć, że drzemią w was ludzkie uczucia.
- A ilu audytorów spotkałaś? - zapytał Jack. - Ludzkich albo innych?
- Miałam z paroma do czynienia.
- Niektórzy z nas przeżywają od czasu do czasu pewne podstawowe emocje.
- Ha! Musiałabym to najpierw zobaczyć, żeby uwierzyć. Gdyby chciał, potrafiłby oprzeć się temu wyzwaniu.
Rzecz w tym, że nie chciał. Rozum podpowiadał mu, że Angela szuka ujścia dla napięć wywołanych przez niedawne dramatyczne wydarzenia. Czuł też, że mogła mieć podstawy,

by obdarzać niechęcią przedstawicieli jego zawodu. Mimo iż próbował logicznie wytłumaczyć sobie przyczyny jej gniewu, krew nadal szumiała mu w żyłach. A usta Angeli były tak blisko...
- No to miej oczy otwarte!
Wolno pochylił głowę, tak by miała czas się cofnąć. Na twarzy Angeli ukazał się wyraz zaskoczenia, jednak nie ruszyła się z miejsca. Jej upór sprawił mu pewną satysfakcję. A potem dotknął ustami jej warg i miejsce satysfakcji zajęło dojmujące pragnienie.
Czuł smak bitej śmietany, gorącego ciała i kobiety. Ale nie kobiety w ogóle, tylko tej kobiety. Bo Angela miała swój specyficzny smak, przebijający się poprzez wanilię i krem, oblepiający jej usta. Zmysły Jacka zarejestrowały jej smak, zapach, dotyk - i zapragnęły jeszcze więcej. Obwiódł dłonią jej podbródek i pogłaskał szyję. Drugą rękę zacisnął w pięść, żeby nie chwycić jej za włosy i nie odgiąć jej głowy do tyłu, by móc bardziej dogłębnie całować jej rozpalone usta.
To przyjdzie później, pomyślał. Taką miał nadzieję.
Kiedy wreszcie oderwał usta od jej warg, dyszał tak ciężko i szybko jak ona. Patrząc na jej mieniącą się twarz, cofnął się - i czekał na wybuch.
Angela nie potrafiła powiedzieć, co bardziej nią wstrząsnęło. To, że Jack Merritt ją pocałował, czy to, że mu na to pozwoliła.
Przecież to miał być kozioł ofiarny! Kolejna ofiara senatora w jego krucjacie na rzecz reformy opieki zdrowotnej. A co więcej, Merritt był uosobieniem systemu, który omal nie zniszczył jej rodziny!
Nie mogła uwierzyć, że stała teraz z bijącym sercem

i otwartymi oczami, tak jak jej kazał, i pozwalała mu na pocałunek! Podobnie jak w to, że sam dotyk jego ust podniecał ją bardziej niż najnowszy system napędowy, jaki Tony zainstalował w swoim bolidzie tydzień przed wyścigami.
Natychmiast powiedziała sobie, że to niedawny wypadek tak ją sparaliżował. A nie sposób, w jaki szerokie ramiona Merritta zasłaniały jej wszystko, nie ciepło jego dłoni i nie zapach wody po goleniu, który ją owionął.
Wzięła głęboki oddech.
- Jeżeli ta mała demonstracja miała czegoś dowieść, to trafiłeś jak kulą w płot.
- Czyżby? Mam jeszcze raz spróbować?
W jej oczach pojawiły się ostrzegawcze błyski.
- Raczej nie. Prawdę mówiąc, powinieneś...
Zbliżające się wycie policyjnych syren sprawiło, że przerwała. Rzuciła swojemu pasażerowi spojrzenie oznaczające, że mu się upiekło, po czym wyniosłym gestem oddała mu trencz.
- Dziękuję-powiedziała lodowatym tonem.
- Zawsze do usług.
Grupa policjantów przedzierała się przez labirynt unieruchomionych pojazdów i podekscytowanych kierowców. Pierwsza do chryslera dotarła tęga policjantka w kamizelce kuloodpornej. Na metalowej plakietce widniało nazwisko L. Hemmingway. Oglądając wybite szyby i odłamki szkła na chodniku, otworzyła notes na czystej stronie, po czym zwróciła się do Merritta, którego uznała za osobę ważniejszą. Angela musiała przyznać, że ją to trochę zirytowało.

SZALONE WALENTYNKI 35

- Otrzymaliśmy meldunek o strzałach z przyjeżdżającego samochodu. Czy to one spowodowały uszkodzenia pańskiego wozu?
- Na to wygląda.
- Widział pan samochód, z którego padły strzały?
- Nie, nie widziałem.
- A pani? - Policjantka zwróciła się teraz do Angeli tonem uprzejmym, lecz pełnym powątpiewania. - Czy widziała pani samochód, z którego mogłyby...
- Widziałam.
- Naprawdę? - W głosie policjantki zabrzmiała ostrożna nadzieja. - A może go pani opisać? Jakiego był koloru? Czy był dwudrzwiowy czy czterodrzwiowy?

Angela wzniosła oczy do nieba, modląc się w duchu o cierpliwość. Przywykła do tego, że mężczyźni zwykli traktować kobiety jak kompletne ignorantki tam, gdzie w grę wchodzą ich ukochane zabawki na kółkach. Ale nie spodziewała się tego samego po kobiecie.

- To był pontiac grand prix, model z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku - powiedziała sucho. -Szary metalik z czerwonymi zadrapaniami na przednim błotniku. Na tylnych kołach miał nadwymiarowe opony Michelina. Nie widziałam tablic rejestracyjnych, ale sądząc po smudze dymu, jaką ciągnął za sobą, mogę powiedzieć, że wóz pilnie potrzebował nowej przepustnicy.

Policjantka osłupiała ze zdumienia.

- Jest pani pewna co do tych szczegółów, pani...?
- Paretti. Angela Paretti. Jestem pewna.
- Paretti - mruknęła policjantka, zapisując nazwisko. A kiedy znów podniosła wzrok, miejsce sceptycyzmu zajęła profesjonalna uprzejmość. - Podejrzany samochód poruszał

się z dużą prędkością. W jaki sposób udało się pani zauważyć takie szczegóły?
Angela spojrzała na nią z politowaniem.
- Potrafiłam odczytać sygnały, które brat dawał mi ręką, kiedy jechał z prędkością stu dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Więc dlaczego miałabym przeoczyć jakieś szczegóły w przypadku pontiaca, wlokącego się sześćdziesiątką?
- Pani brat jeździł z prędkością stu dziewięćdziesięciu mil na godzinę? - Policjantka aż się zająknęła ze zdumienia i nagle ją olśniło. - Ej, czy Tony Paretti to pani brat?
- Tak.
- Widziałam go niedawno w telewizji. - Na pulchnej twarzy policjantki pojawił się na moment marzycielski uśmiech, ale szybko przywołała się do porządku. - Dobrze. Trzeba to wszystko zapisać. Widziała pani samochód...
- I faceta, który strzelał.
Długopis zadrżał w palcach policjantki.
- Widziała go pani? A może go pani opisać? Angela przymknęła oczy.
- To był biały mężczyzna, około dwudziestu lat. Twarz blada, pociągła. Aha, jeszcze jedno, miał na sobie zgniłozielony sweter albo bluzę.
- Zielony! - skrzywiła się z niesmakiem policjantka. - To mógł być jeden z Jeźdźców. Oni noszą zielone kurtki. Może to był jeden z tych ich cholernych inicjacyjnych rytuałów.
Zapisała wszystko w notesie, a potem powiedziała:
- Wygląda na to, że mu się pani dobrze przyjrzała. A przynajmniej na tyle dobrze, że mogłaby go pani opisać naszemu rysownikowi: Muszę panią poprosić, żeby zechciała mi pani towarzyszyć.

- Teraz?
- Tak, teraz. To bardzo ważne, żeby na gorąco podać rysownikowi wszystkie szczegóły. Zadzwonię na posterunek i nasz komputerowy rysownik będzie na panią czekał.
- A nie można by tego przełożyć o jakąś godzinę? - zaprotestowała Angela. - Doktor Merritt ma spotkanie z senatorem Claiborne'em. Mam go przywieźć, jak tylko ten cholerny korek się rozładuje.
Na dźwięk nazwiska senatora policjantka zbladła. Przeszła po stłuczonym szkle i przyjrzała się tablicom rejestracyjnym chryslera. Na widok metalowego emblematu Kongresu cicho jęknęła.
- O nie! Więc to jest wóz Szczwanego Lisa Claiborne'a? Burmistrz będzie bardzo niezadowolony.
Angela doskonale ją rozumiała. Henry Claiborne przy najrozmaitszych okazjach głośno wyrażał swoją dezaprobatę z powodu stale wzrastającego - zwłaszcza w stolicy -wskaźnika przestępczości. Kiedy jeden z jego współpracowników został napadnięty niemal o rzut kamieniem od ratusza, rozwścieczony senator wystosował druzgocący list, który został opublikowany na pierwszej stronie „Washington Post".
A ponieważ Claiborne był również przewodniczącym komisji, zatwierdzającej roczny budżet miejski, burmistrz pospiesznie wprowadził program walki z przestępczością. Jak widać, program ten nie okazał się w stu procentach skuteczny.
Policjantka nerwowym ruchem poprawiła kaburę.
- Przykro mi, ale musi mi pani towarzyszyć. Trzeba będzie zrobić szkic, a poza tym nasz detektyw będzie chciał z panią porozmawiać. Zawieziemy doktora...

38 SZALONE WALENTYNKI

- Merritta.
- .. .doktora Merritta na spotkanie.
- Pojadę z panią i z panną Paretti.

Policjantka odwróciła się, a jej twarz w jednej sekundzie zmieniła się w uprzejmą maskę.

- To nie jest konieczne, panie doktorze. Ponieważ pan niczego nie widział, nie będziemy pana zatrzymywać. Lepiej, żeby senator nie musiał czekać.
- Może i nie widziałem pojazdu, ale za to słyszałem strzały.
- Mamy wystarczająco dużo informacji o strzałach. Teraz szukamy kul, żeby wiedzieć, z jakiej broni zostały wystrzelone. Gdyby pan zechciał.
- To był półautomatyczny kałasznikow, bardziej znany jako AK.

Tym razem obie kobiety otworzyły usta ze zdumienia.

- AK-47 ma specyficzny pogłos - powiedział Merritt. - Kto raz go słyszał, bez trudu go rozpozna.

Pierwsza opamiętała się policjantka. Zaczęła coś szybko pisać, a potem wsunęła notes do kieszeni.

- Poproszę o kluczyki, panno Paretti. Odholujemy wóz na posterunek, jak tylko uda się przywrócić ruch na moście. Tymczasem poproszę, żeby mi państwo zechcieli towarzyszyć.

Angela Westchnęła z rezygnacją.

- Dobrze, ale najpierw muszę zadzwonić do biura i powiedzieć im, że będziemy spóźnieni. Znowu.

Chwilę później wcisnęła się na tylne siedzenie czarno-białego policyjnego wozu, obok Merritta. Drzwi zostały zatrzaśnięte, a automatyczne zamki głośno zaskoczyły. Patrząc na

plastikową szybę z metalową siatką, oddzielającą kierowcę od pasażerów, Angela poczuła dreszcz, pełznący wzdłuż kręgosłupa. Odniosła wrażenie, że zamknięto ją w klatce z doktorem Merrittem.
I to w takiej ciasnej klatce!
Był tak blisko. Zdecydowanie zbyt blisko. Wystarczyło lekko odwrócić głowę i mogła zobaczyć delikatną siateczkę zmarszczek, okalających jego szare oczy, i czarną czuprynę, nie do końca poskromioną przez fryzjera. A także błysk maleńkiego odłamka, który utkwił w kołnierzu grafitowego garnituru.
- Masz kawałek szkła na kołnierzu. Nie ruszaj się.
Wyjęła odłamek, a potem rozejrzała się, gdzie by go wyrzucić. Wóz nie był wyposażony w popielniczki, więc wyciągnęła z kieszeni lepką ligninową chusteczkę, owinęła nią szkiełko i z powrotem schowała.
- Dzięki.
Skinęła głową, poczekała, aż wóz skręci i pojedzie w stronę komisariatu, i dopiero wtedy zadała pytanie, które od dłuższej chwili nie dawało jej spokoju.
- Ciekawe, ilu ludzi potrafi rozpoznać AK-47 tylko po odgłosie wystrzału.
- Mniej więcej tylu, ilu potrafi powiedzieć, co dolega samochodowi grand prix model dziewięćdziesiąt trzy wyłącznie na podstawie obserwacji spalin, wylatujących z rury wydechowej. - Merritt spojrzał na nią z podziwem. - Byłem pełen uznania. Podobnie jak policjantka Hemmingway.
Angela udała, że jego uśmiech i komplement nie robią na niej wrażenia.
- Skąd taka wiedza na temat broni palnej?

40 SZALONE WALENTYNKI

- Służyłem w marynarce.
- Zawsze myślałam, że marynarze - nakreśliła w powietrzu fale - szorują pokład i patrzą przez peryskop.
- Niektórzy tak - odparł, a potem skinął w stronę olbrzymiego granitowego budynku po prawej stronie.
- Czy to poczta? Jeszcze jej nie widziałem po remoncie kapitalnym.

Angela zmarszczyła brwi. Podejrzewała, że był to pretekst do zmiany tematu, mimo to udzieliła mu odpowiedzi. Przez pozostałą część drogi na komisariat usiłowała zwalczyć dziwne przeczucie, że Jack Merritt nie zechce bez walki odegrać wyznaczonej mu roli kozła ofiarnego.

ROZDZIAŁ 3

W komisariacie wrzało jak w ulu. Dzwoniły telefony, stukały klawiatury, a przez poczekalnię przepływał strumień policjantów, podejrzanych w kajdankach, poszkodowanych oraz najróżniejszych interesantów.

Jack uzbroił się w cierpliwość i czekał na detektywa, który miał prowadzić śledztwo w sprawie strzelaniny. Rozsiadł się na plastikowym krześle, skrzyżował ręce na piersi i spokojnie przyglądał się Angeli Paretti, która nerwowo krążyła po poczekalni. Czerwone serduszka na jej adidasach stanowiły wesoły kontrast z szarą wykładziną na podłodze oraz biurowymi meblami. Poruszała się krokiem tak pełnym wdzięku, że chyba każdy mężczyzna - chcąc nie chcąc - nie mógł oderwać od niej oczu. Każdy?

Merritt groźnie spojrzał na człowieka, siedzącego w drugim rogu poczekalni. Zwalisty mężczyzna zdawał się nie zwracać uwagi na jego wymowne spojrzenie i gapił się na Angelę jak głodny wilk na zabłąkaną owieczkę. W chwili gdy Jack postanowił zainterweniować, korytarzem nadbiegł chudy, żylasty detektyw w pomiętej niebieskiej koszuli, z kaburą na ramieniu.

42 SZALONE WALENTYNKI

- Angie? Co ty wyprawiasz, dziewczyno? Po co się wystawiasz na cel?
Angela odwróciła się.
- Cześć, Eddie - powiedziała z uśmiechem. - Tego się właśnie obawiałam, że trafię na ciebie.
Detektyw roześmiał się.
- Dzisiaj jesteśmy po tej samej stronie. Co słychać u wujka Guida?
- Przeszedł na emeryturę. Tym razem na dobre!
- Ach tak? A my dostaliśmy wiadomość, że w zeszłym tygodniu znowu był w mennicy.
- To tylko przypływ nostalgii. Daję słowo. Wuj powiedział, że chciał sobie popatrzeć, jak drukują studolarowe banknoty.
- Akurat! - prychnął detektyw. - Powiem ci jedno, Angie, wolałbym za tydzień czy dwa nie usłyszeć, że znów wzrosła liczba raportów o fałszywych studolarówkach, rozprowadzanych w mieście.
- Na pewno nie usłyszysz. Możesz mi wierzyć, Eddie. Wszystko jest pod kontrolą.
Słuchając tej wymiany zdań, Jack dodał kolejną wartość zmienną do złożonego równania, jakim była Angela Paretti. Ta kobieta ewidentnie żyła w świecie, zamieszkanym przez nietypowe osobistości. Legendarny szef, sławny brat, a teraz jeszcze wujek Guido, emerytowany fałszerz.
- Doktor Merritt? - Detektyw podszedł z wyciągniętą ręką. - Jestem Ed Winters. Chciałbym przejrzeć oświadczenie, które złożyliście z Angelą na miejscu wypadku, a potem popracujemy nad portretem pamięciowym. Mój pokój jest na końcu korytarza.

SZALONE WALENTYNKI 43

Angela ruszyła przodem, zarzucając torbę na ramię. Musiała już nieraz odwiedzać detektywa Wintersa w pracy. Jack chwycił aktówkę, którą zabrał z chryslera, i poszedł za nimi.

Detektywi z U Komisariatu urzędowali w dużym, hałaśliwym pomieszczeniu na tyłach budynku. Angela usiadła na rozchwianym krześle przy obdrapanym biurku i odrzuciła propozycję, żeby napić się kawy. Jack także odmówił, a wtedy detektyw Winters sięgnął po kartkę i odsunął na bok stos papierów, zajmujących niemal całą powierzchnię biurka.

- Ciągle jeszcze sprawdzamy ten wóz w komputerach. Możesz jeszcze dodać coś do tego, co powiedziałaś naszej policjantce, Angie?

- Raczej nie. To trwało bardzo krótko. W tej samej chwili zobaczyłam samochód, lufę i twarz. Pewnie w ogóle nie zwróciłabym uwagi na tego pontiaca, gdyby nie to, że ciągnął za sobą smugę dymu.

- Tak. Złe zawory.

- Nie. Zła przepustnica, Eddie. Zła przepustnica. To nie to samo. - Angela z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- Wierzę ci na słowo. A my pomówmy teraz o broni -zwrócił się Winters do Jacka. - Na jakiej podstawie pan sądzi, że to był kałasznikow AK-47?

- Bo miał specyficzny pogłos. Bardziej donośny i ostry niż półautomaty produkcji amerykańskiej.

- Pan słyszał go już kiedyś?

Merritt powtórzył to, co wcześniej powiedział Angeli:

- Służyłem w marynarce.

- W marynarce?

- Południowo-Wschodnie Linie Atlantyckie.

- Infiltracja i wywiad czy tajne operacje? - zapytał Winters.
Jack spojrzał na niego spod oka.
- Byłem przez kilka lat w wywiadzie wojskowym - wyjaśnił Winters, wzruszając ramionami. - Ludzie na ogół sądzą, że te dwa pojęcia wykluczają się nawzajem, aleja zdołałem się nauczyć kilku rzeczy o rolach i misjach.
W tej sytuacji Jack otworzył przed nim pewien rozdział swojego życia, który dawno już uważał za zamknięty.
- Byłem lekarzem w korpusie infiltracyjno-wywiadowczym. Zabrałem się z nimi w rejs, żeby łatać wszystkich, którzy tego potrzebowali.
Mina Wintersa dobitnie świadczyła o tym, że doskonale orientuje się, iż Południowo-Wschodme Linie nie zabierały ludzi w rejs tylko po to, żeby się przejechali i łatali innych.
- A teraz jest pan specem od forsy w... - detektyw zajrzał w raport - Miejskim Szpitalu Dziecięcym w Atlancie. Ciekawa zmiana zainteresowań.
- Leczenie ran podczas rejsu to nie jest zajęcie, na którym można zrobić karierę. Kiedy odszedłem z marynarki, wróciłem na uczelnię i wyspecjalizowałem się w biznesowej branży medycyny.
- Rozumiem. Jestem panu wdzięczny za wszystkie informacje. Niestety, nie mogę pana zapewnić, że kałasznikowy są tu rzadkością i że bez trudu będziemy w stanie namierzyć ten, którego użyto w dzisiejszej strzelaninie. Uliczne gangi w tym mieście najczęściej posługują się bronią szybkostrzelną. Pewnie w Atlancie też tak jest?
- Leczyliśmy kilku członków gangów młodzieżowych

w naszym szpitalu - powiedział cicho Jack. - Ten ostatni miał siedem lat.
- No tak. - Detektyw odłożył raport na biurko i wstał. - Przykro mi, że pańska wizyta w naszym mieście miała taki niefortunny początek.
Jack popatrzył w ślad za potarganą kobietą, która szła w stronę drzwi, i pomyślał, że w sumie nie nazwałby go chyba niefortunnym.
Winters sięgnął po marynarkę.
- Rozumiem, że Angie wiozła pana na spotkanie z senatorem Claiborne'em. Poproszę któregoś z policjantów, żeby pana podrzucił, a ja popracuję z nią w tym czasie nad portretem pamięciowym.
- Poczekam - odparł Jack. Angela spojrzała na niego ze zdumieniem.
- Wziąłem ze sobą teczkę - wyjaśnił ze spokojem - ale część dokumentów zostawiłem w samochodzie. Chcę je przejrzeć przed spotkaniem z twoim szefem.
- Senatorowi się to nie spodoba - ostrzegła go Angela, po czym wymaszerowała z pokoju.
Jego sprawa. Jackowi za to nie podobało się to niespodziewane wezwanie do Waszyngtonu. Pomyślał, że póki nie zrozumie, co kryło się za nagłym „zaproszeniem" senatora, będzie rozgrywał swoją partię powoli i bardzo ostrożnie. Było mu wszystko jedno, czy opracowywanie portretu pamięciowego zajmie Angeli resztę popołudnia, czy całą noc.
Niestety, zajęło jej to bardzo mało czasu. Usiedli obaj z Wintersem w rogu pokoju i patrzyli, jak opisuje człowieka, którego zobaczyła w otwartym oknie samochodu. Pomagała

sobie przy tym wyrazistymi gestami, świadczącymi ojej żywym temperamencie. Policyjny rysownik zasiadł przy klawiaturze i zaczął wprowadzać dane do komputera. Po chwili na ekranie ukazała się męska twarz. Każde kliknięcie myszką dodawało jej indywidualnych cech.
- Mniejszy podbródek - stwierdziła Angela. - I trochę bardziej szpiczasty. Tak! Nie! Za bardzo. Teraz dobrze. Mniej wystające kości policzkowe. Hmm... Dobrze, Tak.
- Popracujmy teraz nad nosem - zaproponował rysownik. - Jaki miał nos? Krótki?
- Dłuższy.
- Wąski?
- Grubszy.
- Bulwiasty?
- Hm...
- A może ten? Nazwałem go „klucha księdza proboszcza". Pasuje do wielu naszych klientów.
Twarz na monitorze wzbogaciła się nieoczekiwanie o słoniową trąbę. Angela wybuchnęła śmiechem.
- Nie, nie był ani taki długi, ani taki gruby.
Śmiejąc się, poprawiając i przekrzykując, pracowali we dwójkę z rysownikiem, jakby od zawsze stanowili zgrany tandem.
- Babka z biglem! - stwierdził Winters z uznaniem. Jack zgodził się z nim w stu procentach.
- Od jak dawna ją pan zna? - zapytał detektywa.
- Od paru lat, a dokładnie odkąd nakryliśmy jej wujka. Albo stryjecznego dziadka? Nigdy nie dowiedziałem się, jakie naprawdę łączy ich pokrewieństwo.
- To ten emerytowany fałszerz, tak?

- Wtedy nie był jeszcze na emeryturze - prychnął Winters. - Podejrzewamy, że puścił w obieg około dwustu tysięcy fałszywek, zanim go nakryliśmy.
- To dziwne, że już wyszedł. Detektyw zawahał się.
- Guido nigdy nie siedział - odparł po chwili. - A powinien. Na pewno powinien. Nasz tak zwany ekspert nie potrafił powiązać fałszywych banknotów, które ściągnęliśmy z ulicy, z drukarką, którą nasi agenci znaleźli w jego kryjówce w Maryland.
Wzrok Wintersa spoczął na kobiecie nachylonej nad konsolą. Ciemne włosy bujną falą opadały jej na ramiona.
- Angie była przy nim przez cały ten czas. Poręczyła za niego, a na przesłuchaniach przysięgała, że rodzina nie widziała grosza z żadnego nielegalnego dochodu. Przedstawiła wyciągi bankowe i stos nie zapłaconych rachunków za szpital, na widok których sędziemu oczy wyszły z orbit.
Wpatrzony w Angelę Winters nie zauważył, że Jack żachnął się lekko.
- Ci Paretti to typowa włoska rodzina. Rozumie pan, co mam na myśli? - ciągnął detektyw. Wszystkie sprawy powinny pozostać w rodzime i nikomu nic do tego. Angela nie chciała, żeby publicznie prano ich brudy. Jej zeznania przekonały sędziego, że Guido nie produkował fałszywych pieniędzy po to, żeby pokryć koszty leczenia Tony'ego.
- A po co miałby to robić, jeśli nie dlatego, żeby pomóc Parettim zapłacić rachunki?
- Naszym zdaniem, tak właśnie było. Wypadek Tony'ego pozbawił Parettich wszelkich oszczędności. Na szczęście teraz dobrze mu się powodzi, bo ma sieć nieźle prosperujących

sklepów z częściami samochodowymi, ale przez jakiś czas było im bardzo ciężko. Jego rodzice musieli sprzedać dom, a Angela rzuciła szkołę i wzięła dwie posady. Mimo to te sępy domagały się...
- Winters urwał i odwrócił wzrok. -Sam pan wie, jak to jest.
- Tak - powiedział z westchnieniem Jack. - Wiem.
Opowieść Wintersa tłumaczyła wiele, między innymi żywiołową niechęć, jaką Angela Paretti żywiła do wszelkiego rodzaju księgowych i kontrolerów.
Wprawdzie Jack nie wiedział nic na temat obrażeń, jakie odniósł jej brat, ale mógł spokojnie założyć, że Tony Paretti spędził co najmniej tydzień na oddziale intensywnej terapii. A potem wymagał długiej hospitalizacji - około siedmiu tygodni na oddziale ortopedycznym i neurologicznym. Plus oczywiście długie miesiące rehabilitacji.
Z tego, co powiedział mu Winters, mógł się domyślić, że polisa ubezpieczeniowa Tony'ego zawierała jedną z tych nie rzucających się w oczy klauzul, dotyczących uprawiania sportów wysokiego ryzyka, której nikt nie zauważył. A potem było już za późno. Zakładając, że Tony w ogóle miał jakiekolwiek ubezpieczenie, kiedy zdarzył się ten straszny wypadek.
Jack poczuł dobrze mu znany ucisk w piersi. Z iloma rodzinami w podobnej sytuacji zetknął się w ciągu minionych lat? Liczby zawirowały mu w głowie. Pięć lat w Szpitalu Dziecięcym, jedenaście w innych szpitalach. Co najmniej sto rodzin rocznie. Czyli tysiąc sześćset zrozpaczonych żon lub mężów albo rodziców czy dorosłych dzieci, przeżywających podwójny szok z powodu nieszczęścia, jakie spotkało ich najbliższych, oraz kosztów ich leczenia.

A choć lista pełnionych przez niego funkcji w Szpitalu Dziecięcym zajmowała dwie bite strony maszynopisu, jego obowiązki streszczały się do jednej podstawowej funkcji -zapewnienia równowagi między potrzebami pacjentów a wymogami finansowymi szpitala. Jack szczycił się tym, że jego szpital miał najwyższy wskaźnik bezpłatnych usług medycznych w całym kraju. Nie było takiego dziecka, któremu odmówiono by leczenia. Ani takiego lekarza, na którego kiedykolwiek wywierano by presję, żeby nie przyjmować pacjentów bez ubezpieczenia. Już on tego pilnował.
Ale nie zawsze tak było. Kiedy przejmował kontrolę nad finansami szpitala, ta niedochodowa instytucja stała na skraju bankructwa z powodu złej organizacji, karygodnego marnotrawstwa oraz jawnej korupcji. Zaatakował wszystkie trzy przyczyny. Najłatwiej przyszło mu rozprawić się ze złą organizacją. Walka z marnotrawstwem wciąż trwała, natomiast jeżeli chodzi o korupcję...
Zarzut korupcji był przyczyną, dla której znalazł się w tak ryzykownej sytuacji. Również dlatego był teraz w Waszyngtonie i patrzył na ciemnowłosą kobietę, która rękoma kreśliła w powietrzu obrazy.
- Tak, to chyba on - powiedziała po chwili. Rysownik odsunął się od komputera.
- Jest pani pewna? Proszę się cofnąć i jeszcze raz popatrzeć.
Angela podeszła do Jacka i Wintersa. Przygryzając wargi, przyjrzała się portretowi.
- Sama nie wiem. Może czoło? Nie, to on! Tak mi się wydaje.
Jack przyjrzał się twarzy widniejącej na ekranie, próbując

doszukać się w niej jakichś' cech, świadczących o zbrodniczych skłonnościach, ale bez skutku. Ten chłopak wyglądał zupełnie tak samo jak młodzi stażyści i sanitariusze w jego szpitalu.
- Roześlemy portret pamięciowy - powiedział Winters. -Trzeba też będzie zatrzymać kilku z tych punków w zielonych koszulach, którzy nazywają się Jeźdźcami, i pokazać im tę twarz. Może nam się poszczęści. Jak tylko będziemy coś wiedzieli, damy ci znać, Angie.
- Dobrze - powiedziała, zarzucając torebkę na ramię. -A teraz niech mi ktoś powie, gdzie są moje kluczyki.
- Powinny być u dyżurnego, przy bramie. Nie chcesz przed wyjściem zadzwonić do matki? Możesz skorzystać z mojego aparatu.
- Nie! Nie teraz!-żachnęła się Angela.-To by mi zajęło co najmniej godzinę. Nie chcę, żeby senator czekał.
Detektyw odprowadził ich do wyjścia i wziął kluczyki z rąk dyżurnego, po czym oddał je Angeli razem z różową karteczką.
- Co to jest?
- Rachunek za wymianę tylnych szyb. Kiedy ty pracowałaś nad portretem pamięciowym, kapitan posłał jednego z chłopaków do warsztatu. Tyle przynajmniej nasza stołeczna policja może zrobić dla wybranych przez naród przedstawicieli władzy.
- Pewnie sobie wykombinował, że w ten sposób choć trochę ukoi słuszny gniew senatora - roześmiała się Angela.
- A ukoi?
- Żadnych szans.

SZALONE WALENTYNKI 51

- Dokładnie to samo powiedziałem kapitanowi - westchnął Winters.

Angela z uśmiechem podrzuciła do góry kluczyki.

- No to do zobaczenia, Eddie.

- Cześć, Angie. I powiedz wujkowi Guidowi, że mam go na oku.

- Zrobię to na pewno.

Jack skinął detektywowi na pożegnanie i razem z Angelą wyszli z budynku. Na schodach przystanęli na chwilę, patrząc na wielopiętrowy garaż po drugiej stronie ulicy.

- Mam nadzieję, że komendant wie, gdzie postawili nasz wóz - powiedziała. - Już i tak mamy olbrzymie spóźnienie. Nie chciałabym teraz przez godzinę szukać naszego chryslera.

Na szczęście granatowy chrysler stał tuż przy wjeździe. Angela wcisnęła klawisz przy breloczku. Drzwi otworzyły się z głośnym kliknięciem. Ponownie wcisnęła klawisz i silnik zaskoczył z głuchym pomrukiem.

- Zdalnie uruchamiany silnik? To przydatne - skomentował Jack.

- O tak, jeżeli komuś się spieszy - odparła, potrząsając głową. - A nam się bardzo spieszy.

Dwadzieścia minut później Angela machnęła identyfikatorem przed wartownią przy wjeździe na teren Kapitolu, po czym skierowała się na podziemny parking, zarezerwowany dla senatorów i pracowników administracyjnych senatu. Kiedy zatrzymała się na wybranym miejscu naprzeciwko windy, odchyliła się w fotelu i odetchnęła z ulgą.

Nareszcie dowiozła na miejsce człowieka, który - zgodnie

z przypuszczeniarni jej oraz szefa - mógł dowieść istnienia świeżej, ziejącej rany w systemie, rozpaczliwie domagającym się reform. Teraz pozostawało jej już tylko jedno -usiąść wygodnie i oglądać przygotowany spektakl.
Wcisnęła ukryty wyłącznik, zainstalowany wraz z systemem zdalnego zapłonu. Silnik ucichł. Pasażer u jej boku spokojnie chował do teczki papiery, które studiował w drodze z komisariatu na Kapitol.
- Możesz tu zostawić płaszcz i walizkę - powiedziała, sięgając po torebkę. - Dostarczymy ci je do hotelu.
Jack wysiadł i poprawił sobie krawat.
- Czy to znaczy, że nie odwieziesz mnie do hotelu?
- Niestety, nie odwiozę. - Gumowe podeszwy zapiszczały na asfalcie, kiedy ruszyła w stronę windy. - Senator ma ważne spotkanie dziś wieczorem. Musiał zmienić cały rozkład dnia z powodu naszego nieprzewidzianego spóźnienia, ale akurat tego spotkania nie mógł odwołać.
- Skoro tak - powiedział cicho Merritt, podchodząc do błyszczących, mosiężnych drzwi - muszę ci teraz podziękować za to, że ocaliłaś mi skórę.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła, wciskając guzik windy.
- Dzięki za cannoli.
- Było mi bardzo miło.
- Iza całusa.
Spojrzała na niego, zaskoczona. Padające z góry światło podkreśliło wyraziste rysy jego twarzy. Nie mogła też nie zauważyć spojrzenia, które spoczęło na jej ustach.
- W tym przypadku - mruknęła - cała przyjemność była raczej po twojej stronie.

- Miałaś oczy otwarte?
- Nie rozumiem.
- Kiedy się całowaliśmy. Miałaś wtedy oczy otwarte?
- Tak. Nie. - Zamachała ręką. - Częściowo. Już ci mówiłam, że jeżeli ten pocałunek miał czegoś dowieść, to chybił celu.
- Może następnym razem powinniśmy spróbować z zamkniętymi oczami.
Angela z niesmakiem pomyślała, że nie omyliła się co do doktora Merritta. Mimo szerokich ramion, szarych oczu i pocałunku, który nie mieścił się w skali miłosnych technik, zbyt analitycznie podchodził do tego, co zaszło między nimi na moście. Miał zbyt duży dystans do emocji, które ją samą wręcz sparaliżowały. Był taki sam jak wszyscy z jego branży.
- Nie będzie następnego razu - ucięła.
Nie wyglądało na to, że dał się przekonać. Chciała jeszcze coś dodać, ale właśnie w tym momencie przyjechała winda. Merritt przełożył teczkę do lewej ręki i jednym silnym szarpnięciem otworzył drzwi przed Angelą. Weszła do środka i nacisnęła guzik drugiego piętra.
Podczas gdy wykładana dębową boazerią kabina sunęła w górę, Merritt obdarzył ją uśmiechem tak podobnym do tego, z jakim przyłapała go na lotnisku, że jej puls przyspieszył tempo.
- Wiesz, co ci powiem - rzucił jakby od mechcenia -przeważająca część mojej pracy polega na przewidywaniu opłacalności inwestycji. Oboje zainwestowaliśmy coś podczas tych kilku chwil na moście. Coś, co według moich przewidywań powinno nam przynieść znaczne dywidendy.
- Nie Ucz na to-mruknęła Angela.

ROZDZIAŁ 4

Podążając za swoją przewodniczką przez przepastne korytarze Kapitolu, Jack był coraz bardziej spięty. Znów przypomniały mu się pytania, które nie dawały mu spokoju od czasu telefonicznej rozmowy z senatorem.

Co kryło się za tym nagłym zaproszeniem? Dlaczego miał zeznawać przed komisją, kjórej przewodniczył Claiborne? Czy ta zbieżność była przypadkowa? A może Szczwany Lis Claiborne ma jakiś tajny program, wykraczający poza proponowane przez niego zmiany prawne, dotyczące reformy opieki zdrowotnej?

Ścisnął mocniej teczkę i przyspieszył kroku. Angela ominęła grupę turystów i skierowała się w stronę szerokich, marmurowych schodów. Mimo zdenerwowania, a może właśnie dzięki niemu, ze szczególną wrażliwością reagował na jej wdzięk oraz pewne, zdecydowane ruchy. Widać było, że dobrze znała drogę w tym budynku, podobnie zresztą jak w komisariacie.

Patrząc na nią, pomyślał, że nawet jeśli nic dobrego nie wyniknie z jego wizyty w Waszyngtonie, to przynajmniej w polu jego widzenia pojawiła się Angela Paretti - a on także wkroczył w jej świat. Jakiekolwiek by były powody, dzięki którym znaleźli się razem na tym moście, ich pocałunek nie

miał w sobie nic przypadkowego. Przez krótki moment, kiedy zetknęły się ich usta, Angela brała od niego wszystko, co mógł jej ofiarować.
Wbrew jej zapewnieniom był przekonany, że kiedyś będzie ten następny raz. Nie wiedział jeszcze gdzie i kiedy, ale będzie na pewno. Najpierw jednak musi stawić czoło Szczwanemu Lisowi w jego jaskini.
Angela niecierpliwie pchnęła masywne, mahoniowe drzwi i wprowadziła Jacka do królestwa senatora Claiborne'a. Już w progu powitał ją chór podnieconych głosów.
- Angela! Słyszeliśmy o strzelaninie!
- Senator telefonował już do burmistrza z wyrazami najgłębszego oburzenia.
- Dzwoniłaś do matki? - dopytywał się jeden z praktykantów. - Nie chcę być tym, który będzie jej musiał o tym wszystkim powiedzieć!
- Chodź tu, Angela! Opowiedz nam, jak to było.
- Później. Obiecuję. Najpierw muszę przedstawić senatorowi jego gościa.
- Doktorze Merritt, pańska sekretarka dzwoniła, żeby się upewnić, czy pan dotarł na miejsce! - zawołał inny praktykant. - Nie mogła uwierzyć, kiedy jej powiedziałem, co się stało. Prosiła, żeby pan do nich zatelefonował, jak tylko pan będzie mógł.
- Dzięki za wiadomość. Na pewno to zrobię.
Mając Jacka u boku, Angela przekroczyła granicę wyznaczoną przez czerwony dywan i weszła do prywatnej części biura. -Na ich widok radca prawny senatora przesunął okulary na czoło i wstał. Podszedł bliżej, a na jego szczupłej, bystrej twarzy malował się głęboki niepokój.

- Angela! Nic ci się nie stało?
Dziewczyna rzuciła torebkę na biurko, przeznaczone do jej użytku podczas tych długich godzin, kiedy czekała na swojego, szefa.
- Wszystko w porządku, Marc. Jestem tylko trochę wściekła, że ktoś wziął mnie na cel, i trochę lepka od bitej śmietany, ale to wszystko.
Mężczyzna uniósł brwi i jeszcze wyżej podsunął okulary w metalowej oprawce.
- Lepka od bitej śmietany?
- Później ci wszystko opowiem. A teraz pozwól, że ci przedstawię doktora Jacka Merritta. Jack, to jest radca prawny senatora, Marc Green.
Nawet jeżeli Green był zaskoczony, że Angela i Merritt mówią sobie po imieniu, nie okazał tego.
- Miło mi pana poznać, doktorze Merritt... Jack. Angela z zainteresowaniem przyglądała się powitalnemu
rytuałowi mężczyzn, składającemu się w jednej czwartej z przywitania i w trzech czwartych z próby wzajemnego oszacowania. Podczas gdy oni zajęci byli sobą, Angela dokonała własnej oceny ich obu. Obaj posiadali pewne atrybuty władzy, pomyślała, zestawiając elegancki garnitur Jacka ze śnieżnobiałą koszulą Marca oraz szelkami, będącymi nieodłącznym elementem stroju męskiego personelu w tym przybytku prawa. Obaj byli krótko ostrzyżeni, choć fryzura Marca miała maskować jego cienkie, rzednące włosy, natomiast w przypadku Jacka chodziło raczej o poskromienie bujnej czupryny. Obu mężczyzn cechowały też chłód i pewność siebie, wynikające ze świadomości odniesionego sukcesu.

A jednak, mimo tych podobieństw, Angela wyczuła zasadniczą różnicę między nimi. Z Jacka promieniował wewnętrzny spokój, który budził zaufanie i któremu zawdzięczał swój autorytet. Natomiast autorytet Marca miał swoje korzenie w jego związkach z potężnym senatorem z Karoliny Południowej. Była to subtelna różnica i Angela odkryła ją ze zdumieniem.
Jak i kiedy stała się tak świadoma zalet Jacka Merritta? Pytanie to wzbudziło w niej irytację. Podobnie jak to, czemu wciąż nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarł na niej jego pocałunek.
- Czuję się w obowiązku przeprosić za ten oburzający incydent. - Głos Marca oderwał ją od rozmyślań na temat pocałunku. - Nie byłoby was na tym moście, gdyby senatorowi nie udało się skusić pana na przyjazd do Waszyngtonu.
- Skusić? - W głębokim głosie Merritta zabrzmiała drwiąca nuta. - A może raczej zmusić? Wasz szef potrafi składać propozycje nie do odrzucenia.
Marc Green pozwolił sobie na półuśmiech.
- To prawda. Muszę przyznać, że próbowałem odradzić senatorowi ten pomysł. Sam pan słusznie stwierdził, że zebrane przez pana dane wymagają weryfikacji. Ale skoro już pan tu jest, z zainteresowaniem wysłucham tego, co pan ma do powiedzenia. System kontroli wprowadzony w Dziecięcym Szpitalu w Atlancie mógłby z powodzeniem posłużyć jako model w przygotowywanym przez nas zreformowanym systemie opieki zdrowotnej.
- Może zanim senator podejmie decyzję, powinien wysłuchać, co mam do powiedzenia na ten temat.
Gdyby nie to, że Angela pracowała z Greenem przez pra

wie trzy lata, pewnie by nie zauważyła lekkiego grymasu zniecierpliwienia na subtelną wzmiankę o tym, że to senator sprawuje władzę, a nie on. Punkt dla kozła ofiarnego.
- A gdzie jest senator?-zapytała.
- Został wezwany na kolejne głosowanie.
- Dzięki Bogu! Bałam się, że już gryzie" wąsy ze zniecierpliwienia. Opracowanie portretu pamięciowego zajęło mi więcej czasu, niż myślałam.
- Portretu pamięciowego? - Marc zsunął okulary na nos. - O czym ty mówisz?
- Widziałam faceta, który strzelał. Tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żebym mogła podać policji jego rysopis, a oni przygotowali szkic pamięciowy. Później ci o tym opowiem. Teraz mógłbyś wprowadzić Jacka do gabinetu szefa. Ja dołączę do was za chwilę.
Nie uszedł jej uwagi wyraz zdumienia w oczach Jacka na wieść o tym, że będzie uczestniczyła w spotkaniu. Marc także to zauważył i pospieszył z wyjaśnieniem:
- Angela jest kimś więcej niż tylko kierowcą senatora Claiborne'a. Często pełni również rolę jego powiernicy - dorzucił z wiele mówiącym uśmieszkiem.
Angela zacisnęła zęby. Po tym dwuznacznie brzmiącym określeniu jej obowiązków czekała na znaczące spojrzenie Jacka. Odkąd zaczęła pracować dla Claiborne'a, często widywała ten wyraz w oczach jego gości i interesantów. Część z nich z pewnością opacznie tłumaczyła sobie jej rolę u boku senatora.
Tymczasem Jack po raz kolejny ją zaskoczył. W miejsce spodziewanej podejrzliwości zobaczyła w jego oczach błysk uznania.

SZALONE WALENTYNKI 59

- Dobrze wiedzieć, że wybrani przez nas politycy omawiają nasze sprawy z kimś spoza swojego własnego grona. Nie chciałbym żyć w przekonaniu, że patrzą na świat wyłącznie przez te wąskie okna.

Znowu to zrobił, pomyślała Angela. Znowu okazał jej swoją ludzką twarz. Jeżeli nie będzie się miała na baczności, gotowa polubić tego mężczyznę. Uśmiech, jakim go obdarzyła, był o kilka stopni cieplejszy, niż było to jej zamiarem.

- Dzięki. Za chwilę wracam. Muszę tylko oddać księgowej rachunek za wstawienie nowych szyb.
- Zadzwoń też do matki - przypomniał jej Marc. - Lepiej, żeby nie dowiedziała się o strzelaninie od osób trzecich.

Angela z westchnieniem pokiwała głową.

Pierwsze zadanie zajęło jej niecałe dwie minuty. Opowiedziała księgowej o wypadku i poprosiła, żeby jak najprędzej załatwić zwrot kosztów. Obie dobrze wiedziały, że senator nie lubi mieć żadnych zobowiązań względem burmistrza.

Natomiast druga sprawa trwała znacznie dłużej. Maria Paretti była najpierw zaszokowana, potem przerażona, później wściekła, a na koniec kategorycznie zażądała, żeby Angela natychmiast przyjechała do Baltimore, bo chce na własne oczy zobaczyć, że jej córka jest zdrowa i cała. Angeli udało się w końcu ją uspokoić, ale musiała solennie obiecać, że zadzwoni, jak tylko będzie wolna.

Kiedy wracała do biura, otworzyły się prywatne drzwi, prowadzące do sali obrad, i w progu stanął Henry Claiborne. W pierwszej chwili nie zauważył mężczyzn, siedzących przy stole konferencyjnym, tylko całą swoją uwagę skupił na Angeli.

- No, no, moja panno!. - huknął. Przeszedł przez pokój

i ujął ją za ręce. - Co ja słyszę? Podobno utknęłaś w korku? Nie myślałem, że dożyję takiego dnia. Jego obecność sprawiła - jak zawsze - że przestronne pomieszczenie jakby się skurczyło. Senator, podobnie jak Jack, był wysokim, postawnym mężczyzną. Wiek oraz nadmierna skłonność do burbona przydały mu tuszy, ale ani wiek, ani matka natura nie zdołały poskromić rudego odcienia jego brwi oraz wąsów, którym zawdzięczał swoje przezwisko i które stanowiły zaskakujący kontrast z jego lśniącą, łysą czaszką. Teraz, w wieku lat siedemdziesięciu kilku, był równie przebiegły, jak uparty, a także równie hojny ze swojej kieszeni, jak oszczędny tam, gdzie w grę wchodziły publiczne fundusze. Z biegiem lat nabrał upodobania w lansowaniu swojego mocno przesadzonego wizerunku Szczwanego Lisa z Południa, który dozował wedle własnego uznania i stosownie do okoliczności. Angela uwielbiała jego przesadę, podobnie zresztą jak jego samego. Teraz ze śmiechem ścisnęła go za ręce.
- Wiem, wiem. Niestety, to kiedyś musiało się stać. Utknęłam w korku. Gdyby to się stało w jakimś innym miejscu, a nie akurat na tym moście, jakoś bym sobie poradziła.
- Jestem tego absolutnie pewny. - Niebieskie oczy senatora prześlizgnęły się po jej twarzy. - Słyszałem, że wóz został trafiony, a ty wylądowałaś na ziemi. Mam nadzieję, że żadne z was nie odniosło obrażeń, których nie dałoby się naprawić.
- Ze mną wszystko w porządku, a co do naprawy wozu - burmistrz wziął to na siebie. Ale może pan być spokojny -dodała - przedstawiłam już rachunek do zwrotu.
- To dobrze! A dzwoniłaś do matki?

- Tak.
- Muszę przyznać, że mi ulżyło, moja panno! Wolałem, żeby to ktoś inny opowiedział jej o tym „drobnym incydencie", a nie ja. - Mocno ścisnął ją za ręce. - Na pewno nic ci się nie stało? Nie masz obtartych kolan albo skaleczeń od szkła?
- Nie. Naprawdę. Jack... to znaczy doktor Merritt zasłonił mnie, kiedy padaliśmy na ziemię. To jego obsypało stłuczone szkło.
- Ach tak?
Senator poklepał ją po ręce i zwrócił wzrok na swojego gościa.
- Przejdźmy teraz do rzeczy, Jack - chyba mogę ci mówić Jack? - Zaprosiłem pana do Waszyngtonu, żeby wspólnie zastanowić się nad tym, jak dopasować pański program kontrolny do mojego projektu zreformowania opieki zdrowotnej. Pański dzisiejszy odważny postępek może dać mi podstawę do wystąpienia o wprowadzenie nowych ustaw dotyczących zwalczania przestępczości. Jestem panu podwójnie zobowiązany, Jack.
- Nie nazywałbym mojego postępku szczególnie odważnym, panie senatorze - sucho odparł Merritt. - Jeżeli to panu pasuje, może pan go sobie użyć jako kiełbasy wyborczej.
- Tak, wiem o tym.
- Naprawdę?
Merritt zimno uniósł brwi, na co senator roześmiał się i wskazał Angeli miejsce przy stole konferencyjnym. Sam zasiadł na wytartym skórzanym fotelu, który zajmował przez ostatnie cztery dekady.
- Wiem o panu dość dużo, Jack. Wszystko, co moi pracownicy zdołali zgromadzić w tak krótkim czasie.

- Wcale mnie to nie dziwi.
Merritt siedział wygodnie rozparty w fotelu i sprawiał wrażenie równie zrelaksowanego jak senator. Na jego twarzy malowało się wyłącznie uprzejme zainteresowanie.
- I co? Dowiedział się pan czegoś ciekawego, panie senatorze?
- O tak, tak. Dowiedziałem się, że w dniu osiemnastych urodzin opuścił pan dom i wybrał zaszczytną służbę w marynarce. Że potem wrócił pan na studia i miał spore osiągnięcia w sporcie. Że wzgardził pan fortuną dziadka i poszedł własną drogą.
- To stara historia, panie senatorze.
Claiborne z jowialnym uśmiechem splótł dłonie na wydatnym brzuchu i ciągnął:
- Dowiedziałem się też, że zgromadził pan pokaźne fundusze na rozbudowę Szpitala Świętego Józefa w Birmingham, a to dzięki sprytnym, długoterminowym inwestycjom. Ze wyciągnął pan Szpital Dziecięcy w Atlancie z finansowej zapaści. Dowiedziałem się również, że narobił pan sporo zamieszania w środowisku medycznym tymi programami kontrolnymi, które wprowadził pan w swoim szpitalu. Chciałbym usłyszeć o nich coś więcej, synu.
Uprzejmie wypowiedziany rozkaz zawisł w powietrzu. Jack nie od razu odpowiedział.
- Jak już panu mówiłem przez telefon, panie senatorze, te programy kontrolne zostały pomyślane jako środek umożliwiający wyehminowanie marnotrawstwa oraz zwiększenie efektywności w obrębie naszego szpitala. Rezultaty nie miały być podane do wiadomości publicznej. Obawialiśmy się, że pewne partie mogłyby nimi manipulować

w celu wygrania swoich ambicji osobistych albo politycznych.
Angela zamrugała ze zdumienia. Ludzie wzywani do tego gabinetu tracili śmiałość w obliczu autorytetu i władzy człowieka, który go zajmował. Główny audytor i wicedyrektor Szpitala Dziecięcego w Atlancie ewidentnie do nich nie należał.
Wbrew woli poczuła podziw dla siedzącego naprzeciw niej mężczyzny, który już od pierwszego wejrzenia budził w niej tak silne emocje.
- Drogi panie - uprzejmie powiedział senator - przyznaję się bez bicia, że mam pewne ambicje polityczne. Dlatego właśnie zasiadam w tym świętym przybytku. Ale gotów jestem zostawić panu interpretację tych faktów... na razie.
Ostatnie dwa słowa oznaczały, że obie strony sięgnęły po miecze. Cicho i dyskretnie. Angela w napięciu czekała na pierwszy brzęk ostrza o ostrze. Powinna pamiętać, że jej szef jest zbyt wytrawnym graczem, żeby zaryzykować bezpośredni, frontalny atak.
- A może by mi pan powiedział coś niecoś na temat tych kontroli? - zaproponował Claiborne.
Merritt przyglądał mu się przez chwilę, a potem sięgnął po teczkę i wyjął z niej stos wykresów.
- Jako podstawę przyjąłem metodę kontroli procesów statystycznych, opracowaną przez Demminga oraz speców od zarządzania.
Senator uśmiechnął się.
- A nie zechciałby pan powiedzieć tego w taki sposób, żeby stary Szczwany Lis mógł to zrozumieć?

Błysk w oku Merritta powiedział Angeli, że doktor nie dał się nabrać na rzekomą ignorancję Claiborne'a.
- Opracowałem prosty system komputerowy, ustalający statystyczne normy dla poszczególnych funkcji i wykrywający odstępstwa od tej normy. To program podobny do tego, jakim posługuje się Biuro Budżetowe Kongresu w celu wykrycia różnych pozycji, takich, na przykład, jak przyjmowanie honorariów oraz wykorzystywanie przywileju darmowej poczty przez senatorów.
- Chyba znam ten program, synu.
- Tak też sobie myślałem. Senator zaśmiał się cicho.
- A jakież to funkcje mierzy pan podczas swoich kontroli?
- Wszystko, co może mieć wpływ na naszą codzienną działalność, a także na jakość świadczonych usług. Z tych wykresów jasno wynika, że mamy oko na wszystko, począwszy od kredytów na szkolenia, zaciąganych przez naszych lekarzy konsultantów, po ustalenie, ile czasu zajmuje ekipie, technicznej wymiana pękniętego kafelka czy przepalonej żarówki.
- Naprawdę? No to ile czasu zajmuje wymiana żarówki w pańskim szpitalu?
Tym razem w głosie senatora zabrzmiało autentyczne zainteresowanie. Ponad stosem wykresów zaczęła się rozmowa na temat funkcjonowania olbrzymiej i skomplikowanej machiny, jaką był Szpital Dziecięcy w Atiancie. Fachowość doktora Merritta wzbudziła podziw Angeli. Był doskonałym menedżerem, szczególnie wyczulonym na potrzeby pacjentów. W niczym nie przypominał swoich kolegów po fachu, z którymi los zetknął ją po wypadku Tony'ego.

SZALONE WALENTYNKI 65

Kiedy ostatni wykres znalazł się na biurku, senator podkręcił wąsa. Patrząc na jego ciężkie powieki, opadające pod krzaczastymi brwiami, można było przypuszczać, że lada moment utnie sobie popołudniową drzemkę - co mu się zresztą często zdarzało.

Angela jednak nie była przypadkowym obserwatorem. Nagle zaschło jej w gardle. Z bijącym sercem czekała, kiedy senator zada precyzyjnie obliczony cios. Następne chwile miały zadecydować o tym, czy kozioł ofiarny dobrowolnie wstąpi na ołtarz, czy trzeba go będzie tam zawlec siłą.

- To bardzo interesujące, synu. Bardzo interesujące. Jestem pod wrażeniem. Szczególnie zainteresowały mnie wymienione przez pana środki, przedsięwzięte w celu wyeliminowania wszelkich przekroczeń normy. Oczywiście pańskie kontrole musiały również wykryć pewne praktyki, które nie tylko nie mieszczą się w normie, ale w ogóle są poza wszelkimi normami.

- Owszem, było kilka takich przypadków - przyznał Jack, składając papiery.

- Na przykład te recepty na gromorphin?

Ponad wypolerowanym blatem stołu mężczyźni spięli się wzrokiem. Przez dłuższą chwilę w gabinecie słychać było jedynie głośne tykanie staromodnego zegara.

Angela z zapartym tchem patrzyła na Merritta.

- A mogę zapytać, czemu interesuje się pan jakimś hormonem wzrostu, panie senatorze?

Marc Green wychylił się i uprzedził odpowiedź szefa.

- Gromorphin to nie jest jakiś tam hormon wzrostu. To jest jedyny hormon wzrostu, dostępny na naszym rynku.

- Jedyny syntetyczny hormon.

Usta Greena zacisnęły się w wąską kreskę. Nie przywykł, żeby go ktoś poprawiał.
- Jedyny syntetyczny hormon na rynku - przyznał niechętnie. - Produkowany przez firmę Miles. Jego wyłącznym dystrybutorem jest...
- Nasz szpital jest jednym z wiodących centrów leczenia hormonalnego niedoboru wzrostu - przerwał mu Merritt. -Wiem, kto jest dystrybutorem gromorphinu.
Powinien to wiedzieć. Lekarstwo było rozprowadzane przez firmę HealthMark - ten sam olbrzymi koncern, który zapraszał go na konferencje na Arabie i w Szwajcarii. Tę samą korporację, której główny przedstawiciel handlowy obściskiwał się z blondyną o przesiąkniętym whisky oddechu w barze w Tampa. Tę samą firmę, przeciwko której, w wyniku przeprowadzonej przez niego kontroli, wdrożono tajne śledztwo.
Tak więc wiedział, kto był dystrybutorem hormonu.
Ale nie wiedział jeszcze, jakie są powiązania senatora „ Claiborne'a z gigantem farmaceutycznym HealthMark.
Przyszły mu na myśl rozmaite warianty, które omawiał z grapą agentów prowadzących śledztwo w sprawie koncernu HealthMark tuż przed pierwszym telefonem od senatora. Najbardziej oczywiste wydawało się przypuszczenie, że gdzieś nastąpił przeciek, Claiborne dowiedział się o brzemiennych w skutki wynikach kontroli i postanowił posłużyć się nimi w swojej kampanii na rzecz wzmocnienia rządowej kontroli nad dystrybucją oraz sprzedażą leków.
Mniej oczywista wydawała się możliwość, że senatorem powodowały bardziej osobiste motywy. Jak wszystkie olbrzymie koncerny powiązane z ochroną zdrowia, Health-

SZALONE WALENTYNKI 67

Mark brał żywy udział w przygotowywaniu reformy opieki zdrowotnej. Niewykluczone, że firma potajemnie finansowała kampanię wyborczą senatora, licząc na to, że kupi sobie jego przychylność. Czy i jemu pokrywali koszty pobytu na konferencjach w różnych egzotycznych miejscach? Czy doszli do wniosku, że pora już zacząć odcinać kupony? Czy w związku z tym poprosili Claiborne'a, żeby użył swoich wpływów w celu zdyskredytowania wyników kontroli?

Od dnia, w którym Merritt dostał wezwanie do Waszyngtonu, prowadzący śledztwo robili wszystko, żeby znaleźć ogniwo łączące senatora z firmą HealthMark.

Jack wciąż rozważał w myślach możliwe warianty, kiedy Angela po raz pierwszy włączyła się do rozmowy.

- Gromorphin jest stosowany nie tylko w terapii hormonalnego niedoboru wzrostu u dzieci - powiedziała, wychylając się do przodu. - Został on także uznany za steryd, w związku z czym stosuje się go również w celu zahamowania nabytego niedoboru hormonu wzrostu u dorosłych, zwłaszcza tych, którzy doznali poważnego uszkodzenia ciała, a przede wszystkim narządów ruchu.

- Jak twój brat? - powiedział z naciskiem Jack.

- Jak mój brat.

Reakcja Merritta była czysto instynktowna. Poczuł przykry skurcz żołądka, zanim jego umysł zdążył przeanalizować to, co usłyszał. Miał głęboką nadzieję, że Angela nie była w to zamieszana. Ze bez względu na to, co łączyło senatora z koncernem, będącym przedmiotem dochodzenia, Angela nie należała do spisku.

- Z tego co wiem, synu, jedna z twoich kontroli dotyczyła tego właśnie specyfiku. - Dobrotliwy uśmiech nie schodził

z twarzy Claiborne'a. - To oczywiste, że chcielibyśmy posłuchać o jej wynikach.
- Nie mam przy sobie danych - sucho odparł Jack. -A nawet gdybym miał, musiałbym się najpierw dowiedzieć, po co wam te wyniki, zanim bym je panu udostępnił.
- Musiał pan słyszeć o moim projekcie, który jest aktualnie rozpatrywany przez naszą komisję. Jestem gotów poruszyć niebo i ziemię, żeby przeszedł. Chodzi o specjalne dotacje dla rządu w celu wzmożenia kontroli nad przemysłem...
Ostry, pulsujący dźwięk przerwał wypowiedź senatora. Spojrzał na telefon, a potem podniósł się z fotela.
- Przepraszam państwa. To chyba telefon z Białego Domu. Nie, nie. Zostańcie. Jeśli się okaże, że to poufna sprawa, dam wam znać.
Odwrócił się plecami do swoich gości i wpatrzony w rozległy widok za oknem, podniósł słuchawkę. Jack poczuł, że puls przyspiesza mu tempo.
A niech to! Miał wrażenie, jakby przejechała go karetka, A raczej granatowy chrysler, prowadzony przez ciemnowłosą kobietę w białych adidasach. Jak mógł być taki ślepy? Powinien myśleć, zamiast pozwolić na to, żeby jego uwagę odwróciły takie szczegóły, jak strzelanina czy plamka bitej śmietany na policzku Angeli Paretti; powinien był się raczej skupić na związku pomiędzy obrażeniami jej brata a hormonem wzrostu. I pomyśleć, że popełnił ten błąd w samym środku dochodzenia, które od czterech miesięcy pochłaniało całą jego energię.
Teraz już wiedział, że z Angelą łączyło go coś więcej niż tylko kilka minut intymności i grozy na waszyngtońskim moście. Angela była częścią tego, co go przywiodło do

SZALONE WALENTYNKI 69

Waszyngtonu. A on chciał poznać odpowiedź na pytanie: Jak duży był w tym jej udział?

Wciąż próbował uporządkować splątane wątki, które doprowadziły go do tej kobiety, bębniącej teraz palcami w konferencyjny stół. Senator znowu się do nich przyłączył, pochrząkując z zadowolenia.

- Widać, że wybory coraz bliżej. Prezydent chce poddać pod głosowanie kompromisową wersję ustawy o ubezpieczeniach społecznych. Ma nadzieję spotkać się ze mną i z przewodniczącym w swoim gabinecie.

- Najwyższa pora, żeby trochę spuścił z tonu - zauważył Marc ze znaczącym uśmieszkiem. - Przygotuję panu listę punktów, co do których gotowi jesteśmy pójść na ustępstwa.

Po jego wyjściu senator zwrócił się do Jacka:

- Wracając do tych wyników kontroli w sprawie gromorphinu. Chciałbym, żebyś mi to przygotował podczas mojej nieobecności, synu. Pogadamy o tym, jak wrócę. Może przy kolacji albo...

- Dziś wieczorem jest pan zajęty - wtrąciła Angela, a widząc zdumienie szefa, uniosła stopę. Na białych adidasach wesoło zalśniły czerwone serduszka.

- Dziś jest Dzień Świętego Walentego, zapomniał pan? Ma pan inne... spotkanie.

Senator otworzył szeroko oczy, a jego rude wąsy drżały przez chwilę jak ogon wiewiórki.

- Racja! Byłbym zapomniał!

W jednej sekundzie jowialny wujaszek zmienił się w tryskającego energią organizatora.

- Jadę teraz z przewodniczącym do Białego Domu. Jak

skończymy, pojadę na kolejne spotkanie. A ty zajmij się Jackiem, Angelo.
- Ja?
- Odstaw go do hotelu, a potem zaproś na kolację na mój rachunek. Wytłumacz mu, dlaczego chcemy obejrzeć te dane, dotyczące gromorphinu.
Angela z powątpiewaniem spojrzała na Merritta.
- Nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł. A poza tym, nie mogę. Obiecałam Gusowi, że mu pomogę dziś wieczorem.
- Co to znowu, moja panno! Gus zrozumie.
- Ale...
- W tej sprawie jesteś lepiej zorientowana niż ktokolwiek z moich ludzi, nawet Marc Jeżeli komuś uda się nakłonić doktora Merritta do współpracy, to tylko tobie. A jeżeli nie... - niebieskie oczy senatora przekazały czytelny sygnał, że żarty już się skończyły - użyję wszelkich kompetencji i pod groźbą kary wezwę go do stawienia się na przesłuchanie.
Skinął Jackowi głową i wyszedł z gabinetu.
Angela patrzyła za nim, a w jej wzroku gniew mieszał się z rezygnacją. A potem, krzyżując ręce na piersi, zwróciła się do Jacka. Jej obuta w adidasy stopa niecierpliwie tupała w dywan.
- Myślisz, że potrafię nakłonić cię do współpracy?
- Zawsze możesz spróbować. To już zależy tylko od ciebie.

ROZDZIAŁ 5

Kto to jest Gus?

Pytanie Jacka przerwało ciszę, jaka zapadła między nim i jego towarzyszką, odkąd wsiedli do windy, żeby zjechać na parking.

- Mąż mojej kuzynki Teresy - odparła Angela, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- A w czym miałaś mu pomagać dziś wieczorem?

- Gus jest głównym dyspozytorem korporacji taksówkowej, „Tip-Top", wynajmującej eleganckie limuzyny. Kilka lat temu dał mi pracę. Dorabiałam u niego jako kierowca, kiedy senator mnie nie potrzebował. Teraz nie biorę już tylu fuch co dawniej, ale staram się pomóc mu przy szczególnych okazjach.

- Takich jak Dzień Świętego Walentego?

- Zwłaszcza w Dniu Świętego Walentego. To najbardziej dochodowa noc w roku dla firmy. - Angela przygładziła włosy. - Gus będzie teraz musiał zmienić cały plan i obciążyć innych kierowców.

Jack przypomniał sobie uwagi detektywa Wintersa na temat dwóch posad, jakie Angela przyjęła, żeby pomóc bratu.

- Nie znałem twoich wcześniejszych zobowiązań, godząc się na plan senatora, dotyczący dzisiejszego wieczoru. Może

my sobie darować kolację. Spotkajmy się, kiedy już będziesz wolna.
- Nie, to się nie uda. - Angela potrząsnęła głową. - Powiedziałam Gusowi, że wezmę kilka kursów, jeden po drugim, czyli skończę bardzo późno, pewnie grubo po północy.
- Nie szkodzi, ja do tej pory na pewno nie zasnę - zażartował Jack.
Był absolutnie pewny, że nie zaśnie, póki nie otrzyma odpowiedzi na kilka pytań, z których najbardziej palące brzmiało: Ue tak naprawdę Angela Paretti wiedziała na temat HealthMarku i gromorphinu?
Chciał wierzyć, że to zainteresowanie brało się stąd, że jej brat stosował ten lek, a także z jej oczywistego zaangażowania w program reform senatora. Bardzo chciał w to wierzyć. Wciąż miał wobec niej dług wdzięczności. Jakkolwiek by było, ocaliła mu życie. A na koniec - miał cichą nadzieję na powtórny pocałunek. I to z zamkniętymi oczami.
- Jest jeszcze jedno wyjście - powiedziała Angela po namyśle. - Moglibyśmy zjeść kolację i porozmawiać, kiedy nasi klienci będą na swojej kolacji.
- A czy oni nie będą mieli nic przeciwko obecności dodatkowego pasażera?
- Mogliby, gdyby chodziło o dodatkowego pasażera. - Angela uważnie mu się przyjrzała. - Twój ciemny garnitur ujdzie od biedy za uniform. Skombinuję ci kapelusz i będziesz udawał mojego praktykanta.
- Praktykanta?
Jack rozważył w myślach tę propozycję. Nie podobała mu się perspektywa dzielenia czasu i uwagi Angeli z jej klientami. Nie, gdy gra toczyła się o tak wysoką stawkę.

A tak w ogóle, nie chciał jej z nikim dzielić. Chciał być wyłącznym panem jej czasu i uwagi.
Jego wahanie wcale nie zdziwiło Angeli. Zanim złożyła tę propozycję, podejrzewała, że nie zechce z niej skorzystać, chociaż w sumie nie była tak absurdalna, jak się mogło wydawać.
Wielu kierowców, z którymi pracowała, często naginało przepisy do sytuacji osobistych. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zdesperowany ojciec woził śpiące dziecko na przednim fotelu tak długo, aż jego żona skończyła pracę. Niektórzy zapraszali swoje dziewczyny i spędzali z nimi długie godziny, podczas gdy ich klienci spożywali kolację albo siedzieli w teatrze.
Angela wykorzystywała ten czas na lekturę. Do ukończenia studiów magisterskich, które musiała przerwać po wypadku brata, brakowało jej tylko kilku egzaminów. Wiedząc, że senator będzie zajęty przez cały wieczór, wzięła parę kursów, żeby zdobyć trochę dodatkowych pieniędzy, a także, by poświęcić godziny oczekiwania na przygotowanie do zbliżającego się egzaminu.
Jeden rzut oka na minę Merritta powiedział jej, że chyba uda jej się jednak trochę pouczyć tej nocy.
- A jaki kapelusz musiałbym założyć? - zapytał po dłuższym milczeniu.
- Cylinder. To symbol korporacji „Tip-Top".
Była prawie pewna, że Merritt się teraz wycofa. Trudno go było zresztą o to winić. Wszyscy kierowcy korporacji wręcz nie znosili tego śmiesznego nakrycia głowy. Angela nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby główny audytor i wicedyrektor szpitala przystał na coś takiego, jak nocna jazda po

74 SZALONE WALENTYNKI

Waszyngtonie w charakterze praktykanta kierowcy - i do tego jeszcze w cylindrze!

Westchnęła w duchu. Nie chciała sprawić Gusowi zawodu, a tej nocy była mu rzeczywiście potrzebna. Z drugiej strony, perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie Merritta wcale nie wydawała jej się taka straszna. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że w tej chwili łączyło ich już coś więcej niż tylko polityka.

Może rzeczywiście zainwestowali w siebie podczas tych kilku chwil na moście. Może przyszedł czas, żeby głębiej zbadać przyczynę tego dziwnego pobudzenia, jakie ogarniało ją, ilekroć Jack był w pobliżu.

Nie mogła nawet odetchnąć, żeby nie czuć jego zapachu, ani poruszyć się, by go nie dotknąć. Nagle ogarnęła ją przemożona chęć, żeby przyjąć jego propozycję i spróbować pocałunku, tym razem z zamkniętymi oczami.

- Jeżeli mają cylinder, który będzie na mnie pasował, postaram się nie przynieść ci wstydu. - Głos Merritta przerwał jej rozmyślania.

- Ach, jestem pewna, że coś znajdziemy. W dyspozytorni stoi cały kufer pełen cylindrów.

- O której masz pierwszy kurs? Spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej.

- O szóstej trzydzieści. Mamy akurat tyle czasu, żeby po drodze wstąpić do hotelu.

- Moja rezerwacja została potwierdzona kartą kredytową, więc nie ma potrzeby jechać teraz do hotelu.

- No to trzymaj się mocno!

Zerknęła w lusterka, a potem dodała gazu i błyskawicznie przecięła kilka pasów na jezdni. Stopa w czarnych półbutach

znowu wbiła się w dywanik. Tym razem Angela nawet nie próbowała ukryć uśmiechu.
- Oto twoja pierwsza lekcja. Dobry kierowca zawsze wie, co jest za nim, przed nim i z boku. A w razie potrzeby potrafi przecisnąć się przez lukę szerokości kartki papieru, nie rysując przy tym karoserii.
- Miejmy nadzieję, że dziś wieczorem nie będzie takiej potrzeby - roześmiał się Jack.
Angela zawsze była skora do śmiechu. Oderwała wzrok od jezdni i także się roześmiała. Poczuła, że potrafi zapanować nad swoimi emocjami tak samo, jak panuje nad kierownicą. W skupieniu poprowadziła chryslera przez zatłoczone ulice miasta.
Dwadzieścia minut później wjechała z Wisconsin Avenue na teren dyspozytorni „Tip-Topu". Parking odgrodzony był od ulicy grubym łańcuchem, a z pozostałych trzech stron otaczały go wysokie budynki. Granatowy chrysler zahamował dosłownie o milimetry od ceglanego muru.
- Zaraz wracam. Muszę tylko wziąć listę kursów i kluczyki. No i oczywiście nasze kapelusze - dodała z uśmiechem.
- Jesteś pewna, że nie będziesz miała przeze mnie żadnych kłopotów?
- Ależ nie. Przecież Gus to moja rodzina.
Kiedy wystawiła nogi na zewnątrz, chłodny powiew podwinął jej spódnicę. Po wyjątkowo ciepłym jak na luty dniu przyszedł mroźny wieczór. Drżąc z zimna, Angela postawiła kołnierz tuniki i pobiegła w stronę pordzewiałego blaszaka, który jego właściciel szumnie nazywał dyspozytornią.

Wróciła po kilku minutach z tabliczką oraz dwoma krążkami z czarnego jedwabiu. Merritt wysiadł i stanął obok niej. Zimny wiatr rozwiewał mu włosy.
- Przymierz ten.
Jeden zręczny ruch sprawił, że z czarnego krążka zrobił się cylinder. Angela wręczyła go Jackowi, który nasunął go sobie zawadiacko na czoło.
- No i jak?
- Wyglądasz bardzo... - urwała, szukając w myślach stosownego określenia - bardzo dostojnie.
- Aż tak źle?
Nie, pomyślała, aż tak dobrze. Nawet za dobrze.
Merritt nosił to śmieszne nakrycie głowy z gracją, której sam Cary Grant mógłby mu pozazdrościć. Wyglądał jak prawdziwy arystokrata. I był taki przystojny!
Patrząc na niego, Angela aż się przeraziła. Co się z nią dzieje? Znała tego człowieka dopiero od paru godzin. Przez całe przedpołudnie martwiła się tylko o to, żeby go dostarczyć senatorowi na czas. A teraz wyglądało na to, że zapomniała o swojej głównej misji. Otrząsnęła się, nałożyła cylinder i sprawdziła kluczyki, przypięte do tabliczki.
- Mamy dwieście osiemdziesiąt sześć. Strasznie powolna landara, za to czysta.
Przeszli się po parkingu i szybko zlokalizowali przedłużony prezydencki model srebrnego lincolna. Angela zerknęła na listę.
- Najpierw mamy luksusowy kurs, z kolacją i przejażdżką przy księżycu. Przeczytam ci teraz, czego klient sobie zażyczył, a ty sprawdź, czy wszystko jest, jak trzeba.

- Mam naprawdę być twoim pomocnikiem?
- Możesz mi się przydać, a nie tylko służyć do ozdoby. Jedna czerwona róża w srebrnym wazonie. - Machnęła ręką, w której trzymała pióro. - Sprawdź!
Jack zdjął cylinder i zajrzał do wnętrza limuzyny.
- Jedna czerwona róża w srebrnym wazonie - powtórzył. - Jest.
- Szampan - Dom Perignon rocznik osiemdziesiąt trzy. Z lodem.
- Jest. Nie najlepszy rocznik, skoro już o tym mowa. Angela puściła mimo uszu tę uwagę.
- Cztery kieliszki do szampana.
- Czemu cztery? - zapytał.
- Gdyby się któryś stłukł. Są?
- Są.
- Jedna kaseta... zaraz, zaraz. Jest, na tabliczce. A niech to! Rachmaninow! Co za brak wyobraźni!
- A jaka muzyka wydaje ci się stosowna na tę okazję? -zainteresował się Jack, zatrzaskując drzwi.
Angela zamyśliła się.
- Późny Caruso, wczesny Lanza i cały Pavarotti.
- Rozumiem. Włoscy tenorzy na pierwszym miejscu w kategorii romantyków.
- Przynajmniej w mojej rodzinie - odparła Angela i zerknęła na drugą kartkę. Kiedy zobaczyła nazwisko i adres, mina jej się wydłużyła.
- No nie! Jak Gus mógł mi to zrobić!? Znowu dał mi tego Gapia.
- Kto to jest?
- Nasz regularny klient. Niestety.

- To mi się nie podoba.
- Nie przejmuj się. Poradzę sobie z nim... i to w rękawiczkach.
Zostawiła Jacka jego rozmyślaniom, a sama wślizgnęła się na miejsce kierowcy i uruchomiła silnik. Lincoln zaskoczył z niskim, miłym dla ucha szumem. Wtedy wysiadła, sprawdziła opony, światła i kierunkowskazy. A potem znowu zasiadła za kierownicą.
- Jest pan gotowy na pierwszy kurs w roli pomocnika kierowcy, panie doktorze?
- Zawsze gotowy.
Wyjeżdżali z parkingu, kiedy Angela usłyszała przytłumiony chichot.
- O co chodzi? - zapytałajbez trudu dostosowując promień skrętu do wydłużonej sylwetki lincolna.
- Przypomniał mi się luksusowy pakiet, dołączony przez biuro podróży do moich biletów do Waszyngtonu. O ile pamiętam, była tam mowa o limuzynie, szampanie z lodem i nocnej przejażdżce po mieście.
- Żartujesz? Może Gus ma to zamówienie i zamiast z przodu, powinieneś jechać rozparty z tyłu.
- Nie sądzę. Powiedziałem sekretarce, że ma zadzwonić do „Podróży Guliwera" i odwołać wszystkie dodatkowe rezerwacje.
- Ale dlaczego?
- Moim zdaniem, to nie wypada, żeby osoba odpowiedzialna za finanse szpitala woziła się po stolicy limuzyną.
Angela uśmiechnęła się.
- No i proszę! Sam widzisz! - powiedziała.

Merritt pokiwał głową i spojrzał na nią w taki sposób, że zrobiło jej się gorąco.
- Widzę - odparł ze śmiechem.
Kiedy wreszcie zasiedli przy małym stoliku w zatłoczonej, hałaśliwej kantynie, o kilka przecznic od eleganckiej restauracji, w której ich klienci zamówili sobie kolację, Jack doszedł do wniosku, że poważnie żałuje swojej decyzji, by towarzyszyć Angeli w pracy.
Umierał z głodu, a słuchanie na okrągło Rachmaninowa sprawiło, że niemal znienawidził swojego ulubionego dotąd kompozytora. Odkrył też, że im bardziej Angela była zajęta, tym bardziej jej potrzebował. Chciał być wyłącznym panem jej czasu i uwagi, a także jedynym adresatem uśmiechów, którymi tak hojnie obdarzała klientów, portierów, kelnerów. .. włącznie z tym, który się teraz nad nimi nachylał.
- To, co zawsze, Angelina?
- Tak, proszę, Dominie. I dużo orzeszków.
- A dla pana?
- Może być to samo.
- Primo! Dwa razy fettucine eon salsa di noci. - Smagły kelner oddalił się z promiennym uśmiechem.
- Czy ty chociaż wiesz, co zamówiłeś? - spytała Angela.
- Nie. Myślisz, że będzie mi to smakowało?
- Oczywiście, że tak. To specjalność tego lokalu. Domowy makaron z puree z laskowych orzechów, ricotta i świeżym parmezanem w sosie śmietanowym.
- Czy Dominie i jego ojciec to też twoi krewni?
- Hm... raczej powinowaci w trzecim i czwartym pokoleniu - odparła, grzebiąc w torebce. Wyjęła **z** niej czarny pa-

ger i położyła go na kraciastym obrusie, żeby móc go usłyszeć w tym hałaśliwym lokalu.
- Powiedz mi, czemu odnoszę takie wrażenie, że jesteś spokrewniona z połową Waszyngtonu?
Angela uśmiechnęła się.
- Czasami rzeczywiście może to tak wyglądać. Moi pradziadkowie przyjechali tu z Włoch i osiedlili się w South Philly, ale rodzina Parettich rozpleniła się po całym Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy się tu przeprowadziłam z Baltimore, mojego rodzinnego miasta, mama zaalarmowała wszystkie ciotki, wujków i kuzynów, żeby mieli na mnie oko. I wszyscy do tej pory regularnie składają jej raporty.
- Widocznie twoja mama bardzo poważnie traktuje macierzyńskie obowiązki.
- O tak. Możesz mi wierzyć. Jeżeli do niej nie zadzwonię przynajmniej raz dziennie, natychmiast uruchamia system alarmowy, którego sam Pentagon mógłby jej pozazdrościć.
Ciemne oczy, spoglądające na Jacka, promieniały miłością, której nie był w stanie ukryć żartobliwy ton.
- Ona wciąż nie chce przyjąć do wiadomości, że jej dwudziestodziewięcioletnia córka opuściła gniazdo. I ciągle zaklina się, że nie zaśnie spokojnie, póki nie przyprowadzę do domu męża, który jej się spodoba. Oczywiście najlepiej, żeby to był Amerykanin włoskiego pochodzenia.
- No i co? Przyprowadziłaś jej kogoś, kto jej się nie spodobał?
- Nie. - Angela sięgnęła po wykałaczkę i ułamała jej czubek. - Choć niewiele brakowało. To było latem tego roku, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Zakochałam się jak głupia w mechaniku, który właśnie dołączył do załogi Tony'ego.

SZALONE WALENTYNKI 81

Wizja osiemnastoletniej Angeli, zakochanej po uszy, Angeli o rozpłomienionych oczach i rozpalonym ciele sprawiła, że nagle zalała go fala gorąca. Po niej przyszła fala dzikiej, bezsensownej zazdrości o tego mechanika bez twarzy i nazwiska.

- Niestety, mój brat odkrył, że ten drań miał żonę i kilkoro dzieci w Cleveland. Dobrał mu się do skóry, a kiedy skończył, facet przestał być podobny do człowieka.

- Chyba dobrze mieć takiego brata - stwierdził Merritt. Angela zamyśliła się na chwilę, a potem spojrzała na niego.

- A ty, Jack? Ile kobiet przyprowadziłeś do domu, żeby je przedstawić rodzinie?

- Moi rodzice zmarli, kiedy byłem dzieckiem. Póki nie wstąpiłem do marynarki, mieszkałem z dziadkiem, a rzadko mieliśmy podobny gust. Również w przypadku kobiet. O ile pamiętam, w raporcie senatora było coś na ten temat

- Tak - przyznała Angela.

To przypomniało im, że mają pewną sprawę do załatwienia. Nagle dobry nastrój prysł. Jack bardzo tego żałował. Niestety, zdawał sobie sprawę z tego, że ma tylko kilka godzin, aby się dowiedzieć, jaką rolę odgrywała Angela w sieci, która coraz ciaśniej go opłąty wała.

- Co jeszcze było w tym raporcie? - zapytał.

- Podstawowe dane.

- Powiedz mi.

- Nazwisko, Jonathan Calder Merritt. Lat trzydzieści sześć. Wzrost sto osiemdziesiąt trzy centymetry. Waga dziewięćdziesiąt kilo - przynajmniej kiedy po raz ostatni odnawiałeś prawo jazdy. Rozwiedziony, bezdzietny. Dodatkowe studia na wydziale zarządzania i księgowości. Kilkuletnia

praktyka w Price Waterhouse, specjalizacja w zakresie konsorcjów farmakologicznych oraz pakietów giełdowych. Księgowy rewident w Szpitalu Świętego Józefa w Mobile...
- W Birmingham.
Wykałaczka poszybowała w powietrzu.
- W Birmingham. Potem Szpital Dziecięcy w Atlancie, a wreszcie te kontrole i gromorphin.
- No właśnie, gromorphin. - Jack robił wszystko, żeby jego głos brzmiał spokojnie. - Co wiesz o tym lekarstwie, Angelo?
- Wiem...
- Twoja sałatka. - Dominie przerwał jej, stawiając na stoliku dwa półmiski.
Pytanie zawisło w próżni. Dopiero kiedy kelner utarł nad sałatką trochę świeżego parmezanu i przyniósł koszyczek z pieczywem, Angela podziękowała mu uśmiechem i wróciła do tematu.
- Wiem, że kuracja wymagająca jednego zastrzyku dziennie kosztuje rocznie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy dolarów.
- Co najmniej.
- Wiem też, że HealthMark, który jest dystrybutorem gromorphinu, wziął w zeszłym roku z państwowej kasy miliard dolarów refundacji tylko za samą dystrybucję tego leku.
- Tak też myślałem.
Angela wychyliła się w jego stronę, ściskając w ręku nadgryzioną bagietkę.
- Nie wiem tego na pewno, ale podejrzewam, że niektórzy endokrynolodzy wzięli łapówki rzędu setek tysięcy dola-

rów za to, że przepisywali ten drogi lek. Jak na przykład ten endokrynolog, który leczył Tony'ego.
Jack milczał. A więc Angela nie wiedziała tego na pewno. Podejrzewała, ale nie wiedziała.
Oczyma duszy zobaczył przed sobą drżącą, napiętą linę. Wciąż milczał, czekając, aż Angela dobrowolnie na nią wejdzie.
- Lekarz, do którego Tony dostał skierowanie, zalecił mu kurację trwającą sześć miesięcy dłużej, niż to było naprawdę potrzebne. Sześć miesięcy!
Bułka rozkruszyła się w jej rękach.
- Tony nie zgodził się na tę kurację. Później dowiedzieliśmy się, że przyczyną takiej decyzji była wysoka cena leku. Ojciec... Ojciec zebrał potrzebne pieniądze, ale wtedy Tony leczył się już u innego endokrynologa, który - chociaż nigdy nie powiedział tego otwarcie - dał mu do zrozumienia, że ten pierwszy lekarz miał opinię faceta nadmiernie przeciągającego leczenie.
- Jeżeli to prawda - powiedział Jack, patrząc jej w oczy -jest to sprawa dla prokuratora, a nie dla Kongresu.
- No to dlaczego nie ma żadnego śledztwa? - odparowała Angela.
- A skąd wiesz, że nie ma?
- Bo sprawdzałam. Wypytywałam. Dowiedziałam się wszystkiego, co tylko się dało, o gromorphinie.
- Wzięła głęboki oddech. - Odkryłam też, że twoje kontrole recept na ten konkretny lek wywołały masę zamieszania w niektórych klinikach neurologicznych i endokrynologicznych. Że niektórzy ludzie poważnie obawiali się opublikowania ich wyników. Chcemy, żebyś nam powiedział, co wykazały twoje kontrole.
- Ale dlaczego?

- A czemu nie? Po co czekać, aż senator wyciągnie to z ciebie po kawałku przed senacką komisją.
- To nie jest wystarczający powód. Powiedz mi, po co komisji są potrzebne wyniki akurat tej kontroli, dotyczącej tego konkretnego leku?
- Dobrze. Powiem ci po co. Hormony wzrostu należą do najdroższych leków na rynku i to głównie one są przepisywane w nadmiernych ilościach. A to prowadzi do nadużyć oraz korupcji. Dlatego senator chce wystąpić z wnioskiem o zaostrzenie kontroli państwa nad gromorphinem oraz innymi kosztownymi farmaceutykami.
Jack słyszał przekonanie w głosie Angeli. Instynkt podpowiadał mu, że jej intencje są uczciwe i szczere. Bez względu na to, jakimi motywami kierowatsię senator Claiborne, żądając udostępnienia mu wyników kontroli, Angela była całym sercem po stronie pacjentów.
Odetchnął z ulgą.
- Wzmożona kontrola rządu niekoniecznie musi wpłynąć na podniesienie poziomu opieki zdrowotnej - powiedział.
- Ale nie może jej już chyba zaszkodzić.
- Mogę sobie wyobrazić, co przeżywałaś po wypadku brata - stwierdził po namyśle Merritt.
- Tu nie chodzi o mnie ani o Tony'ego. Ani o moją rodzinę. My jakoś sobie poradziliśmy. Było nam ciężko, ale się udało. Tu chodzi o lukę prawną. Z tego, co wiem, odkryłeś dowody potwierdzające istnienie jednej z najpoważniejszych luk w systemie prawnym. Ty. A nie ktoś z zewnątrz. Nie jakiś pacjent. Nie sędzia z firmy ubezpieczeniowej i nie kontroler ze służby zdrowia. Twoje odkrycie jest najbardziej wiarygodne, bo pochodzi z wewnątrz.

- W tym cała rzecz - powiedział Jack. - Jestem częścią systemu, a wcale nie jestem przekonany, że można go naprawić poprzez wydanie kolejnych aktów prawnych i zaostrzenie kontroli rządowej. Jeżeli uważasz inaczej, spróbuj mnie przekonać, Angelo.
- Czytałeś tekst ustawy zaproponowanej przez senatora?
- Czytałem jej szczegółową analizę.
- Przygotowaną przez kogoś ze środowiska medycznego, prawda?
Jack skinął głową.
- No to ja ci przedstawię mniej napuszoną wersję.
Jack rozsiadł się wygodnie na krześle, a Angela sięgnęła do bezkształtnej walizki, którą nazywała torebką, i wyjęła z niej wygniecioną kopię projektu ustawy senackiej numer 693. Kiedy zaczęła szczegółowo omawiać jej kluczowe punkty, Jacka uderzyła nierealność tej sceny Oto siedział naprzeciwko najbardziej intrygującej kobiety, jaką udało mu się poznać od wielu lat, i nad talerzem domowego makaronu i sałatki omawiał wszystkie za i przeciw projektu przejęcia przez rząd nadzoru nad przemysłem farmaceutycznym.
Coś mu nie pasowało w tej scenie. Coś było nie tak.
- Senator chce poznać konkretne fakty i liczby, Jack. Chce wykorzystać przykłady skandalicznych nadużyć na poparcie swoich...
Nagłe zadzwonił pager, przerywając jej w pół zdania. Zerknęła na zegarek i chwyciła torebkę.
- To kelner z tamtej restauracji. Bierz cylinder. Pora wracać do pracy.
Merritt wstał, sięgając po kapelusz i portfel.

- Nie, nie. - Angela machnęła ręka. - Senator stawia kolację.
- Chyba nie. - Rzucił na stolik dwa banknoty. - Zapomniałaś, że muszę dbać o swój wizerunek?
- Już nie musisz - odparła ze śmiechem. - W końcu ile osób paraduje po ulicy w cylindrze?
Z konieczności musieli odłożyć dyskusję na temat reformy systemu opieki zdrowotnej na później.
Podczas nocnej przejażdżki po Waszyngtonie Angela okazała się wspaniałą przewodniczką. Na przemian to sypała informacjami jak z rękawa, to znów zachowywała dyskretne milczenie, gdy zakochana para, czule objęta, podziwiała miasto w świetle księżyca.
Kiedy kur* dobiegł końca, z uśmiechem zaproponowała Jackowi pewien procent hojnego napiwku. A gdy odmówił, wróciła do przerwanej dyskusji.
Jej ożywienie przygasło, kiedy przyjechali po Gapia - był wyjątkowo szpetny, woniał ohydną wodą po goleniu, która miała zagłuszyć jeszcze okropniejszy zapach potu, i miał więcej pieniędzy niż włosów na głowie.
Na widok Jacka twarz mu się wydłużyła. Wydymając z niezadowoleniem usta, usiadł z tyłu limuzyny i kazał się powoli wozić wokół DuPont Circle. Płyta, oddzielająca część pasażerską limuzyny od fotela kierowcy, szczęśliwie oddzieliła również Angelę i Jacka od źródła potwornego zapachu. Angela rozpyliła też dyskretnie dezodorant, który wyjęła ze skrytki w desce rozdzielczej.
- Co on tam robi? - zapytał Jack, kiedy limuzyna wolno toczyła się wokół eleganckiego skweru, gdzie zbiegały

się trzy główne arterie stolicy i z pół tuzina pomniejszych ulic.
- Gapi się - odparła Angela.
Jack spojrzał na klinowate budynki, wzniesione na wąskich parcelach pomiędzy ruchliwymi ulicami, prowadzącymi do ronda. Niektóre z nich nosiły jeszcze ślady dawnej świetności, z czasów gdy DuPont Circle otaczały eleganckie rezydencje. Teraz jednak większość ustąpiła miejsca restauracjom, butikom i księgarniom. Nawet o tak późnej porze sklepy i restauracje były pełne ludzi, którzy właśnie wyszli z teatrów.
Nagle Jack uświadomił sobie, że nie byli to tylko bywalcy teatrów. Jego wzrok spoczął na atrakcyjnej brunetce w mini, nachylającej się, żeby pogawędzić z kierowcą mercedesa, który właśnie zatrzymał się przy krawężniku. Stojąca obok drobna kobieta o hebanowej skórze na widok#adjeżdżającej limuzyny pokazała zęby w olśniewającym uśmiechu.
- Wolniej! - rozległ się z tyłu rozkaz Gapia. - Wolniej! Jack z niedowierzaniem spojrzał na Angelę.
- Mam nadzieję, że oferta „Tip-Topu" nie obejmuje również załatwienia dziewczyny dla tego typa.
- Oczywiście, że nie! On po prostu lubi się pogapić. -Z westchnieniem zaczęła kolejną powolną rundę.
- Cztery godziny po sto pięćdziesiąt dolarów.
Po kilku godzinach zajechali pod dyspozytornię z opuszczonymi szybami, żeby się pozbyć okropnego zapachu, za to z włączonym na cały regulator ogrzewaniem. Podczas krótkiej powrotnej przejażdżki w Jacku obudził się silny instynkt opiekuńczy. Myśl, że Angela musi radzić sobie z typami w rodzaju Gapia, budziła w nim głęboki niepokój. Podobali

jak świadomość, że przemierza ulice Waszyngtonu w środku nocy.
Doskonale zdawał sobie sprawę, że to pragnienie, by chronić ją przed takimi Gapiami, jest zupełnie pozbawione podstaw. Przecież odkąd ją poznał, nie minęło nawet dwanaście godzin. A poza tym Angela Paretti nie należała do kobiet, które potrzebują jakiejkolwiek ochrony. Mimo to, gdy wreszcie wysiedli z limuzyny, z irytacją trzasnął drzwiami.
- Czy twoja matka wie, jakich pasażerów wozisz po mieście?
- Święty Boże! Oczywiście, że nie! To jest między mną a Gusem. I Tonym. To on nauczył mnie kilku interesujących chwytów, żebym sobie mogła poradzić z typami w rodzaju tego Gapia.
- Naprawdę? - mimowolnie zaniepokoił się Merritt.
- Naprawdę - odparła, szukając w torbie kluczyków do chryslera. - Mało brakowało, a byłabym ci je zademonstrowała na moście.
- Czemu tego nie zrobiłaś?
- Nie wiem. - Znalazła pilota i nacelowała go na stojącego w pewnej odległości chryslera. - Idź się rozgrzać do samochodu. Ja oddam kluczyki od limuzyny, a potem odwiozę cię do...
Jack chwycił ją za rękę.
- Czemu nie wypróbowałaś tych chwytów na mnie, Angelo?
- Już ci mówiłam, że nie wiem - odburknęła.
- Zastanów się nad tym. To dla mnie ważne.
- Bo mnie wziąłeś przez zaskoczenie. Tego dnia moje serce dostało za dużą dawkę adrenaliny.

- A co teraz robi twoje serce?
Mrużąc oczy, Angela odwróciła wzrok. Zanim zdążyła powiedzieć mu coś przykrego, położył sobie jej dłoń na piersi.
- Moje serce przez cały dzień wyprawiało dzikie harce - powiedział. - i w nocy też. A obecność tego Gapia do reszty wytrąciła je z równowagi. Kiedy zażyczył sobie czwartej rundy wokół DuPont Circle, miałem ochotę wziąć go za kark i wyrzucić na zbity pysk.
- No, no, panie doktorze. Zdaje mi się, że w pańskiej piersi drzemią jednak jakieś prawdziwe uczucia.
- Bardzo prawdziwe - odparł stłumionym głosem, od którego Angelę przeszedł dreszcz.
- Niech pan uważa, panie doktorze, bo gotowa jestem uwierzyć, że jest pan zdolny do ludzkich uczuć.
- Spróbuj, Angelo. Tym razem będziesz miała oczy zamknięte, prawda?
Nagle zrobiło jej się gorąco. Bojąc się, że lada moment straci nad sobą panowanie, próbowała się jeszcze wycofać.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł.
- Moim zdaniem, dobry. Najlepszy w tych okolicznościach.
- W jakich okolicznościach?
- Przecież dzisiaj jest Dzień Świętego Walentego!
- Przykro mi, ale Dzień Świętego Walentego skończył się podczas naszej czwartej albo piątej tury wokół DuPont Circle.
- W takim razie musimy nadrobić stracony czas. Wolnym ramieniem przygarnął Angelę do siebie. Ręka, trzymająca jej dłoń, uwięzła między ich ciałami. Poczuł drze-

nie jej palców, kiedy rozpłaszczyły się na jego piersi, i ostry koniec kluczyka, wbijający mu się w żebro.
Tym razem nie odbyło się to łagodnie i powoli. Nie dał jej szans na to, żeby się mogła w ostatniej chwili wycofać. A ona, co z satysfakcją zauważył, naprawdę zamknęła oczy.
Kiedy ich usta się spotkały, ziemia zatrzęsła im się pod stopami.
Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie w osłupieniu, nie rozumiejąc, co się stało. A potem przyszła kolejna fala wstrząsów i niebo stanęło w płomieniach.
Tylko odległość i kilka rzędów zaparkowanych samochodów ocaliło ich przed bezpośrednimi skutkami eksplozji. Padli na ziemię. Instynktownie. Automatycznie. Po raz drugi w ciągu tej samej doby.

ROZDZIAŁ 6

Kiwając głową, Ed Winters oglądał pogięte, osmalone szczątki chryslera.

- Obawiam się, że tym razem burmistrz nie potrafi ci tego naprawić, Angie.

- Chyba nikt nie potrafi tego zrobić - odparła z ponurą miną. - Praktycznie nic z niego nie zostało.

Tuląc się do Jacka, próbowała zachować choć trochę jego ciepła. Ktoś zarzucił jej na plecy ortalionową kurtkę - pewnie jeden z kierowców, którzy nadbiegli po usłyszeniu wybuchu. Jack nie przestawał obejmować Angeli, odkąd podnieśli się z ziemi, a ona nawet nie próbowała udawać, że jej to nie odpowiada.

Wzrok Wintersa spoczął na stojącym obok niej mężczyźnie. W pulsującym świetle policyjnych wozów twarz detektywa wyglądała jak wykuta z czarnego granitu.

- To nie był pański szczęśliwy dzień, doktorze Merritt.

- Powiedzmy sobie, był dość interesujący.

- Chciałbym, żebyście mi oboje wyjaśnili kilka spraw. Na przykład, co robiliście na parkingu korporacji „Tip-Top" o trzeciej nad ranem? Co w ogóle robiliście tej nocy? I co się tu, na Boga, stało?

Angela przesunęła ręką po czole, próbując odgarnąć spią-

tane włosy. Wczorajszy atak wprawił ją w furię. Obecny już tylko w nieme osłupienie.
- Jest za zimno, żeby rozmawiać na dworze - odezwał się Jack. - Proponuję, żebyśmy się przenieśli do dyspozytorni.
- Tak, ma pan rację. - Winters dał znak swojemu partnerowi, barczystemu mężczyźnie w ciemnej kurtce. - Przesłuchamy świadków w baraku, Lowrey. Powiedz chłopakom, żeby dali nam znać, kiedy przyjadą specjaliści od bomb.
Kiedy odchodzili za Wintersem, Angela po raz ostatni spojrzała na zwęglony wrak. Na moment, mimo przenikliwego zimna, zrobiło jej się gorąco. Zapach benzyny, smaru i męskiego potu sprowadził wspomnienie - znowu stała jak wryta wśród członków załogLTony'ego, podczas gdy ekipa ratunkowa uwijała się w kłębach czarnego dymu. Strach chwycił ją za gardło.
Nagle dotarł do niej głos Jacka. Chłodny i opanowany.
- Wejdźmy do środka, Angelo.
Otrząsnęła się i odwróciła od tego, co zostało z granatowego chryslera.
W drzwiach dyspozytorni powitał ich Gus. Stres wyrzeźbił głębokie bruzdy na jego pulchnej twarzy. Był przy Angeli dosłownie kilka sekund po wybuchu i wrócił do baraku, dopiero gdy policja poprosiła go o listę zamówień z ostatniej nocy.
Angela wysunęła się z objęć Jacka i uśmiechnęła się blado.
- Szkoda, że to nie lincoln dwieście osiemdziesiąt sześć wyleciał w powietrze. Ten grat dawno już powinien iść na złom. Możemy posiedzieć u ciebie przez chwilę?

- Jasne. Tam stoi dzbanek z kawą. Poczęstujcie się. A kiedy już będzie po wszystkim, zadzwoń do matki! Błagam! Bo jak usłyszy o tym w porannych wiadomościach, gotowa kogoś zabić. I to pewnie mnie!

Niewielki barak z trudem pomieścił ich czwórkę. Angela przycupnęła przy telefonach i podziękowała za kawę. Ostrzegła też Jacka, że parzoną przez Gusa kawą można usuwać lakier z karoserii skuteczniej niż jakimkolwiek chemicznym rozpuszczalnikiem. Ed Winters zamknął drzwi i sięgnął po krzesło.

- Angie, zacznijmy od eksplozji. Opowiedz mi własnymi słowami, co się wydarzyło.
- Niewiele mogę powiedzieć. Użyłam pilota, żeby włączyć silnik, i wtedy wóz wyleciał w powietrze.
- Jak działa to urządzenie?

Angela wyjęła z kieszeni kluczyki i podała Wintersowi.

- Wysyła sygnały radiowe, tak samo jak pilot do drzwi garażu albo do telewizora. Trzeba kliknąć raz, żeby otworzyć drzwi, a potem jeszcze raz, aby uruchomić silnik.

Winters wyciągnął rękę ku ścianie.

- Więc wycelowałaś w samochód i nacisnęłaś klawisz, tak?
- Mniej więcej.
- Jak to, mniej więcej?
- Ja... raczej nie celowałam. A poza tym nie jestem pewna, kto wcisnął klawisz.

Winters opuścił rękę.

- Czegoś tu nie rozumiem.
- Trzymałam pilota w ręku, między Jackiem i sobą. A potem oboje... w pewnym sensie nacisnęliśmy.

- Ach tak?
Wzrok detektywa powędrował ku mężczyźnie, który spokojnie popijał kawę z wyszczerbionego kubka.
- Oboje... w pewnym sensie nacisnęliście, tak?
- Posłuchaj, Eddie - niecierpliwie przerwała mu Angela - to nie było to, co myślisz. To znaczy, może było. Ale czy nie moglibyśmy się raczej skupić na tym, że wóz senatora stanął w ogniu?
Nie miała ochoty przyznać się ani Eddiemu, ani nikomu innemu, że ognisty pocałunek nie mógł trwać dłużej niż kilka sekund, a mimo to rozpalił ją do białości.
Pamiętała, że wczepiła Jackowi palce we włosy, że zamknęła oczy i podała mu usta. Kilka sekund później chrysler wyleciał w powietrze.
Była pewna, że zapamięta te walentynki do końca życia.
- W porządku - powiedział Winters. - Wiemy już, że bomba wybuchła... w pewnym sensie. Wiemy jak, gdzie i kiedy to się stało. Nie wiemy za to, jakiego materiału wybuchowego użyto. Musimy z tym poczekać na specjalistów. Pozostaje nam jeszcze pytanie: kto i dlaczego.
- Pytasz, kto podłożył tę bombę? - Angela spojrzała na niego z wyrzutem. - Przecież gdybyśmy to wiedzieli, nie siedzielibyśmy teraz w tej budzie.
- Chcę wiedzieć nie tylko, kto ją podłożył, ale i kogo miała wysłać na tamten świat.
Angela zająknęła się i mimowolnie spojrzała na Jacka. Milczał, tylko usta miał zaciśnięte w wąską kreskę. Zaczerpnęła tchu i spróbowała zebrać myśli. Od chwili wybuchu miała w głowie kompletny mętlik.
- Pewnie to ja byłam celem. Albo Jack. Albo senator.

SZALONE WALENTYNKI 95

Bomba mogła mieć opóźniony zapłon, a użycie pilota przyspieszyło wybuch. Ed pokiwał głową.

- To możliwe. Co senator robił wczoraj wieczorem?

- Był umówiony. Powiedział, że mogę wziąć jego wóz, bo on go nie potrzebuje, i kazał mi zabrać Jacka na kolację,

- A ty wpadłaś do „Tip-Topu", żeby odwiedzić Gusa, tak?

- Nie, wzięłam kilka kursów, żeby mu pomóc. Wiesz, jak to jest w walentynki, prawda? Jack pojechał ze mną jako... praktykant. Chryslera zostawiliśmy na parkingu, przed dyspozytornią.

- Rozumiem - powiedział Winters tonem, który świadczył o tym, że absolutnie nic nie rozumie. - Masz jakieś podejrzenia, Angie? Czemu akurat ty? Albo Jack? Albo senator?

- Mam, chociaż to może się wydawać bez sensu.

- Nie szkodzi. Mów.

- Wiem, że to zabrzmi głupio, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że ten wypadek łączy się ze strzelaniną na moście. Może ten, kto strzelał, dowiedział się, że to ja go widziałam i sporządziłam portret pamięciowy. Może jakimś sposobem mnie odnalazł.

- A może to wcale me była przypadkowa strzelanina-wtrącił partner Wintersa.

Angela odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Co?! - wykrzyknęła z przerażeniem.

- Może od początku byłaś celem? Albo ty, albo doktor Merritt. A może to było ostrzeżenie?

- Ostrzeżenie? Ale przed czym? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Panno Paretti, wszyscy słyszeli o pani domowych kłopotach. Może to miało być ostrzeżenie dla pani brata.
- Dla mojego brata?!
Winters zgromił wzrokiem swojego towarzysza.
- O czym ty mówisz, Lowrey?
- Mówię tylko, że to możliwe. De Tony Paretti kosztował swoich fanów, kiedy rozbił się razem z tym swoim cudacznym wozem? I kto go popierał? Wyścigi samochodowe to zawsze śmierdząca sprawa. Nie sposób się przy okazji nie umoczyć. Może„rodzina" włożyła w to jakieś pieniądze, których potem nie udało się odzyskać, a panna Paretti...
- Ty draniu!
Angela zerwała się na równe nogi. Lowrey odskoczył, omal się przy tym nie przewracając.
- Mówię tylko, że to możliwe.
- A ja mówię, że jesteś skończonym kretynem!
- O rany, uspokójcie się oboje. - Potrząsając głową z dezaprobatą, Winters oderwał Angelę od Lowreya. - My tylko myślimy głośno, Angie.
- Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek tak myślał i mówił o mojej rodzinie! - Angela spojrzała z furią na Lowreya, który - choć równie wściekły - rozsądnie wstrzymał się od dalszych uwag.
- On ma rację! - zabrzmiał spokojny głos Jacka. - Możliwe, że w obu wypadkach to robota profesjonalistów.
Cała trójka jak na komendę spojrzała na Merritta. Na twarzy Lowreya odmalowało się zdumienie. Winters popatrzył na niego podejrzliwie. Twarz Angeli przypominała gniewną maskę.
- Jeżeli myślisz, że mój brat albo ktoś z naszej rodziny

zawdzięcza cokolwiek mafii, to musisz być niespełna rozumu! Albo jeszcze gorzej! Jesteś...
Jack chwycił ją za ręce i nagle zmienił reguły gry, które stosował przez ostatnie cztery miesiące.
- Nie mówię o mafii.
- Aoczym?
- O innej organizacji. Może nie tak potężnej, ale równie zdeterminowanej. Wczoraj po południu nie przyszło mi to jeszcze do głowy. Wszystko wskazywało na przypadkową strzelaninę. Ta zielona koszula... Rozmowa o rytuałach inicjacyjnych gangów młodzieżowych... Sądziłem, że kule trafiły w nasz samochód przez przypadek.
Zacisnął zęby. Nie daruje sobie tego popołudnia. Ani dzisiejszej nocy. Do końca życia. Powinien był się domyślić, że nic z tego, co się stało, nie było dziełem przypadku. Powinien był z miejsca odrzucić naiwną teorię o udziale gangów. Tymczasem pozwolił zastawić na siebie śmiertelną pułapkę.
Wszystko dlatego, że za bardzo ugrzązł w tym papierkowym śledztwie! On oraz towarzysząca mu ekipa doskonale wyszkolonych agentów. Używali analiz finansowych i komputerowych wydruków oraz billingów telefonicznych, żeby rozpłątać sieć łapówek, rzekomych stypendiów oraz honorariów za konsultacje. Podejrzani, zaplątani w tę wciąż rozrastającą się sieć, to wysoko postawieni urzędnicy, szanowani lekarze, a prawdopodobnie również wzięci prawnicy. A on i jego ekipa, pogrążeni w papierkowej robocie, nie dostrzegli determinacji przeciwnika.
Wprawdzie zakwestionował gotowość, z jaką HealthMark chciał zafundować mu ‚Jconferencje" w różnych egzotycznych miejscach, i podejrzewał też, że blondyna z Tampa to

także ich inicjatywa. Natomiast absolutnie nie przyszłoby mu do głowy, że ludzie ci sięgną po tak drastyczne środki. Już nigdy nie popełni tego błędu.
Nigdy też sobie nie wybaczy, że naraził Angelę. Nigdy!
Instynkt od początku podpowiadał mu, że ona nie była częścią skorumpowanego kręgu, w który wdepnął. Tej nocy, kiedy chrysler wyleciał w powietrze, jego przypuszczenia zmieniły się w absolutną pewność. Ktoś, kto chciał go uciszyć na zawsze, postanowił za jednym zamachem pozbyć się również Angeli.
Oderwał wzrok od jej osłupiałej twarzy i ciężkim spojrzeniem przygwoździł Wintersa.
- Ile czasu potrzebują spece od bomb, żeby zrobić swoje?
- Dwie, może trzy godziny-aa miejscu, a potem jeszcze dzień czy dwa w laboratorium. Chcesz mi coś powiedzieć na ten temat, Merritt?
- Ja nic, ale wiem, kto mógłby. Zadzwoń do agenta służb specjalnych Manny'ego Ramireza, z Okręgowego Biura Spraw Kryminalnych Prokuratora Federalnego w Miami. Powiedz mu, co się wydarzyło, i podaj szczegóły obu incydentów.
- Prokuratora federalnego, powiadasz? - mruknął Winters. - Pracujesz dla policji federalnej?
- Pracuję z policją federalną. - Merritt chwycił Angelę za łokieć i popchnął w stronę drzwi.
- Powiedz Manny'emu, że wracam, jak tylko to będzie możliwe.
- Co ty wyprawiasz? Dokąd ją zabierasz? - żachnął się Lowrey.
- W jakieś bezpieczne miejsce. A ty masz nam zapewnić policyjną eskortę - polecił Jack. - Dopóki nie będzie wiado-

mo, kto podłożył tę bombę i dlaczego, dopóty będziemy się ukrywać.
Winters pokiwał głową.
- Tak. Moim zdaniem, to konieczne.
Angela przysłuchiwała się ich rozmowie z rosnącym niedowierzaniem. Odkąd poznała Jacka Merritta, wszystko zaczęło jej się wymykać z rąk.
- Chwileczkę! - krzyknęła.
Nie zważając na jej protesty, Jack zaczął ją ciągnąć do wyjścia.
- Zaraz, zaraz, chłopaki! - zawołała, zapierając się obcasami. - Eddie, co to za bezpieczne miejsce?
- Trzymamy je dla naszych informatorów. Czasami na ulicach robi się za gorąco i wtedy trzeba ich ukryć na jakiś czas. Zamkniemy was i będziemy wam dostarczać posiłki. Nie będziecie w ogóle wychodzić, dopóki nie uznamy, że nic już wam nie grozi.
- Nie chcę! To mi się nie podoba! Lowrey spojrzał na nią z politowaniem.
- A co tu jest do podobania?
- Nie lubię być zamknięta! - krzyknęła. - Nie lubię być bez samochodu i nie lubię mieszkać w kryjówce dla kapusiów! Jak myślisz, ile to zajmie czasu, żeby nas tam wytropić?
- Od lat nie straciliśmy ani jednego informatora! - obruszył się Lowrey.
- To prawda! - potwierdził Winters.
- Mam inną propozycję - wtrącił się Merritt. - Niech Angela wskaże takie miejsce, w którym będzie się czuła **bez**piecznie.

Angela zastanawiała się przez kilka sekund, a potem przystanęła przed zdumionym dyspozytorem.
- Będzie nam potrzebny samochód, Gus. Ale nie limuzyna, tylko jakiś nie rzucający się w oczy szybki wóz.
, - Samochód? Jasne, jasne. Weź mój. Stoi przed drzwiami. - Wyjął z kieszeni kluczyki i wrzucił jej do ręki. - Ale... ale co tu jest grane, Angela?
- Nie wiem - odparła, idąc w stronę drzwi. Gus pospieszył za nią.
- A... co to za historia z limuzyną?
- Nie wiem.
- Co mam powiedzieć twojej matce?
- Nie wiem! - ryknęła.
- Zadzwoń do niej - zawołana nią błagalnym tonem. - Angelo! Proszę! Zanim ona tu zadzwoni!
Na dworze było zimno. W powietrzu unosił się odór palonej gumy. Wokół trzeszczały nadajniki z wozów policji i straży pożarnej.
- Czy to samochód Gusa? - zapytał Jack.
Angela oderwała wzrok od wraku chryslera, który wciąż tlił się na drugim końcu parkingu, i chwyciła za klamkę ciemnozielonego szewroleta.
- Tak.
Ed Winters zatarł ręce i postawił kołnierz.
- Trzymaj się, Angie. Dam wam kilka wozów z ochroną. Muszę mieć pewność, że nikt za wami nie jedzie.
Po raz pierwszy od chwili gdy chrysler stanął w płomieniach, Angela uśmiechnęła się.
- Nikt nie będzie za mną jechał. Jeżeli już - to bardzo

krótko. Gus zainstalował w swoim wozie telefon. Jeżeli będę potrzebowała pomocy, wezwę posiłki.
Nikt ich nie śledził. Szewrolet Gusa spisywał się doskonale - nic zresztą dziwnego, skoro Tony przed rokiem przerobił silnik. Ścinając zakręty z cichym warkotem, pędził ulicami miasta
Angela jednym okiem kontrolowała wsteczne lusterko i starała się utrzymać taką prędkość, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Przejechali przez ciemne, śpiące miasto i wjechali na wschodnią nitkę autostrady.
Dopiero wtedy Jack zadał oczywiste pytanie:
- Dokąd jedziemy?
- Mój wuj ma domek na zachodnim wybrzeżu Maryland. To właściwie raczej taka chata rybacka, ale leży z dala od uczęszczanych szlaków. Tam będziemy bezpieczni.
- A jest tam telefon? Nie chciałbym korzystać z przenośnego aparatu Gusa, na wypadek gdyby ktoś chciał nas namierzyć.
Angela skinęła głową.
- Tak, w domku jest telefon.
- A łóżko?
Wymowne milczenie trwało przez dwie przecznice.
- Jest po trzeciej - powiedział Jack tonem, jakim się mówi do dziecka. - Jestem na nogach od piątej rano. Od wczoraj. A ty pewnie też. O ile nie dłużej. Potrzebne nam jest jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać o tym, co się dziś wydarzyło. Będziemy też musieli zadzwonić w kilka miejsc. A potem musimy się przespać. Czy w tej chatce jest łóżko?
- Jest. Coś w tym stylu.

Czterdzieści minut później Jack wysiadł z szewroleta i popatrzył na domek nad zatoką. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie szumem wiatru w gałęziach drzew i odgłosem fal rozbijających się o brzeg.
Angela poszukała klucza pod obluzowaną belką, a potem weszła do środka i zapaliła światło. Pojedyncza żarówka oświetliła wnętrze pełne starych pism, czerwonych boi oraz drewnianych wabików. Połowa głównego pomieszczenia służyła jako kuchnia, a druga jako sypialnia. Przez uchylone drzwi widać było maleńką łazienkę.
Angela z dużą wprawą uruchomiła ogrzewanie. Po kilku minutach w wilgotnym wnętrzu zrobiło się na tyle ciepło, że mogła zdjąć pożyczoną kurtkę i wełnianą tunikę.
Patrząc na nią, Jack poczułjekki ucisk w gardle. Czarny, obcisły sweter opinał jej zgrabną figurę, a spódnica doskonale leżała na krągłych biodrach. Z opadającą na ramiona falą ciemnych włosów, resztkami makijażu i podkrążonymi oczyma sprawiała wrażenie zmęczonej i jakby bezbronnej. Znowu zapragnął wziąć ją w ramiona i oddzielić od wrogiego świata. Była taka niezależna mimo licznej rodziny. Taka niezłomna mimo przerażających przeżyć, jakie stały się ich udziałem. Jack nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek los zetknął go z kobietą zarazem twardą i czarującą. Poprzysiągł sobie, że kiedy będzie już po wszystkim, zbada tę uroczą kombinację bardziej dogłębnie.
Rzucił płaszcz na krzesło, przysunięte do małego, sosnowego stołu stojącego pośrodku pokoju. Jego garnitur po dwóch kontaktach z asfaltem przestał już być taki nieskazitelny. Z westchnieniem ulgi ściągnął marynarkę i krawat, rozpiął kilka guzików pod szyją i podwinął rękawy.

Kiedy się odwrócił, Angela zdejmowała stos pism z wbudowanej w ścianę platformy.
- Czy to ma być łóżko?
- Tak. Możesz się na nim przespać, a ja wezmę fotel. -Wskazała głową na potężny mebel, na którym piętrzyły się stare gazety i sprzęt rybacki.
- Ja pójdę na fotel.
- Spałam już na nim wiele razy - odparła, wzruszając ramionami. - Jestem za bardzo zmęczona, żeby się z tobą kłócić. W szafie są kołdry, a jak się rozejrzysz, pewnie znajdziesz kilka butelek whisky i szklanki.
Nie musiał długo szukać. Na górnej półce w szafie znalazł kilka butelek trunku w kolorze słomkowym, a tuż obok solidny zapas szklanek. Natomiast w drugiej szafie odkrył całą kolekcję flaszeczek z odczynnikami chemicznymi, których nie sposób dostać w normalnym sklepie. Postawił na stole butelkę whisky i dwie szklanki i dalej szukał kołder.
- To kryjówka wuja Guida, tak? - zapytał.
- Skąd wiesz?
- A masz jakichś innych krewnych, którzy trzymają pod ręką cały zapas acetonu i farby drukarskiej?
- Nie - mruknęła, przygryzając wargi.
- Słyszałem, że przeszedł na emeryturę.
- Bo tak jest! On tylko drukuje latawce na noc bingo w Saint Ignacio. To znaczy, na ogół. - Sięgnęła po kołdry. - Ja się tym zajmę, a ty nalej whisky.
Kiedy już jedno i drugie zostało zrobione, Angela rozsiadła się na łóżku-półce, żeby chwilę odpocząć. Oparła się plecami o ścianę i podciągnęła kolana pod brodę.
Jack dołączył do niej, trzymając w rękach szklanki.

- Posuń się.
Usiadł obok niej i z zamkniętymi oczami oparł się o ścianę. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin wyłączył umysł i poczuł, jak stopniowo zaczynają«mu się rozluźniać boleśnie napięte mięśnie. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, jakby potrzebowali trochę czasu, żeby się wreszcie uspokoić po dramatycznych przeżyciach ostatniej doby i dostosować do otaczającego ich spokoju. W końcu Angela z westchnieniem uniosła szklankę, a potem, odchylając głowę, pociągnęła solidny łyk złocistego trunku.
- Napij się, Jack. Potem zadzwoń, gdzie trzeba. Później musimy porozmawiać.
Zmęczenie sprawiło, że jej głos zabrzmiał bezdźwięcznie. Gdzieś ulotniła się rozpierająca ją energia. Jack zauważył, że nawet jej ręce, którymi zazwyczaj gestykulowała z takim ożywieniem, leżały teraz spokojnie.
Czując, jak ognisty trunek wypala mu dziurę w żołądku, podszedł do stojącego w kuchni starego telefonu z czarnego ebonitu i zaczął dzwonić. Najpierw do Manny'ego Ramireza, który po telefonie od Wintersa czekał niecierpliwie na jakąś wiadomość. Potem do samego Wintersa, który wcale nie był szczęśliwy, że jego sprawę przejmuje policja federalna.
Dwadzieścia minut później wrócił do Angeli. Zwinięta w kłębek smacznie spała na stosie poduszek. Uśmiechnął się, nakrył ją kołdrą, a potem delikatnie przesunął bliżej ściany.
Pomyślał, że potrzebny jest mu solidny wypoczynek, a na fotelu trudno odpocząć. Dlatego wyciągnął się obok Angeli i objął ją ramieniem. Mruknęła coś przez sen i wtuliła się w jego pierś.

SZALONE WALENTYNKI 105

Tylko kilka godzin snu, pomyślał. Tylko tego teraz potrzebował. Całe jego ciało łaknęło snu. No, może nie całe... Ale teraz musi się zadowolić kilkoma godzinami spokoju, z Angelą w ramionach. Minuty mijały jedna za drugą, aż wreszcie Jack zdał sobie sprawę, że w takich warunkach nie ma co marzyć o śnie. Wznoszące się piersi Angeli uciskały go w bok przy każdym oddechu. Każdy ruch jej ciała wytrącał go z drzemki i pozostawiał w pełnej gotowości.

Odsunął się lekko, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję na zapadniętym materacu. Tymczasem ona przysunęła się bliżej, mruknęła coś niezrozumiałego, po czym zarzuciła mu rękę na szyję, a nogę na nogi. Zaciskając zęby, odsunął nogę i pomyślał, że chyba będzie musiał przenieść się na ten cholerny fotel. Ale w końcu tego nie zrobił, tylko wtulił twarz w jedwabistą gęstwinę jej włosów i czekał, aż przyjdzie świt.

ROZDZIAŁ 7

Angela obudziła się - jak zawsze - z trudem.

Przez dłuższą chwilę rozpaczliwie próbowała uczepić się resztek snu, udając, że nie czuje ani ucisku w talii, ani zapachu pleśni, ani nawet kuszącego aromatu kawy, który docierał do niej mimo naciągniętej na głowę kołdry. Próbowała też zignorować szum lejącej się wody, który- wyrwał ją ze snu. Kuląc się pod kołdrą, usiłowała przez kilka minut dojść do siebie.

Nie mogła jednak bez końca przeciągać tej z góry przegranej batalii. Stopniowo udało jej się zidentyfikować źródło zapachu pleśni w postaci poduszki, w którą wtulała nos, ucisk w pasie jako spódnicę, która owinęła jej się w talii, a szum lejącej się wody... ?

Marszcząc brwi, usiłowała sobie przypomnieć, kto mógł używać miniaturowej łazienki, którą ubiegłego lata jej ojciec, brat i kuzyni dobudowali do samotni wujka Guida.

To mógł być tylko Jack!

W jednej chwili się ocknęła.

Jack. Samochód senatora. Boże, matka!

Wystawiła głowę spod kołdry i nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na zegarek.

Cholera! Już wpół do siódmej!

Trzeba załatwić zastępstwo. Ktoś przecież będzie musiał wozić senatora. Musi poinformować o wszystkim Marca Greena. Niech znajdzie kogoś na jej miejsce, póki...
No właśnie, póki co? Póki nie będzie wiadomo, o co tu chodzi.
Już miała wyskoczyć spod kołdry, kiedy z łazienki wyłonił się Jack.
- Przepraszam, jeżeli cię obudziłem.
- Trzeba było wcześniej to zrobić! A tak w ogóle, nie powinniśmy się byli kłaść...
Podniosła wzrok na Jacka i umilkła. To nie był już ten chłodny, władczy audytor, który starł się z jej szefem. Ani przypominający Cary'ego Granta elegant, na widok którego jej serce zaczęło tłuc się jak oszalałe.
Ten mężczyzna wyglądał jak jeden z członków załogi Tony'ego. Policzki i brodę ocieniały mu ślady zarostu, a zrolowane rękawy odsłaniały ramiona, porośnięte czarnymi włosami. Znad rozpiętego kołnierzyka wyłaniała się muskularna szyja, a pod nią potężny, owłosiony tors. Szerokie ramiona zdawały się rozsadzać koszulę w szwach.
Mokre włosy zaczesał do tyłu. Angela natychmiast zapragnęła zanurzyć w nie palce, żeby się przekonać, czy jego czupryna jest równie gęsta i jedwabista, jak się wydaje.
Otrząsnęła się i usiadła.
- Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. To nie do wiary!
- Nic dziwnego. Po tym co wczoraj przeszłaś...
- Rzeczywiście, miewałam spokojniejsze dni. A ty? Wyspałeś się? - Spojrzała na fotel, na którym leżały nietknięte gazety i spławiki. - Chyba nie.
- Wyciągnąłem się obok ciebie na kilka godzin.

- Co?
Jack obdarzył ją wymownym uśmiechem. Taki uśmiech zawsze zwiastuje kłopoty.
- I niestety, nie zmrużyłem oka.
Czuła, że powinna się pogniewać. Albo nawet obrazić. Jak on śmiał kłaść się obok niej na tym wąskim łóżku? I to kiedy spała? Tymczasem zamiast gniewu czuła tylko rozczarowanie, że przespała całą noc, nic o tym nie wiedząc.
Za to następnym razem... Mimowolnie przypomniała sobie jego obietnicę. Następnym razem żadne z nich nie będzie spało!
- Znalazłem resztki kawy w kredensie - odezwał się Jack. - Ale nie mogę zagwarantować nic prócz tego, że jest gorąca. Chcesz się napić, żeby stanąć nałogi, póki nie przygotujemy śniadania?
- Śniadania?
- Myślę, że spokojnie możemy wybrać się do tej wioski, przez którą przejeżdżaliśmy w nocy, i zrobić podstawowe zakupy. Pojedziemy tam, jak tylko dojdziesz do siebie i... zadzwonisz do matki.
- No nie! Jeszcze i ty!
- A co miałem powiedzieć? To była pierwsza rzecz, o jaką zapytał Ed Winters, kiedy z nim przed chwilą rozmawiałem.
- Mówił jeszcze coś?
- Nie. Chłopaki z laboratorium ciągle próbują. Angela z westchnieniem przerzuciła nogi przez krawędź
łóżka. Za późno przypomniała sobie, że spódnica owinęła jej się wokół talii. Chłodne powietrze niemile połaskotało jej nagie uda. Krzyknęła i z powrotem naciągnęła na siebie kołdrę.

SZALONE WALENTYNKI 109

Jack poczuł znajomy ucisk w dołku. Szybko się odwrócił, żeby stworzyć dystans pomiędzy sobą a zaspaną Angelą, zanim popełni jakieś głupstwo. A także po to, żeby dać jej trochę prywatności. Narzucił sztormiak, który znalazł w jednej z szaf, i ruszył do drzwi.

- Rozejrzę się po okolicy. To nie potrwa długo. Gdyby w tym czasie zadzwonił telefon, nie odbieraj! Rozumiesz?

- Rozkaz!-zasalutowałaAngela.

Chłodne, wilgotne powietrze wypełniło płuca Jacka, kiedy ruszył brzegiem morza. Niestety, zimny wiatr nie zdołał ugasić żaru, który trawił go od wewnątrz.

Wsunął ręce do kieszeni i z niesmakiem pokręcił głową. Co się z nim działo? Przez ostatnie miesiące zajęty był wyłącznie pracą w szpitalu oraz śledztwem. A w ciągu kilku ostatnich dni głowił się nad zagadką, dlaczego senator Claiborne tak nagle wezwał go do Waszyngtonu. Natomiast w trakcie ostatniej doby był świadkiem ulicznej strzelaniny i widział, jak wóz senatora stanął w płomieniach. I mimo tych ciężkich przeżyć miał teraz tylko jedno pragnienie - przewrócić kierowcę senatora z powrotem na wilgotne poduszki i całować.

Możesz być z siebie dumny, Merritt, pomyślał.

Manny Ramirez był już w drodze do Waszyngtonu. Czekał tam na niego Ed Winters, który nie krył zawodu, że policja federalna przejmuje śledztwo, mimo to zdecydował się na współpracę. Za kilka godzin Manny i Ed zapukają do drzwi senatora, opowiedzą mu o wypadku i będą pilnie obserwować jego reakcję.

Z westchnieniem zadał sobie pytanie, czy to do niego podobne, żeby w samym środku tak skomplikowanej, nie-

bezpiecznej sytuacji zajmować się takimi głupstwami jak krągłe biodra Angeli Paretti. Nie powinien też się spodziewać że uda mu się przeciągnąć ich sam na sam w nieskończoność.
Nagle dotarła do niego przykra prawda. Mieli bardzo mało czasu. Może tylko kilka godzin. Manny natychmiast po swoim przyjeździe wciągnie go do współpracy przy śledztwie, które bez reszty wypełniało im ostatnie miesiące.
A nawet i bez Manny'ego jego czas jest ograniczony. Nazajutrz rano, o dziesiątej, miał stanąć przed komisją senacką. Były dwa wyjścia - mógł albo pojawić się na przesłuchaniu, albo nie. Już wcześniej kazał zarezerwować bilet na lot do Atlanty tego samego dnia, po południu. Teraz doszedł do wniosku, że będzie się jeszcze musiał nad tym zastanowić.
Jeżeli to on był celem ataku na moście oraz zamachu bombowego - a był tego niemal pewny - nie chciał narażać Angeli na dodatkowe niebezpieczeństwo. Będzie się musiał od niej odciąć, zanim wrócą na łono cywilizacji. A jeżeli to nie on był celem, nie zamierzał opuszczać jej, póki się nie okaże, przeciwko komu wymierzone były obydwa zamachy. Z zasępioną twarzą szedł wzdłuż linii brzegu, a potem zawrócił lasem, żeby lepiej poznać okolicę.
Wysmagana wiatrem chatka leżała na stromym cyplu, wrzynającym się w zatokę. Grupa starych, rozłożystych dębów oraz zbity gąszcz krzewów zasłaniały tę część wybrzeża od strony szosy, odległej o jakieś pięćset metrów. Jack puścił się truchtem wzdłuż wąskiej, krętej drogi, którą przyjechali przed paroma godzinami.
Z ulgą stwierdził, że pociągnięte między drzewami druty, prowadzące do domku, były ledwo widoczne. Nie było żad-

nych strzałek i napisów, wskazujących drogę do nadmorskiej kryjówki, żadnych latarni czy skrzynek pocztowych. W sumie, jeżeli ktoś nie znał dokładnego położenia chaty, mógł mieć duże trudności z jej znalezieniem - o ile w ogóle by mu się to udało.
Wracał po swoich śladach, rozmyślając o człowieku, który wycofał się do tej samotni, żeby drukować ulotki na noc bingo w Saint Ignacio. Na ogół... Pomyślał, że chciałby kiedyś poznać Guida. I Tony'ego. I Marię Paretti. Kiedy kilka minut później powtórzył to uczesanej i ubranej Angeli, wzruszyła tylko ramionami.
- To niemożliwe! W każdym razie nie w najbliższej przyszłości. Właśnie rozmawiałam z mamą. Nie podoba jej się ta historia z bombą. Podobnie jak to, że ukrywam się z jakimś obcym mężczyzną. Niestety, dowiedziała się o tym wcześniej, zanim zdążyłam do niej zadzwonić.
- Od kogo się dowiedziała?
- O czym? O tobie czy o bombie?
- O bombie. Przecież Ed Winters obiecał, że nie powie jej o tym tak długo, jak tylko będzie to możliwe.
- Mówiłam ci, że moja mama założyła siatkę wywiadowczą, której sam Pentagon mógłby jej pozazdrościć. Zaraz spróbuję ci to wytłumaczyć.
Podniosła rękę i zaczęła kolejno odginać palce.
- Mama dostała telefon od ciotki Helen, która zadzwoniła do swojego syna, Leonarda, który usłyszał o bombie od swojej siostry, Teresy, która jest żoną Gusa. Zaraz, zaraz. - Zmarszczyła brwi. - Chwileczkę. Gdzieś po drodze wyleciał mi wujek Salvatore, ale to chyba mama coś pokręciła.
- Trudno jej się dziwić.

- Próbowałam ją uspokoić, ale jak tylko udało mi się odwrócić jej uwagę od bomby, zaraz zainteresowała się tobą. Szczególnie interesuje ją to, czy masz w sobie chociaż odrobinę włoskiej krwi. Ale nie masz, prawda?
- Nie, ani kropelki.
- Tak jej właśnie powiedziałam. - Angela smętnie pokiwała głową. - Jest bardzo niezadowolona. Krótko mówiąc, chce wiedzieć, co jest grane. Ojciec też. I Tony. A przy okazji i ja.
- Włóż kurtkę. Powiem ci, ile będę mógł, kiedy będziemy jedli.
- JJe będziesz mógł? - Angela spojrzała na niego z wyrzutem. - To mnie nie satysfakcjonuje, Merritt. Chcę wiedzieć wszystko. Z najdrobniejszymi szczegółami. I nie ruszę się z miejsca, dopóki mi nie powiesz, dlaczego jakieś anonimowe osoby chcą cię wysadzić w powietrze, a przy okazji także i mnie.
Mimo żartobliwego tonu coś w jej głosie sprawiło, że rozpaczliwie zapragnął wziąć ją w ramiona i obiecać, że wszystko będzie dobrze i nie będzie musiała już się niczego obawiać. A ponieważ nie mógł tego zrobić, postanowił powiedzieć jej prawdę. Był jej to winny.
- Dobrze. Wezmę tylko kawę i porozmawiamy. Usiedli naprzeciwko siebie przy zniszczonym stole. Angela czekała, aż Jack zacznie mówić.
- Wszystko zaczęło się jakieś pół roku temu - powiedział, ściskając w dłoni wyszczerbiony kubek z niebieskim stateczkiem. - Pracowałem z rodzicami dwuletniego chłopca, chorego na hemofilię. Nazywał się Kevin. Kevin Crosby.
Za każdym razem, kiedy zadawał sobie pytanie, po co,

u diabła, wdał się w tę aferę, przed oczyma stawał mu smutny uśmiech chłopczyka.
- Rodzice Kevina są młodzi, bardzo młodzi. Jego matka zauważyła, że często robiły mu się sińce, ale nie wspomniała o tym lekarzowi. Bała się, że ktoś mógłby ją posądzić o znęcanie się nad dzieckiem, a wtedy odbiorą jej Kevina. Ona sama została w przeszłości odebrana własnym rodzicom. Któregoś dnia Kevin rozciął sobie kolano o plastikową zabawkę. Zanim przywieźli go do szpitala, omal nie wykrwawił się na śmierć.
Miłe, pogodne dziecko, podbiło serca wszystkich, w tym również Jacka. Ale to rozpacz jego rodziców sprawiła, że osobiście zaangażował się w tę sprawę.
- Ojciec Kevina pracuje w wodociągach. Ma dobrą pracę, ale nigdy nie będzie w stanie pokryć kosztów dożywotniego leczenia syna.
- A firma, w której się ubezpieczyli, także nie chce za to płacić, prawda? - powiedziała z goryczą Angela.
- Powiedzmy sobie, że firma ubezpieczeniowa dała sobie trochę czasu do namysłu - wyjaśnił Jack.
A nawet więcej niż trochę. Wreszcie Jack postanowił przeciąć ten biurokratyczny węzeł. Znalazł organizację charytatywną, która zgodziła się pokryć koszty leczenia Kevina.
- Leki podnoszące krzepliwość krwi są równie kosztowne jak hormony wzrostu - powiedział. - Zważywszy na liczbę pacjentów, leczonych za ich pomocą w naszym szpitalu, postanowiłem poddać je serii rutynowych kontroli.
Angela patrzyła na niego w napięciu.
- Ale Wyniki tej kontroli nie okazały się rutynowe?
- Nie. Kiedy wstępnie sprawdziłem dane, odkryłem, że

jeden z naszych lekarzy konsultantów wystawił podejrzaną liczbę recept na gromorphin. Żeby być dokładnym, sześćdziesiąt siedem procent.
- Zupełnie jak ten endokrynolog, który leczył Tony'ego! Czy to jakiś szarlatan?
Jack upił łyk gorzkiej, letniej kawy.
- Ten konkretny lekarz cieszył się wielkim szacunkiem w naszym szpitalu. Przyjaźniłem się z nim i jego żoną od lat.
Angeła zbladła.
- O nie!
- Niestety, tak. Kiedy przedstawiłem Philipowi wyniki kontroli, przyznał się, że w zeszłym roku przyjął prawie czterysta tysięcy dolarów łapówki od HealthMarku.
Ciemne oczy po drugiej stronie stołu patrzyły na niego ze współczuciem. Zrozumiał, że Angeli nie są potrzebne szczegóły tej długiej, deszczowej nocy, kiedy musiał stanąć oko w oko z Phihpem Carrem. Nie musiał powtarzać jej gniewnych oskarżeń, zarzutów zdrady oraz gorzkich tłumaczeń przyjaciela, że dał się złapać w pułapkę bez wyjścia. Ona jak nikt rozumiała, co znaczą więzy krwi i przyjaźni.
Potarł czoło, jakby chciał odpędzić bolesne wspomnienia.
- Philip zawarł układ z policją. Przez ostatnie cztery miesiące pracowaliśmy z Prokuraturą Federalną i FBI. Śledztwo zatacza coraz szersze kręgi, a sumy wchodzące w grę wciąż rosną. W tej chwili mówi się o zdefraudowanych miliardach.
- Boże! - Angela była zaszokowana. - Nic dziwnego, że miałeś opory, kiedy senator wezwał cię do złożenia zeznań przed komisją. Dlaczego nie powiedziałeś mu o toczącym się śledztwie?

- Bó nie znaliśmy przyczyny jego nagłego zainteresowania wynikami naszych kontroli.
- Co!?
Angela odstawiła kubek i uzbroiła się na nadciągającą burzę.
- Można bez trudu udowodnić, że senator Claiborne domagał się konkretnych danych, by zyskać poparcie dla swoich projektów zreformowania systemu opieki zdrowotnej.
- Właśnie dlatego były mu potrzebne.
- Mógł też podlegać naciskom jakiejś grupy, która żądała, by przejął kontrolę nad wynikami śledztwa.
- O czym ty mówisz?
- Sama wspomniałaś, że w ubiegłym roku HealthMark dostał od skarbu państwa ponad miliard dolarów refundacji za sprzedane leki. To mnóstwo pieniędzy, Angelo. Można sobie za nie kupić poparcie na Kapitolu.
Angela patrzyła na niego w osłupieniu.
- Chcesz powiedzieć, że HealthMark przekupił senatora Claiborne'a?
- Mówię tylko, że to możliwe.
- Licz się ze słowami, Merritt! - krzyknęła z oburzeniem. - Zaczynasz pleść takie bzdury jak ten idiota Lowrey.
- Powtarzam ci jeszcze raz, że to możliwe, Angelo.
- Nie wierzę! I nigdy w to nie uwierzę! Nawet gdybyś mi przedstawił dowody nielegalnych wpłat na konto jego kampanii wyborczej albo łapówek ukrytych pod płaszczykiem honorariów.
Odsunęła krzesło, poderwała się i zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami.
- Przecież znam senatora! Przyznam, że potrafi być bar-

dzo przebiegły. Ale to w końcu wytrawny polityk! Henry Claibome nie wziąłby ani grosza! Nie kupczyłby ani sobą, ani swoim stanowiskiem.
- Stawka jest zbyt wysoka, żeby można było cokolwiek czy kogokolwiek wykluczyć.
- A ta strzelanina? A bomśa w samochodzie? Czy ty naprawdę przypuszczasz, że senator miał z tym coś wspólnego?
Jack milczał.
- Nie zapominaj, że byłam z tobą w tym samochodzie.
- Nie zapominam - powiedział z naciskiem. -1 nigdy nie zapomnę.
Starli się wzrokiem. Angela dumnie uniosła głowę.
- Nigdy w to nie uwierzę - powtórzyła z uporem.
- Ja też nie mogłem uwierzyć, że mój najlepszy przyjaciel brał łapówki.
Ten argument trafił jej do przekonania. Rumieniec gniewu przybladł na jej policzkach. Opadła z powrotem na krzesło.
- I co teraz robimy? - zapytała, przygryzając wargi. Jack odetchnął.
- Zjemy śniadanie. Poczekamy, aż spece od bomby coś znajdą, i poczekamy na agenta Ramireza, który jest już w drodze z Miami. Manny i Ed Winters zawiadomią senatora o tym, co się stało, i zanotują jego oświadczenie. Będą próbowali odkryć jakieś powiązania między jego nagłym zainteresowaniem wynikami mojej kontroli a HealthMarkiem.
- Nie odkryjecie żadnych powiązań, bo ich po prostu nie ma!
W głosie Angeli brzmiała niezmącona pewność, ale kiedy się odwracała, Jack dostrzegł w jej oczach cień niepokoju.

Jedli w małej kafejce na przystani, gdzie podawano jedynie jajecznicę, placki owsiane i krewetki. Jack milczał, dając Angeli czas na pogodzenie się z przykrą prawdą.
Dziabiąc bez apetytu widelcem w jajecznicy i placku, czuła, że jej wiara w nieskalaną uczciwość i żelazne zasady Henry'ego Claiborne'a jest wciąż tak samo niewzruszona. Znała go przecież. Prawie tak dobrze jak ojca i brata, jak wujów i kuzynów. Był dla niej bardziej przyjacielem niż pracodawcą. Mimo to w jej duszy zagościł niepokój.
Kiedy Jack poszedł zapłacić, zerknęła na zegarek. Była już prawie ósma piętnaście.
Musi zadzwonić do Claiborne'a. Musi go ostrzec.
Jack powiedział, że agent Ramirez i Ed Winters lada chwila pojawią się u senatora. A przecież jego nie ma w domu. I nie było go przez całą noc. Wiedziała o tym.
Wiedziała też, gdzie był, i musiała dotrzeć do niego przed Wintersem i agentem Ramirezem.
- Kasjerka mówi, że na stacji benzynowej przy tej ulicy jest sklepik z pamiątkami i sklep spożywczy - powiedział Jack po powrocie. - Możemy tam zrobić zakupy.
- Dobrze.
Pojechali wzdłuż głównej ulicy. Za rzędem starych, rybackich domków ciągnęły się złociste wydmy, a za nimi szara płaszczyzną oceanu. Na końcu skalistego cypla wznosiła się biała latarnia morska.
Kiedy Angela wysiadła przed jedyną stacją benzynową w tej miejscowości, zimny wiatr znad zatoki uderzył ją w twarz.
- Idź do sklepu - powiedziała do Jacka. - Zatankuję do pełna, a potem cię dogonię.

- Nie, ja zatankuję - zaoferował się Jack, nasuwając na głowę kaptur sztormiaka. - Zmarzniesz w tej pożyczonej kurtce.
Angela nie próbowała protestować. Nie miała nic przeciwko męskim instynktom opiekuńczym, pod warunkiem, że nie wchodziły jej w paradę. W tym przypadku uprzejmość Jacka była jej bardzo na rękę.
Jak tylko zatrzasnęły się za nią drzwi sklepu, dała nura za stojak z gazetami i wyjęła z kieszeni komórkę Gusa. Przez moment poczuła coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ale rozsądnie je stłumiła. To prawda, że Jack przez cały czas był szczery. Podzielił się nawet informacjami, które miały na razie pozostać tajne. Ale lojalność w stosunku do szefa nie pozwalała jej dopuścić do tego, żeby zrobiono z niego ofiarę.
Odwróciła się plecami do okna i szybko zadzwoniła. Kiedy chowała telefon do kieszeni, drżały jej ręce. Potem weszła między polki, żeby poszukać pasty i szczoteczki do zębów. Po namyśle dorzuciła też szminkę w odcieniu ostrej czerwieni i róż.
Szczoteczka i pasta to była konieczność, a makijaż miał jej zapewnić duchowe wsparcie.
Podejrzewała, że będzie potrzebowała wszelkiego rodzaju wsparcia, kiedy przedstawi Jackowi swoją propozycję.

ROZDZIAŁ 8

Aó powrocie do chaty Angela natychmiast zamknęła się ze swoimi zakupami w łazience.
Zdjęła czarny sweter, w którym spała, i włożyła jaskrawozieloną bluzę z wizerunkiem lekko zezowatej mewy, a na czarne rajstopy naciągnęła grube, męskie skarpety. W sklepiku na stacji benzynowej było tylko kilka par skarpet, wszystkie w olbrzymich rozmiarach, ale Angela i tak była zadowolona, że nareszcie będzie jej ciepło w nogi. Chętnie zamieniłaby też obcisłą spódnicę na jakiekolwiek spodnie, ale takich luksusów w sklepie nie było.
Możliwość wymycia zębów podniosła ją na duchu bardziej nawet niż czyste, ciepłe ubranie. To zabawne, ile znaczy dla samopoczucia kobiety kilka muśnięć szminką i odrobina różu na policzkach. Tak uzbrojona zgasiła światło i wyszła z łazienki.
Jack krążył po pokoju ze słuchawką w ręku. On także kupił przybory toaletowe: krem do golenia, żyletki oraz kilka innych drobiazgów, którym się bliżej nie przyglądała.
Obrzuciła go taksującym spojrzeniem. Może powinna odłożyć konfrontację do czasu, kiedy Jack będzie miał szansę się ogolić. Może lepiej poczekać, aż znowu zmieni się w eleganckiego, cywilizowanego doktora Jacka Merritta.

Bo ten Jack, na którego teraz patrzyła, był zbyt bezkompromisowy. Czarny zarost na brodzie i policzkach podkreślał silny podbródek, a potężne muskuły zdawały się rozsadzać wełniany rybacki sweter, kupiony za obłąkaną cenę, ku cichej radości właściciela sklepiku.
Krążąc między stołem i kredensem, z uwagą słuchał rozmówcy na drugim końcu Unii. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę z krótkim „później oddzwonię" i spojrzał na nią, marszcząc surowo brwi, od razu wiedziała, że nie da się dłużej odwlekać tego, co nieuniknione.
- Są jakieś problemy? - zapytała. - To znaczy inne niż spalony samochód i strzelanina?
- Dzwonił Manny Ramirez. Właśnie wyszli od senatora. Angela z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Szef
zdążył wrócić do domu na czas!
Stalowoszare oczy Jacka zdawały się przeszywać ją na wskroś.
- Senator dał im pisemną zgodę na sprawdzenie wszystkich jego osobistych kont oraz zasobów finansowych.
- To chyba dobrze?
- Dobrze? - powtórzył z podejrzanym spokojem. - Nie wydajesz się zdziwiona, Angelo.
- Bo nie jestem - odparła, próbując zachować spokój.
- A dlaczego?
- Zadzwoniłam do niego ze sklepu, kiedy ty brałeś benzynę.
Jack zapłonął gniewem. Po co mówił Angeli więcej, niż było trzeba? Jak mogła tak zawieść jego zaufanie! Nie mógł uwierzyć, że tak strasznie pomylił się w jej ocenie.
Potem przyszła fala goryczy. Tkwił po szyję w tym bagnie

od ponad czterech miesięcy. Angela wpadła w nie zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Nie mógł po niej oczekiwać, że bez protestów wyrzeknie się żarliwej wiary w uczciwość senatora. Rozum podpowiadał mu, że będzie musiał sięgnąć po bardziej przekonujące argumenty. Logika nakazywała dać jej więcej czasu.
Mimo to czuł, że ma na twarzy wypisane oskarżenie. Domyślił się tego, patrząc na jej wyzywająco uniesiony podbródek.
- Nie powiedziałam senatorowi, że jego wóz wyleciał w powietrze - oświadczyła - ani nie podałam szczegółów śledztwa. Nawet nie wspomniałam o HealthMarku czy gromorphinie.
- No to co mu powiedziałaś?
- Że może ci zaufać. I Edowi Wintersowi.
Prostota jej oświadczenia trafiła w niego jak grom. Wciąż próbował przyjąć je do wiadomości, kiedy Angela beznar miętnym tonem zaczęła mówić:
- Znam dobrze senatora, Jack. Marc Green powiedział ci, że jestem nie tylko jego kierowcą. To prawda. Przez ostatnie trzy lata staliśmy się sobie tak bliscy, jakby był członkiem mojej rodziny. Powiedział mi więcej niż komukolwiek spośród swoich pracowników.
- Ico?
- Przekonałam go, żeby podzielił się z tobą tą informacją.
- Dlaczego?
- Już ci mówiłam, że on mi ufa. - Angela skrzyżowała ręce na wizerunku zezowatej mewy i groźnie na niego spojrzała. - A ja ufam tobie.
Jej wojownicza poza do reszty go rozbroiła.

- Może jesteś częścią błędnego systemu - ciągnęła szorstko - ale przynajmniej próbujesz coś z tym zrobić. Próbujesz go naprawić. Jesteśmy po tej samej stronie, Jack. Ty, ja i senator.
Jack potarł w zamyśleniu czoło. Zbyt długo obracał się wśród podejrzeń, wątpliwości i spisków, żeby tak od razu uwierzyć w zakulisowe manipulacje Angeli oraz gotowość senatora do współpracy. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.
A jeśli to jednak prawda? Może Angela rzeczywiście namówiła Claibome'a do współpracy? W końcu sama całym sercem była oddana sprawie, o którą każde z nich walczyło z osobna. A lojalność nie pozwalała jej poświęcić szefa.
Chwycił krzesło i ustawił |ę przy stole.
- Usiądź. Muszę się nad tym zastanowić. Chcę mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiałem.
Angela przysiadła na brzegu krzesła, a Jack sięgnął po drugie dla siebie.
- Jak ci już mówiłem, senator dał nam prawo wglądu w swoje konta bankowe, ale dlaczego?
- Bo nie ma nic do ukrycia.
- A czego chce w zamian?
- Żebyś utrzymał to w tajemnicy. Żadnych przecieków do mediów. Żadnych rozmów z jego pracownikami. W tym mieście człowiek zostaje osądzony na długo przed tym, zanim się dowie, że toczy się przeciwko niemu śledztwo.
- Nie mogę ci tego obiecać, Angelo. Jeżeli sięokaże, że senator ma jakiekolwiek nielegalne powiązania z HealthMarkiem...
- Niema!

- Ale jeżeli ma, to zostanie postawiony w stan oskarżenia razem ze wszystkimi.
- Senatora Claiborne'a z HealthMarkiem łączy jedynie to, że podobnie jak całe środowisko lekarskie denerwuje się tą nową reformą. Chce ci pomóc, żeby ich jeszcze bardziej zdenerwować.
Po raz pierwszy, odkąd wrócili do chaty, rzuciła Jackowi uśmiech, który trafił go jak pięść w splot słoneczny. To była cała Angela - błyskotliwa, ożywiona i wyzywająca.
- Kiedy już go sprawdzicie, pomożesz senatorowi Claiborne'owi zwalczyć korupcję w systemie, który tak bardzo potrzebuje reform.
- Nie wierzę w to. - Jack potrząsnął głową. - Godzinę temu gotowa byłaś skrócić mnie o głowę za samo podejrzenie, że twój szef mógłby mieć coś wspólnego z machinacjami HealthMarku. A teraz chcesz zrobić z niego bohatera całego śledztwa.
- Tak to już jest w polityce albo na torze wyścigowym. Korzystasz z każdej luki, żeby wyjść na prowadzenie.
Nagle ogarnęła ich radość, że tworzą jeden zespół, że pracują razem jak ubiegłej nocy. Tyle tylko, że teraz byli partnerami, a nie instruktorką i uczniem.
- Co robimy?-zapytałaniecierpliwie Angela. Jack spojrzał na zegarek.
- Banki otwierają dopiero o dziesiątej. To jeszcze trochę potrwa, zanim Manny'emu uda się zgromadzić wszystkie dane dotyczące kont senatora. Sądzę, że mamy jakieś trzy - cztery godziny. Potem Manny zjawi się tu z całym ładunkiem pudeł, komputerów, skanerów, z faksem i grupą audytorów, którymi będę musiał zawiadywać. Jemu się wydaje, że w dziedzinie

konsumowania liczb jestem obdarzony jakimiś nadprzyrodzonymi mocami.
- A jesteś?
- Tak. - Jack uniósł rękę. - Wiem, wiem. Traktujesz nas jako podrzędny gatunek, zamieszkujący tę planetę. Musisz jednak przyznać, że wyprzedzamy takich Gapiów co najmniej o pół kroku.
- No cóż... - Zapatrzyła się w błyszczące serduszka na adidasach. - Myślałam o tym, co mówiłeś wtedy na moście. To całkiem możliwe, że w niektórych z was drzemią jednak jakieś ludzkie uczucia.
- Licz się ze słowami, Paretti. Zaczynasz bredzić jak ten idiota Lowrey.
Jak on to robił? Jak to się działo, że w ułamku sekundy potrafił zmienić jej gniew w podniecenie? Że odkąd stanął na jej drodze, zaczęło jej się wydawać, że żyje na rozpędzonej karuzeli? To tempo, nawet jak na nią, było chwilami za duże i zapierało jej dech.
Podobnie jak wyraz jego twarzy w tym właśnie momencie. Serce jeszcze mocniej zabiło jej w piersi.
- O ile pamiętam - rzucił jakby od niechcenia - nigdy nie doprowadziliśmy do końca naszego eksperymentu.
- Jakiego eksperymentu? Jack podniósł się od stołu.
- Mieliśmy wypróbować nowy rodzaj pocałunku. Z zamkniętymi oczami. Żeby zobaczyć, czy potrafię być ludzki.
- Pamiętam - powiedziała wstając. - Pamiętam też, że za każdym razem, kiedy próbowaliśmy zbliżyć się do siebie, coś wybuchało.

SZALONE WALENTYNKI 125

Najpierw uśmiechnął się oczami, a dopiero potem ustami. Angela wpatrywała się w niego jak urzeczona. Miał takie zmysłowe usta. Pełne i zdecydowane. Jakby stworzone do pocałunków.

- Jeżeli się teraz do ciebie nie zbliżę - powiedział - coś z całą pewnością eksploduje.

Zrobił krok w jej stronę. Angela wyciągnęła rękę.

- Zaczekaj!

- Już dość się naczekałem. Nie chcę czekać ani chwili dłużej.

Powstrzymała go, kładąc mu obie ręce na piersi. A może to siebie powstrzymała? W tym momencie sama nie była tego pewna.

- Porozmawiajmy o tym, Jack.

- Gzy naprawdę chcesz teraz rozmawiać? Odpowiedź wyczytał z jej oczu.

- Mamy trzy, może cztery godziny. - Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk, który opadał jej na oczy. - Później porozmawiamy.

- Tak nie można - zaoponowała, próbując po raz ostatni zapanować nad sytuacją. - Przecież prawie się nie znamy.

- To prawda - przyznał, muskając nosem koniuszek jej nosa - ale to najlepszy sposób, żeby się poznać bliżej.

Nagle rozpaczliwie zapragnęła poczuć na wargach jego usta. Wspięła się na palce.

- Może jeżeli zrobimy to bardzo powoli i bardzo ostrożnie - wyszeptała - tym razem nie wylecimy w powietrze razem z tą chałupą.

- To mi odpowiada - mruknął. - Nawet bardzo.

Nie przytulił jej, nie zrobił kroku w jej stronę. Ona także nie ruszyła się z miejsca. Opuścił tylko głowę, a ona podała mu usta.
Jego pocałunek był delikatny, niespieszny i ostrożny. Zbyt ostrożny. Tak jej się przynajmniej wydawało. Cofnęła się i udała, że nasłuchuje.
- Niczego nie słyszę.
- Nie słyszysz tykania bomby? - zapytał, muskając jej szyję.
- Nie - szepnęła.
- Ani żadnych grzmotów, zwiastujących trzęsienie ziemi?
- No... może rzeczywiście czuję drobne wstrząsy.
- Tylko drobne wstrząsy? - zapytał, unosząc głowę. -Wobec tego spróbujmy jeszcze raz.
Odrzucając resztki skrupułów, Angela rzuciła mu się w ramiona. Mieli dla siebie tylko kilka godzin. Potem znowu świat wedrze się do ich samotni. Ale w ciągu tych godzin będą tylko oni i ich spragnione ciała.
Uniosła głowę i zamknęła oczy. Gdzieś na dnie jej duszy czaił się strach. Podświadomie oczekiwała, że zaraz uderzy grom. Jednak minęło kilka sekund - i nic. Ściany domku nie zawaliły się. Dach pozostał na swoim miejscu. Odetchnęła z ulgą i poddała się jego pocałunkom.
Jak ubiegłej nocy zanurzyła palce we włosy Jacka. Jego szorstki zarost drażnił jej skórę, wzmagając tylko podniecenie.
Jack, tak zazwyczaj zimny i opanowany, równie gwałtownie zareagował na jej bliskość. Objął ją mocno w talii, a jego oddech stał się urywany i krótki. Kiedy przygarnął ją mocno

do siebie, nie miała już cienia wątpliwości. Doktor Jack Merritt był człowiekiem z krwi i kości. Otworzyła szeroko oczy. Chciała się cofnąć, żeby przerwać ten intymny kontakt, ale w tej samej chwili Jack rozplótł jej ręce, którymi obejmowała go za szyję.
- Mam już dość eksperymentów- mruknął.
- Możemy spróbować później - odparła, starając się, żeby jej głos brzmiał normalnie. - Tym razem ty miałbyś zamknięte oczy. Żeby zobaczyć, czy to jakaś różnica.
- O nie, moja droga. Żadnych prób i eksperymentów. Następny raz będzie naprawdę.
Spojrzała mu w oczy i zadrżała.
- Ty wybierzesz czas i miejsce - powiedział cicho. Teraz! - chciała krzyczeć. Teraz! Jednak się cofnęła.
Wszystko stało się zbyt szybko. Nie była jeszcze gotowa. Wciąż zbyt wiele spraw między nimi domagało się wyjaśnienia. Nie potrafiła pójść za głosem serca.
- Powiem ci, kiedy to będzie - szepnęła.
- Mam nadzieję - odparł z niepokojącym uśmiechem. - I przygotuj się na... - Nagle przerwał i zaczął nasłuchiwać.
- Co się stało? - zapytała.
- Zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas.
- Wiedziałam! - jęknęła. - Wiedziałam, że jak tylko się pocałujemy, będzie nieszczęście!
- Cicho!
Jack słuchał w napięciu. Dźwięk znowu się powtórzył. Cichy szum. Samochód - albo samolot...
Instynkt, wyszkolony przez lata służby w wywiadzie, wziął górę. Jego umysł automatycznie przestawił się na wy-

konanie trzech zadań, dzięki którym on i jego koledzy uszli z życiem z sytuacji, których wolał nie pamiętać.
Rozeznanie.
Rozpoznanie.
Likwidacja.
Nie było tam mowy o odwrocie.
Pierwsze zadanie wykonał rano, kiedy Angela jeszcze spała. Przeszukał domek pod kątem ewentualnych narzędzi obrony. A długi spacer pozwolił mu się zorientować w najbliższym otoczeniu.
Teraz czekało go drugie zadanie. Musiał zdecydować, czy zbliżał się przyjaciel, czy wróg.
Jeżeli to wróg, trzeba zlikwidować zagrożenie.
- Weź kurtkę! - powiedział, a kiedy Angela po nią poszła, trzema susami przemierzył chatkę. Otworzył szafki i schował do kieszeni dwie plastikowe butelki z chemikaliami wuja Guida. Potem zgarnął kolekcję małych, ostrych nożyków, które odkrył w pudełku za nie dokończoną drewnianą kaczką. Na koniec chwycił telefon komórkowy Gusa, wsunął go Angeli do ręki i wypchnął ją za drzwi.
Zbliżający się odgłos był coraz lepiej słyszalny. Niewątpliwie samochód. Słychać już było zgrzyt opon na wyboistej drodze do domku. Złapał Angelę za ramię, odwrócił ją i wskazał zagajnik po północnej stronie.
- Idź lasem na północ, do wioski. I nie używaj telefonu, o ile nie będzie to konieczne. Jeżeli mamy do czynienia z wrogiem, nie chcę, żeby cię zlokalizował. A jeżeli nie, dogonię cię.
- Zaczekaj! Gdzie idziesz?!
- Ruszaj się, Angelo! No, już!

Spojrzała na niego zdezorientowana, ale zarazem zdecydowana.
- Mogę ci pomóc.
- Nie ma czasu na dyskusje. Nie chcę ryzykować życia nas obojga tylko dlatego, że będziesz mi się kręcić pod nogami. Zmykaj!
W jej oczach błysnął gniew, ale na szczęście ruszyła w stronę zagajnika. Jack nie czekał, aż zniknie w gęstwinie drzew. Nie mógł. Nie zapowiedziany gość był już blisko. Trzeba było zająć pozycję obronną - i to szybko!
Popędził na miejsce, które Wybrał wcześniej tego ranka. Z kryjówki osłoniętej przez dęby o białej korze i gęste zarośla roztaczał się widok na polankę przed chatą oraz ostatni odcinek krętej, błotnistej drogi. Ledwo zdążył ukryć się pod rozłożystym jałowcem, kiedy zza zakrętu wyjechał czerwony sportowy wóz.
Przed przyciemmone szyby nie mógł dostrzec twarzy kierowcy. Czekał więc, czując, że puls mu się uspokaja - jak zwykle przed akcją. W ręku mocno ściskał drewnianą rękojeść największego noża.
Samochód zatrzymał się tuż przy szewrolecie Gusa.
Jack mocno zacisnął usta. Dziesiątki pytań przelatywały mu przez głowę. Logika podpowiadała, że ten ktoś, kto podłożył bombę pod wóz senatora, nie będzie jechał prosto do chaty, i to w biały dzień. Ale on nie działał w tej chwili w myśl zasad logiki.
Drzwi otworzyły się i z wnętrza wozu wyłonił się pojedynczy człowiek. Lustrzane okulary słoneczne i podniesiony kołnierz skórzanej, lotniczej kurtki zakrywały mu twarz, ale to, co Jack zdążył zobaczyć, wystarczyło, żeby nie uznać go za przyjaciela.

A to oznaczało, że należy go potraktować jak wroga.
Odwrócił w ręku nóż i chwycił za koniuszek ostrza. Z tej odległości nie mógł chybić.
Przybysz zrobił dwa kroki w stronę domku. Jack zauważył, że nieznajomy lekko utyka.
- Stój!-zawołał. Mężczyzna zamarł bez ruchu.
- Pokaż ręce! Obie! No już!
Mężczyzna podniósł ręce do góry. Powoli. I jednocześnie odwrócił się.
Jack wstał. Za sobą miał słońce. A przed sobą gęstą zasłonę krzewów.
- Kim jesteś?
- A kto pyta?
Zanim którykolwiek z nich zdążył odpowiedzieć, na drugim krańcu polany rozległ się trzask łamanych gałęzi. Obaj mężczyźni jak na komendę spojrzeli w tamtą stronę. Niezidentyfikowany mężczyzna przykucnął. Jack zamachnął się i głośno zaklął.
Angela wpadła między niego i nieznajomego i wydając nieartykułowany okrzyk, rzuciła się na przybysza.

ROZDZIAŁ 9

Zanim Jack zdążył dopaść szamoczącej się pary, zdał sobie sprawę, że Angela wcale nie walczyła z nieznajomym. Nie próbowała też pociągnąć go na ziemię, tak jak to zrobiła z nim samym podczas strzelaniny na moście. Wręcz przeciwnie. Zarzuciła mu ręce na szyję, a on tulił ją do siebie z całych sił.

No cóż. Chcąc nie chcąc, będzie musiał znieść widok Angeli w ramionach tego typa, który hałaśliwie całował ją w oba policzki.

Zacisnął zęby i czekał na koniec tego przedstawienia. Wreszcie Angela odwróciła się. Radosny uśmiech opromieniał jej twarz.

- To mój brat, Tony. Tony, poznaj Jacka Merritta.

W tym momencie prezentacja nie była już potrzebna. Podobieństwo między bratem i siostrą było uderzające. Oboje mieli gęste, ciemne włosy, oliwkową cerę, pełne usta i trójkątne podbródki.

Ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Angela była smukła i we właściwych miejscach zaokrąglona, natomiast jej brat miał mocniejszą budowę. Skórzana kurtka podkreślała szerokie ramiona, a obcisłe dżinsy - muskularne uda. Jedynymi widocznymi pozostałościami po wypadku, z którego

cudem uszedł z życiem, było to, że nieznacznie utykał, oraz gęsta siatka blizn, zaczynająca się na szyi i niknąca pod kołnierzem.
Wolną ręką Tony zdjął słoneczne okulary. Ciemnobrązowe oczy, w tym samym odcieniu co oczy Angeli, zmierzyły Jacka od stóp do głów. Na moment zatrzymały się na nożu, który Jack wciąż trzymał w ręku, a potem przeniosły się na jego twarz.
- Więc to ty jesteś Merritt.
Angela uśmiechnęła się. Dobrze znała ten groźny ton.
- Tak, to ja - odparł Jack ze spokojem.
- Słyszałem o tobie od Eda Wintersa i od Gusa. Zanim wyjedziesz z Waszyngtonu, muszę z tobą porozmawiać.
- Nie ma sprawy.
Było jasne, że konflikt wisi w powietrzu. Angela postanowiła go z góry zażegnać.
- Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? - zapytała pospiesznie, uwalniając się z uścisku brata.
- A jak myślisz? - Złowieszczy ton oznaczał, że i z nią będzie chciał później zamienić słówko.
- Od mamy - jęknęła Angela.
- Zgadłaś za pierwszym razem.
- Znowu uruchomiła swoją siatkę wywiadowczą?
- Metodą eliminacji doszła do tego, że nie jesteś u żadnych krewnych, przyjaciół ani znajomych z pracy. Nie zatrzymałaś się w żadnym hotelu, figurującym w książkach telefonicznych Waszyngtonu i Maryland. Wtedy przyszło mi do głowy, że możesz być tutaj, i postanowiłem to sprawdzić.
- Kto jeszcze wie, że tu jesteśmy? - wtrącił się Jack.
- Nikt. - Tony obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

- Nikt cię nie śledził?
- Nie. Ale tak czy owak, nie ma o czym mówić. Zabieram moją siostrę do domu. I to zaraz. A ty szukaj sobie innej kryjówki.
- Chwileczkę!
Tony mógł nie zważać na protesty siostry, ale nie mógł zignorować sposobu, w jaki Jack wepchnął się między niego i Angelę. Obaj mężczyźni zmierzyli się czujnym wzrokiem, a potem Tony zapytał:
- Masz jakieś obiekcje, Merritt?
- Mam. A poza tym, czy Angela pojedzie, czy zostanie, to wyłącznie jej decyzja.
Tony spojrzał na niego przez zmrużone powieki i syknął:
- Nie tym razem.
- Właśnie tym razem - wtrąciła się Angela, szarpiąc go za łokieć. - Nie wiesz, o co tu chodzi, a ja wiem.
- No to mi powiedz.
Kątem oka spojrzała na Jacka. Jego wzrok nie sygnalizował pozwolenia na to, żeby podzieliła się informacjami z bratem. Ale też niczego nie zabraniał. Decyzja miała należeć do niej. Podobnie jak wcześniej decyzja o tym, żeby zadzwonić do senatora.
Zawahała się, targana wątpliwościami. Wtedy nie zawiodła zaufania Jacka. Teraz też nie mogła tego zrobić. Jednak perspektywa zatajenia prawdy przed bratem budziła w niej wewnętrzny sprzeciw. Nigdy nie miała przed Tonym tajemnic. No, prawie nigdy. Zwierzała mu się ze swoich dziecinnych marzeń i z dziewczęcych miłości. Dzielił z nią wszystkie radości i smutki, a ona także żywo uczestniczyła w jego życiu. Był jej mento-

rem, przewodnikiem, obrońcą i opiekunem... póki nie dała mu do zrozumienia, że braterska opieka nie jest jej już potrzebna.
Nie mogąc udzielić mu wyjaśnienia, na które czekał, wybrała tchórzliwą, zwodniczą taktykę.
- Wejdźmy do środka. Po co stać na zimnie?
Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, dotarło do niej, że popełniła katastrofalny błąd. Jako dzieci często spędzali z To-nym weekendy w domku nad morzem. Tony doskonale orientował się, jakie są w nim wygody. Jego wzrok powędrował na fotel, na którym wciąż leżały stare gazety i spławiki, a potem przeniósł się na wąskie łóżko, które, niestety, nosiło ewidentne ślady użytkowania.
Zacisnął pięści i odwrócił się do Jacka.
Angela przeraziła się. Po dramatycznych wydarzeniach minionej doby ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było, żeby jej brat, którego kochała, rzucił się na mężczyznę, którego. .. No właśnie. Którego co?
Zastanowi się nad tym później. Teraz musi szybko coś zrobić, żeby z domkiem wuja Guida nie stało się tak jak z chryslerem.
- Nauczyłeś mnie, jak o siebie dbać, Tony - powiedziała, stając między mężczyznami. - Nauczyłeś mnie też podejmować decyzje. To moja prywatna sprawa.
Tony'emu się to nie spodobało. Miał to wypisane na twarzy. Nagle przygarbił się jak pies, który zwęszył szczura.
Jackowi także się to nie podobało. Odciągnął Angelę na bok, a potem stanął oko w oko z jej bratem.
- Cokolwiek się tu działo tej nocy, to również moja sprawa. Coś ci się nie podoba, Paretti?

- Może - warknął Tony.
Byli jak dwa rozwścieczone koguty. Angela spojrzała na nich z politowaniem.
- Poddaję się! - powiedziała. - Idźcie się bić, jeżeli wam to odpowiada. Nie mam zamiaru stać obok i patrzeć.
Podeszła do drzwi.
- Nie spodziewajcie się, że będę wam potem opatrywać rany i parzyć herbatę. Róbcie, co chcecie. Ja idę się przejść.
Drzwi zatrzasnęły się za nią. Żaden z mężczyzn nie ruszył się z miejsca.
Po chwili Jack zdołał się opanować. Wiedział, że rozsadzająca go wrogość bierze się ze stresu, w jakim żył przez ostatnie miesiące, a także z dramatycznych wydarzeń ostatniej doby. Wiedział też, że od tego, jak teraz postąpi, może zależeć przyszłość jego i Angeli.
- Nie wiem, czy jest tu jakaś herbata - powiedział, ostrożnie odmierzając każde słowo - ale za to znalazłem w szafie resztki kawy.
Przez chwilę miał wrażenie, że Paretti odrzuci propozycję zawieszenia broni. Znowu się skulił, a jego ciemne oczy przecięły powietrze jak laser.
- Nie mówmy o kawie - burknął. - Wuj Guido ma solidny zapas whisky na wypadek sytuacji krytycznych. Myślę, że to stosowny moment, żeby się napić.
Jack był tego samego zdania.
Ostatniej nocy wypił już za dużo tego ognistego trunku, żeby teraz kilkoma haustami wychylić szklankę, tak jak to zrobił Tony. Ale i tak, mimo zachowanej ostrożności, zloty płyn palil mu przełyk. A kiedy połączył się w żołądku z tłu-

stymi krewetkami ze śniadania, Jack poczuł, że robi mu się niedobrze. Perlisty pot wystąpił mu na czoło. Tony odsunął krzesło i usiadł przy stole.
- Dobra, Merritt. Mów, co jest grane.
- Nie mogę ci powiedzieć. - Jack usiadł po drugiej stronie stołu. - A przynajmniej nie wszystko.
- No to poproszę przynajmmej o skróconą wersję - drwiącym tonem odezwał się Paretti. - Taką, którą będę mógł przekazać mojej matce. Lepiej, żebyś wiedział, iż mam przykazane nie wracać do Baltimore bez Angeli... albo bez należytego wytłumaczenia, dlaczego jej nie przywiozłem.
Widząc wahanie Jacka, Tony wychylił się nad stołem. Twarz miał śmiertelnie poważną.
- Czy ktoś poluje na moją siostrę?
- Możliwe, że strzelanina na moście była dziełem przypadku - odparł Jack. - Angela widziała, kto strzelał, i sporządziła portret pamięciowy. Dlatego to możliwe, że bomba w samochodzie miała wyeliminować ją jako świadka.
- Możliwe, ale mało prawdopodobne, tak?
- Na tyle możliwe, że chciałem wywieźć ją w jakieś bezpieczne miejsce, póki policja nie zbada sprawy.
- Ten wyjazd to był twój pomysł?
- Tak.
Tony zamyślił się. Wyraz wrogości zniknął z jego twarzy. Nalał sobie kolejną szklankę whisky. Uważnie otaksował Jacka.
- Jak długo znasz moją siostrę?
- Poznaliśmy się wczoraj, kiedy wyjechała po mnie na lotnisko.
- Wczoraj?

Tony spuścił wzrok i zaczął obracać w palcach szklankę.
- Czasami tak bywa - mruknął, jakby sam do siebie. Patrząc na niego, Jack odgadł, że bratu Angeli także się to
przytrafiło. I tak samo nie wiedział, co z tym zrobić. W końcu Tony potrząsnął głową i wrócił do tematu.
- W porządku. Stanęło na tym, że Angela mogła być celem tych ataków. Jeżeli tak jest, wkrótce się o tym dowiemy. Jeżeli nie, też się tego dowiemy.
- Ale jak?
Przez twarz Tony'ego przemknął uśmiech.
- Jeden z naszych krewnych, który właśnie przeszedł na emeryturę, nadal ma pewne kontakty na ulicy.
- Wuj Guido?
- Widzę, że słyszałeś już o nim.
Jack pokiwał głową. Czy to nie zabawne, że dawny fałszerz zaoferował swoje kontakty policji?
- Tyle słyszałem o wuju Guidzie, że chciałbym go poznać przed wyjazdem z Waszyngtonu.
- Myślę, że da się to załatwić - sucho odparł Tony. - Jeżeli chcesz uniknąć przy tym spotkania z moją matką, musisz mi powiedzieć, o co tu chodzi. I to jak najprędzej.
Jack zaczerpnął tchu. Angeli powiedział wszystko, ale nie mógł być równie szczery z jej bratem.
- Mogę jedynie powiedzieć, że jestem zaangażowany w śledztwo dotyczące oszustw popełnianych przez pewien wiodący koncern farmaceutyczny. Oni nie wiedzą o toczącym się śledztwie i jego dotychczasowych wynikach, ale już zaczęli się denerwować.
- Obawiają się twoich zeznań przed komisją senacką i reformy systemu opieki zdrowotnej - odgadł Tony.

- To całkiem możliwe. Tony uniósł brwi.
- To dlatego tu przyjechałeś? Żeby złożyć zeznania?
- Dlatego senator wysłał do mnie „zaproszenie".
- Jakie mógłby mieć jeszcze inne powody, żeby cię ściągać do Waszyngtonu?
- Sam sobie zadaję to pytanie.

Zrozumienie implikacji, ukrytych w tej obojętnej z pozoru odpowiedzi, zajęło Tony'emu zaledwie kilka sekund.

- Jeżeli podejrzewasz, że senator Claiborne jest w jakiś sposób zamieszany w tę sprawę, to się grubo mylisz. Ja w to nie wierzę. Choćbyś mi przedstawił niezbite dowody, nigdy w to nie uwierzę. Ani ja, ani moja siostra.
- Tak mi też powiedziała.

Paretti wychylił się ku niemu. Twarz miał zaciętą.

- Chyba zdążyłeś już zauważyć, że Angela nie robi niczego połowicznie. Jeżeli kogoś pokocha, to na śmierć i życie. Nie wiem, co jest między wami, ale ci to mówię. Jeżeli zbrukasz dobre imię senatora, nigdy ci tego nie wybaczy.
- Senator Claiborne zgodził się współpracować z nami w tym śledztwie - odparł Jack, ale ostrzeżenie Tony'ego długo nie dawało mu spokoju.

Po jakimś czasie Angela wróciła ze spaceru. Silny wiatr zabarwił rumieńcem jej policzki i potargał włosy. W zielonej bluzie, granatowej kurtce, czarnej spódnicy i grubych szarych skarpetach, założonych na gołe nogi, wyglądała jak klientka sklepu z używaną odzieżą.

Przystanęła w drzwiach i na widok zakurzonej butelki na stole uniosła brwi.

- Co to? Jakaś zmiana taktyki? Zamiast się bić na pięści, chcecie sprawdzić, kto kogo upije?
- Widzę dwa wyjścia - odezwał się Tony. - Albo zabieram cię do Baltimore, albo muszę się na tyle wzmocnić whisky, żebym mógł wytłumaczyć Ma, dlaczego cię nie przywiozłem.
- To lepiej zabierz ze sobą całą butelkę - poradziła mu Angela.
Tony podszedł do niej i obrócił ku sobie jej twarz.
- Nie podoba mi się to - powiedział cicho. - Nie chcę cię tu zostawiać.
- Wiem, Tony. - Angela chwyciła brata za ręce. - Muszę tu zostać, póki wszystko się nie wyjaśni. Jestem to winna senatorowi. Oboje jesteśmy mu to winni.
- Tak. - Tony pocałował ją w policzek. - Uważaj na siebie, siostrzyczko.
- Możesz być o to spokojny.
Idąc do drzwi, Tony wyjął z kieszeni okulary słoneczne i rzucił przez ramię:
- Wyjdź ze mną na dwór, Merritt. Chcę ci dać pewną radę, ale moja siostra nie musi tego słyszeć.
Na wpół zażenowana, na wpół rozbawiona, Angela nawet nie protestowała. Oparta się o framugę i patrzyła, jak obaj mężczyźni idą do samochodu. Ciemne okulary i podniesiony kołnierz Tony'ego zakrywały mu twarz. Kiedy sięgnął do kieszeni, zobaczyła stalowy błysk. To jej brat wręczył Jackowi mały rewolwer.
Jack otworzył bębenek, sprawdził jego zawartość, po czym schował broń i zamienił kilka zdań z Tonym. Po chwili czerwony samochód odjechał wyboistą drogą.

Angela wróciła z Jackiem do chaty. Nie zapowiedziana wizyta brata wytrąciła ją z równowagi. Widząc, jak Jack wyjmuje z kieszeni noże i buteleczki i chowa je do szafy, postanowiła także znaleźć sobie jakieś zajęcie.
Za najważniejsze uznała usunięcie wszelkich śladów, że dwie osoby korzystały z łóżka - na wypadek gdyby ktoś jeszcze postanowił złożyć im wizytę - na przykład jej matka. Mimo zapewnień Tony'ego, że zrobi, co się da, doskonale wiedziała, iż nawet on nie potrafi powstrzymać Marii Paretti od nalotu na domek, jeżeli uzna, że powinna zapewnić córce osobistą ochronę.
Zdejmując kołdrę z łóżka, uważnie mu się przyjrzała. Jak to możliwe, że zeszłej nocy dwie osoby dzieliły tak wąską, przestrzeń? A mimo to spała tak mocno, że nic o tym nie wiedziała. Za to następnym razem... Z bijącym sercem przycisnęła kołdrę do piersi i przyrzekła sobie, że następnym razem nie będzie spała.
Jack także powiedział, że następny raz będzie naprawdę.
- Pomóc ci w czymś?
Angela aż podskoczyła. Była tak pogrążona w rozpamiętywaniu tego hipotetycznego następnego razu, że nawet nie usłyszała, jak Jack się do niej zbliżył. Zarumieniła sięi podała mu dwa rogi kołdry.
- Tak, dziękuję. Postanowiłam trochę tu posprzątać. Na wypadek gdyby...
- Gdyby jacyś inni członkowie twojej rodziny chcieli nas odwiedzić? - zapytał z uśmiechem. - Czy może z obawy, żeby nie nabrali podejrzeń co do ubiegłej nocy?
- Jedno i drugie - przyznała ze wstydem. Odwróciła się i strzepnęła rogi drugiej kołdry. To śmiesz-

ne, że tak prosta czynność budzi w niej dreszcze. Czemu czerwieni się jak podlotek na myśl o tych kołdrach, spowijających ją i Jacka ostatniej nocy?
Przecież nic między nimi nie zaszło!
Ale następnym razem...
Niestety, nie wolno jej myśleć o następnym razie. Przynajmniej dopóki nie wyjaśni się sprawa senatora. No i oczywiście póki policja nie wykryje, kto stał za tymi zamachami na ich życie.
To głupie i niebezpieczne zaprzątać sobie głowę pocałunkami Jacka i wspomnieniem tych krótkich chwil jego bliskości. A także snuć marzenia, jak to będzie, gdy wreszcie przyjdzie ten następny raz. Mieli przed sobą tylko kilka godzin. Póki agent Ramirez nie wezwie ich do Waszyngtonu. A jednak, choć gorąco tego pragnęła, nie była jeszcze gotowa na zbliżenie.
- Ty to zrób - powiedziała szorstko, rzucając Jackowi kołdrę. - Ja pozbieram resztę rzeczy.
Podniosła z podłogi czarny sweter i schowała go do torby, a potem sięgnęła po tunikę. Postanowiła starannie ją rozwiesić, bo kiedy wrócą na łono cywilizacji, będzie jej jeszcze potrzebna.
Strzepnęła materiał, żeby rozprostować fałdy, i poczuła jakieś zgrubienie. Wsunęła rękę do kieszeni i wymacała małe zawiniątko. Nagle coś ostrego wbiło jej się w palec - był to odłamek szkła. Zanim zdążyła go wyjąć, krew pociekła jej po dłoni aż do nadgarstka.
- Cholera! - syknęła. Jack podbiegł do niej.
- Co się stało?

- Zapomniałam o tym kawałku szkła, który wyjęłam z twojego kołnierza. Miałam go w kieszeni, a teraz wbił mi się w palec.
- Poczekaj, ja to zrobię. Wziął ją za rękę i cidwrócił do światła.
- To mi wygląda na głębokie rozcięcie. Chodźmy do łazienki. Wyjmę szkło i zdezynfekuję ranę.
Rozluźnij się - powiedział, puszczając strumień lodowatej wody na skaleczoną dłoń. - Nie zapominaj, że byłem lekarzem w marynarce. Zdarzało mi się wyjmować najrozmaitsze rzeczy z ciał **1** moich marynarzy. Jedni zresztą chcieli się ich pozbyć, a inni nie.
- To pocieszająca wiadomość.
Nachylił się nad skaleczeniem, trącając przy okazji Angelę, która cofnęła się, żeby mu zrobić więcej miejsca nad maleńką umywalką.
- Hm...
- Hm? Tylko tyle potrafisz powiedzieć?
- Nie masz w torebce pincety?
- Niestety, nie. Zajrzyj do apteczki. Wujek Guido trzyma tam cały komplet różnych narzędzi, odkąd synek mojej kuzynki złapał swojego brata na haczyk.
Jack przeszukał szafkę nad lustrem i znalazł pół tubki maści dezynfekującej, rolkę bandaża, zardzewiałą puszkę plastrów i zakraplacz - ale nigdzie nie było pincety. Położył maść i bandaże na brzegu umywalki i podniósł do światła dłoń Angeli.
- Będę musiał to wyjąć. Nie ruszaj się.
Nawet nie drgnęła, kiedy paznokciami chwycił wystający odłamek i usunął go. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Jack

rzucił szkło do umywalki i mokrym tamponem zatamował krew.
- Usiądź. Kiedy krwawienie się zmniejszy, zabandażuję ci palec.
Usiadła na taborecie, a Jack wycisnął trochę maści i odciął kawałek bandaża.
- No, jak się teraz czujesz? - zapytał po chwili.
Czuła się całkiem nieźle, póki nie przyklęknął obok niej na jedno kolano. Nagle miniaturowa łazienka skurczyła się do mikroskopijnych rozmiarów. Jack napierał na nią biodrem, przygniatając ją do ściany.
Angela próbowała się odsunąć, żeby zrobić mu trochę miejsca. Za późno zorientowała się, że rozcięcie spódnicy odsłoniło jej przy tym nogi aż po same uda. Zdrową ręką chwyciła materiał i próbowała się zakryć.
- Siedź spokojnie - powiedział Jack.
Jak mogła siedzieć spokojnie, kiedy jego gorący oddech muskał jej rękę i nagie udo? Kiedy napierał na nią całym ciałem? Gdy serce zaczęło jej bić powolnym, nierównym rytmem?
Przywarła do ściany i zaczęła w duchu powtarzać tę samą litanię co przed chwilą w pokoju. To głupie i niebezpieczne. To szaleństwo! Nie powinna mieć ochoty na to, żeby zanurzyć palce w gęste włosy Jacka. Nie powinna myśleć o tym, jak by to było, gdyby ześlizgnęła się ze stołka wprost między uda Jacka.
A mimo to myślała o tym i tego pragnęła. Bardziej niż czegokolwiek.
Przypomniała sobie, że mają przed sobą tylko parę godzin. Jeszcze nie czas na to. Jeszcze nie jest gotowa.

Potem Jack zabandażował palec, przykleił plaster i pocałował ją we wnętrze dłoni. Kiedy uniósł głowę, zacisnęła dłoń w pięść, żeby choć przez chwilę zatrzymać to podniecające uczucie.
- Lepiej? - zapytał z uśmiechem.
- Nie - szepnęła.
Uśmiech zniknął z jego twarzy.
- Co się stało?
- Myślę... to znaczy jestem prawie pewna... - Angela głośno przełknęła. - Nie! Wiem już na pewno. Teraz jest dobry czas.

ROZDZIAŁ 10

Jack spojrzał nas nią ze zdumieniem.

- Czas na co?

Cofnęła zabandażowaną rękę, ale nie zaczęła nią gestykulować, tylko nachyliła się i objęła dłońmi jego twarz.

- Mówiłeś, że następnym razem, gdy będziemy się całować, to już będzie naprawdę. Mówiłeś też, że mogę wybrać czas i miejsce. - Musnęła ustami jego wargi. - Ja już wybrałam, Jack. To ma być tu i teraz.

Zdumienie zaparło mu dech w piersi. Zachwiał się i uchwycił pierwszej rzeczy, jaką miał pod ręką, żeby nie stracić równowagi. A było to udo Angeli! Jej nagie udo! Miała taką ciepłą, gładką skórę! W jednej chwili ogarnęło go pożądanie. Mimo to dał jej szansę, żeby się mogła wycofać.

- Jesteś tego pewna? Tutaj? Teraz?

- Skorzystajmy lepiej z okazji, póki się nadarza - mruknęła, wodząc koniuszkiem języka wokół jego ust - Kto wie, może znowu przytrafi nam się jakiś tragiczny wypadek?

Byle nie teraz, modlił się w duchu, podnosząc Angelę. Byle nie teraz! Póki nie zaspokoi pragnienia, które czuł od pierwszej chwili, kiedy zobaczył tę kobietę.

Będzie to robił powoli, przyrzekł sobie, gdy zarzuciła mu

ręce na szyję i podała usta. Będzie brał tylko tyle, ile zechce mu dać.
Za późno przypomniał sobie ostrzeżenie Tony'ego, że Angela nie robi niczego połowicznie. Wszelkie postanowienia spaliły na panewce, gdy przywarła do niego całym ciałem. Jej piersi napierały na jego tors, a uda na uda.
Oparł się o umywalkę i przyciągnął ją do siebie. Ich języki się spotkały. Wtedy pomyślał, że mu to nie wystarcza, że chce poczuć pod sobą nagą Angelę. Chce, by jęczała pod nim z rozkoszy, a potem z krzykiem doznała spełnienia. Chce posiąść ją na wszystkie możliwe sposoby.
Angela cofnęła się, ciężko łapiąc oddech, i oparła mu ręce na piersi. Wbrew wcześniejszym postanowieniom Jack wcale nie był pewny, czy pozwoliłby jej odejść. Na szczęście nawet nie próbowała się wycofać.
- Czy... ? - zająknęła się. - Czy miałeś oczy zamknięte?
- Co?
- Teraz twoja kolej, żeby mieć oczy zamknięte. Jack potrząsnął głową.
- Fazę eksperymentów mamy już za sobą, kochanie. Zapomniałaś, że to ma być naprawdę?
- Nie, wcale nie zapomniałam - szepnęła. - Zamknij oczy, Jack.
Kiedy powoli opuścił powieki, Angela poczuła dziwny skurcz w sercu. Nim wtedy, na moście, nachyliła się i musnęła wargami usta tego mężczyzny, wiedziała już, dokąd może ich zaprowadzić ten pocałunek. Nie chciała się do tego przyznać, ale Jack miał rację, mówiąc, że podczas tych kilku krótkich chwil zainwestowali w siebie.
Od tamtej pory każde nawet mimowolne dotknięcie pro-

wadziło ku połączeniu ich ust i ciał. Każda wspólnie spędzona chwila przygotowywała ich na nadejście tego momentu.
Wsunęła ręce pod gruby, rybacki sweter i przesunęła dłońmi po szerokim torsie Jacka. Był taki gorący! A jego potężne mięśnie pulsowały pod jej palcami. Z uczuciem czysto kobiecej satysfakcji stwierdziła, że Jack jej pragnie. Tak jak ona pragnie jego. Bo Jack nawet nie próbował ukryć pożądania. Czuła je przy każdym jego oddechu.
Była już pewna, że nie zdoła się wycofać, nawet gdyby tego chciała. Ale nie chciała.
Drżącymi rękami zdjęła mu sweter, a potem rozpięła koszulę. Powiodła rękami po gładkim podkoszulku, a szorstkie włoski w trójkątnym wycięciu dekoltu drapały ją w usta.
Mieli tylko kilka godzin. Dwie, najwyżej trzy. A potem świat znowu zapuka do drzwi ich samotni. Będą musieli wybierać, komu okazać lojalność. Może im też zagrażać kolejne niebezpieczeństwo. Ale teraz, przez najbliższe godziny, będą tylko we dwoje.
Jak mogła kiedykolwiek zarzucać mu oziębłość? Jak mogła podejrzewać, że jest pozbawiony ludzkich uczuć? Ze jest wyrachowany, jak większość typów, z którymi jej rodzina zetknęła się przez kilka ostatnich lat? Był gorący wszędzie, gdzie go dotknęła - a dotykała go wszędzie.
Jack pozwalał się pieścić do kresu wytrzymałości - czyli niedługo. Zawsze wolał być uczestnikiem niż obserwatorem - w pracy, w sporcie, a już na pewno w miłości z tą kobietą; Chciał jej dotykać tak, jak ona go dotykała - czyli wszędzie. Czuć jej smak, oddychać jej zapachem, tulić ją do siebie nagą, bez dzielącej ich zezowatej mewy.

Otworzył drzwi do pokoju i zanim Angela zdążyła się zorientować, pociągnął ją na świeżo pościelone łóżko.
Po drodze gdzieś ulotnił się jego bawełniany podkoszulek. Ten sam los spotkał bluzę z mewą i adidasy. Jack nakrył dłońmi piersi Angeli pod czarną koronką.
Zagarnął ją pod siebie, a potem uniósł się lekko i powiedział:
- Poczekaj chwilkę, kochanie.
- Na co?-jęknęła.
- Jeżeli chcemy doprowadzić to do końca, muszę się zabezpieczyć.
Zrozumiała, że to ostatnia szansa, żeby się wycofać.
Ale było już za późno. I to od chwili, gdy Jack założył ten śmieszny cylinder, a jej serce dziko zatrzepotało w piersi.
- Masz coś? - zapytała nieśmiało. Jack uśmiechnął się.
- Mam. Kupiłem dziś rano, w sklepie na stacji benzynowej.
- Dziś rano? - Angela oparła się na łokciach. - Czy już wtedy planowałeś... ? To znaczy, czy myślałeś...
- Miałem nadzieję. Ostatniej nocy, kiedy trzymałem cię w ramionach, dużo o tym myślałem.
Z bijącym sercem patrzyła, jak przeszedł przez pokój i poszukał czegoś w kieszeni marynarki.
Wracając, pozbył się resztek garderoby.
Był taki przystojny! Postawny i muskularny. Patrząc na niego, czuła, że pragnie go ponad wszystko.
Starała się nie myśleć o tym, co będzie, kiedy opuszczą ten domek. Życie nauczyło ją jednego - że jeśli chce się wygrać,

trzeba zaryzykować, trzeba skorzystać z okazji. Z uśmiechem wyciągnęła ręce do Jacka.
Kiedy ją rozbierał, była taka piękna. Taka miękka, ciepła i wrażliwa w najróżniejszych dziwnych miejscach - na przykład w zgięciu łokcia, pod kolanami, na brzuchu i po wewnętrznej stronie ud. Gdy przyjęła go w siebie, myślał już tylko o tym, żeby sprawić jej tak wielką przyjemność, jak ona jemu. Była w środku gładka i gorąca. Zaczął się w niej poruszać najpierw wolno, a potem coraz prędzej, aż w końcu zatracił się w tym dzikim rytmie. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślał, że Angela rzeczywiście nie robiła niczego połowicznie.
Kiedy nachylił się, żeby chwycić ustami jej naprężone sutki, wygięła się w łuk, by ułatwić mu dostęp do siebie. A potem oplotła go udami i ponagliła, wzmagając jeszcze tempo. Przesunął dłonią w dół jej brzucha, znalazł najczulszy punkt i szybko doprowadził ją na skraj rozkoszy.
- Jack!
- Teraz, Angela - wydyszał jej do ucha. - Teraz, kochanie. Tu i teraz.
Jej ciało zareagowało serią wstrząsów, a potem on sam pogrążył się w tym dzikim wirze.
Powrót na ziemię był długi i bardzo powolny. Z czasem ich rozpalone ciała ochłonęły, a oddech wrócił do normy. Jack szarpnął róg kołdry i nakrył ich oboje. Angela oparła mu głowę na ramieniu i z uśmiechem zapatrzyła się w belki sufitu.
- Popatrz, dach nadal jest na swoim miejscu.

- Rzeczywiście.
- Jak myślisz, czy długo tam zostanie?
Jeżeli miał to być żart, Jackowi wcale nie wydał się śmieszny.
Z całego serca pragnął jej obiecać, że w jego ramionach zawsze będzie bezpieczna. Że ochroni ją przed każdą burzą, która może jeszcze nadejść. Ale znał już na tyle dobrze Ange-lę Paretti, by wiedzieć, że ona nie potrzebuje ochrony. Na szczęście nie miała nic przeciwko temu, żeby trzymał ją w ramionach.
Przewrócił się na wznak i pociągnął ją na siebie. Podparła się łokciami, a włosy ciemną, jedwabistą falą opadły jej na twarz.
- Może powinniśmy spróbować jeszcze raz - zaproponował. - Mogę się założyć, że tym razem dach wyleci w powietrze.
- Znowu? - roześmiała się Angela. - A nie musisz aby... zatankować na nowo?
- To twoje zadanie - powiedział. - Sama mówiłaś, że spędzałaś wakacje na torze wyścigowym, jako członek ekipy technicznej.
- Mówię serio! Mamy jeszcze trochę czasu?
- Godzinę. Najwyżej dwie. Dasz sobie radę? Ciemne oczy błysnęły.
- Jak myślisz, ile czasu zajmuje dobrze wyszkolonej ekipie uzupełnienie paliwa i zmiana wszystkich czterech opon?
- Nie mam pojęcia.
- Kilka minut, Jack. Dosłownie kilka minut.
- No to mi udowodnij.
Więc udowodniła mu. I to nawet dwa razy.

SZALONE WALENTYNKI 151

Kiedy wygramolili się wreszcie ze skłębionej pościeli, dach nadal był mocno przytwierdzony do ścian domku.

Gdy Jack zniknął w łazience, żeby wreszcie użyć kremu do golenia i żyletki, Angela włożyła sweter i tunikę. Czuła, że potrzebny jest jej bardziej oficjalny strój, aby mogła sprostać ciężkiemu popołudniu. Nie udało jej się ukryć zadrapań, jakie zostawił na jej twarzy szorstki zarost Jacka, ale na szczęście wysoki kołnierz tuniki zasłonił czerwone ślady na szyi.

Właśnie zapinała ostatni guzik, kiedy ciszę rozdarł ostry dźwięk telefonu. Wzdrygnęła się. Drzwi do łazienki otworzyły się na oścież.

- Nie odbieraj! - zawołał Jack. Twarz miał całą w pianie. Telefon zadzwonił po raz drugi.

Angela poczuła, że serce zaczyna jej głucho łomotać w piersi.

Po trzecim sygnale telefon zamilkł. Sekundy wlokły się bez końca. Kiedy zaczaj dzwonić od nowa, Jack odetchnął z ulgą.

- Teraz możesz odebrać.

Uspokojona, sięgnęła po słuchawkę. Gdy usłyszała głos po drugiej strome linii, puls znów jej przyspieszył.

- Cześć, mamo-jęknęła.

Jack uniósł brwi. Angela pomyślała, że nie powinien robić takiej zdumionej miny. Na pewno dał Tony'emu numer telefonu, a Tony podał go matce, żeby ją udobruchać. Szkoda, że nie kazała Jackowi podnieść słuchawki. Dostałby za swoje!

Jednak po chwili doszła do wniosku, że nie byłby to najlepszy pomysł. Nie po tym, co się wydarzyło. Zanim Jack zdążyłby się zorientować, Maria Paretti wyciągnęłaby z nie-

go wszystkie najintymniejsze szczegóły. Odwróciła się plecami do Jacka i spróbowała ukoić matczyne lęki.
- Nie, nie mogę przyjechać. Jeszcze nie teraz.
- Wiem, wiem. Policja nad tym pracuje.
- Tak, jestem bezpieczna.
Z ulgą przekonała się, że Tony poparł jej pomysł, żeby się ukryć w domku wuja Guida. Była mu za to bardzo wdzięczna. Niestety, wkrótce przekonała się też, że brat powiedział matce znacznie więcej o Jacku, niż było to konieczne.
Zaczerwieniona zaczęła przyciszonym głosem mówić do słuchawki:
- Ma trzydzieści sześć lat.
- Rozwiedziony.
- Nie.
- Może.
- Nie. - Wzniosła oczy do nieba. - Ani kropelki. Jack zaśmiał się cicho i wycofał do łazienki.
Angeli udało się skończyć rozmowę kilka chwil później. Rzuciła słuchawkę na widełki i wydała jęk ulgi, który zamarł na jej ustach, bo telefon znowu zadzwonił.
Jack pojawił się po drugim sygnale, ocierając twarz. Przeczekali razem pauzę, a kiedy rozległ się kolejny dzwonek, tym razem to on podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę, a potem poinformował, jak dojechać do domku.
- Ramirez? - zapytała Angela. Jack spojrzał jej w oczy.
- Tak. Jest już w drodze.
Ich czas już się skończył; Oboje o tym wiedzieli. I żadne z nich nie potrafiło powiedzieć, czy i kiedy będzie ten następny raz.

Agent służb specjalnych Manny Ramirez przyjechał godzinę później. Zgodnie z przewidywaniami Jacka przywiózł ze sobą pudła wydruków, trzy notebooki, faks i dwóch znękanych księgowych.
- Nie mogłeś sobie wybrać jakiejś bliższej kryjówki -zwrócił się z wyrzutem do Jacka, kiedy wnosili ładunek do domu. - Zgubiłem się trzy razy, zanim cię tu wreszcie znalazłem.
- O to właśnie chodziło - zaśmiał się Jack.
Ramirez był niski i kościsty i tryskał energią. Położył pudła na kuchennym stole, po czym obrzucił Angelę taksującym wzrokiem.
- Muszę przyznać, że nie byłem zachwycony, kiedy się dowiedziałem, że Merritt wciągnął panią do tej sprawy - powiedział otwarcie. - Rozumiem, że ma pani coś wspólnego z propozycją współpracy, jaką dziś rano złożył nam senator Claiborne.
- To on sam podjął tę decyzję. Nie ma niczego do ukrycia.
- Rozumiem też, że senator chce współpracować z nami przy śledztwie... pod warunkiem, że nie podamy jego nazwiska do wiadomości publicznej.
- I zrobicie tak, jak sobie życzy.
W czarnych oczach Ramireza pojawił się błysk, ale nie protestował, tylko przekazał wiadomość od Eda Win-tersa.
- Ed kazał powiedzieć, że chłopaki w laboratorium ciągle pracują nad sprawą. Poza tym błaga o telefon do matki, zanim ona znowu do niego zatelefonuje.
- O Boże! - jęknęła Angela. - Przecież przed chwilą z nią rozmawiałam.

- Czy w laboratorium odkryli już jakieś ślady? - zapytał Jack.
- Jeden. Udało im się złożyć fragment detonatora, który pozwolił im zidentyfikować go jako część ładunku, skradzionego z fortu Benning przed kilkoma miesiącami. FBI nawiązała już współpracę z wywiadem wojskowym. Próbują sprawdzić, czy tamta sprawa ma jakiś związek z naszym przypadkiem.
- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - powiedział mu Jack. - Możesz liczyć na pomoc nie tylko ze strony armii.
- Czyżby? - Agent uniósł brwi. - Kto jeszcze macza w tym palce?
- Wuj Angeli, Guido, obiecał przeprowadzić dyskretny wywiad wśród swoich kontaktów na ulicy.
- Naprawdę? Nic o tym nie wiem - zdumiała się Angela.
- Tony mi o tym powiedział.
- Kto to jest Tony? - zapytał Ramirez.
- Mój brat.
- Pani brat? - Ramirez od razu domyślił się, o kogo chodzi. - Tony Paretti to naprawdę pani brat?
- Naprawdę-pokiwała głową.
- A kto to jest Guido?
- To mój wuj.
- Tyle zrozumiałem. Czy to gliniarz?
- Nie.
- Pracuje w jakiejś agencji?
- Raczej nie.
- No to co on robi tak naprawdę?
- Powiedzmy sobie, jest wolnym strzelcem - wtrącił się Jack. - Miał w przeszłości kilka spraw z Edem Wintersem.

Ed nie do końca pochwala jego metody, ale gwarantuje za jego wiarygodność.
- Niech to diabli, Jack - zirytował się Ramirez. - Jest jeszcze ktoś, o kim powinienem wiedzieć?
- Nie. A teraz pokaż nam, co tam masz, Manny. Agent zdjął pokrywę jednego z pudełek i rzucił ją w kąt.
- Wydruki z banku. Zeznania finansowe. Zwroty podatków, rachunki telefoniczne i listę wyjazdów z ostatnich trzech lat. Spodziewam się, że razem z moimi kolegami ułożysz to w jakąś logiczną całość.
Przytłoczona liczbą danych, zgromadzonych przez Ramireza, Angela wycofała się na łóżko, skąd mogła podziwiać nowe, nie znane jej oblicze Jacka Merritta. Tym razem objawił jej się jako wykwalifikowany księgowy. Precyzyjny, drobiazgowy audytor. Wytrawny pożeracz liczb.
Jack posadził asystentów nad zeznaniami finansowymi i zwrotami podatków, a sam wziął się za wydruki bankowe. Wspólnie sprawdzili każdy dokument, prześledzili każdą transakcję finansową, kredyty i pożyczki, żeby się upewnić, że wydatki senatora nie przekroczyły jego zadeklarowanych dochodów.
Angela z lękiem uświadomiła sobie, że zbliża się moment, w którym Jack zażąda wyjaśnień, a ona nie będzie mu ich mogła udzielić.
Chwila ta nadeszła znacznie szybciej, niż myślała. Po niespełna dwóch godzinach od przyjazdu Ramireza Jack podniósł wzrok znad rachunków.
- Jest coś, czego nie rozumiem - powiedział. Ramirez przyskoczył i ponad jego ramieniem popatrzył na ekran komputera.

- Co?
- Mam tu wykaz ubiegłorocznych wydatków senatora. Claiborne parokrotnie pobrał z konta większe sumy, ale nie mogę znaleźć żadnych dowodów, na co poszły. Nie podwyższył kwoty ubezpieczenia ani nie dokonał żadnych większych zakupów. Nie kupił nowych akcji. Ani obligacji. Ani żadnej nieruchomości. Nie dokonał też większych wpłat na cele charytatywne.
- O jakie sumy chodzi?
- Dwieście tysięcy dolarów. Ramirez gwizdnął.
- Na co senator Karoliny Południowej mógł wydać tyle pieniędzy? Czyżby miał jakieś kosztowne hobby? Coś, co przyjaciele z HealthMarku chętniejby mu sfinansowali?
Jack oderwał się od komputera i poszukał wzrokiem An-geli.
- Nie znajdziecie żadnego potwierdzenia tych wydatków
- powiedziała z naciskiem. - Senator dał te pieniądze mnie.
Jeden z księgowych otworzył usta ze zdumienia. Ramirez odwrócił się i przeszył ją wnikliwym spojrzeniem.
- Senator Claiborne dał pani dwieście tysięcy dolarów?
- Sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące, siedemset pięćdziesiąt dwa, żeby być dokładnym.
- Gotówką?
- Gotówką.
- Ale na co?
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Nie może pani... ? - Ramirez zająknął się ze zdumienia.
- Nie może mi pani powiedzieć?
- Nie.

W ułamku sekundy Ramirez przemienił się w zimnego, oficjalnego przedstawiciela prawa. Spojrzał na Angelę, mrużąc oczy.
- Chciałbym, żebyśmy sobie coś wyjaśnili. Jak już mówiłem, nie byłem zadowolony, że Jack włączył panią do śledztwa. Jeżeli będzie nam je pani utrudniać, będę jeszcze bardziej niezadowolony.
- Te pieniądze nie mają nic wspólnego z tą sprawą - upierała się Angela.
- Nie pani będzie o tym decydować.
- W tym wypadku ja.
- Panno Paretti...
- Zaczekaj, Manny.
Jack wstał i podszedł do naburmuszonej Angeli. Przyszło mu na myśl kilka możliwych wersji. Najbardziej prawdopodobne wydawało się przypuszczenie, że senator pomógł Parettim wydobyć się z finansowej zapaści. Ale to nie pasowało ani do Tony'ego, ani do Angeli. Żadne z nich nie przyjęłoby jałmużny, a tym bardziej w tej wysokości.
Podejrzenie, że senator płacił Angeli za usługi przekraczające obowiązki kierowcy, odrzucił już na wstępie. Czyli w zasadzie pozostawała tylko jedna możliwość.
- Czy te pieniądze mają coś wspólnego z fałszywymi banknotami, które wuj Guido puścił w obieg? - zapytał tak cicho, żeby nikt go nie usłyszał. - Czy senator pożyczył ci je, żebyś mogła poręczyć za wuja?
- Nie! Gdybym go poprosiła, byłby mi pożyczył, ale na szczęście udało nam się wycofać prawie wszystkie fałszywki, zanim dostały się do powszechnego obiegu.

- No to na co poszły te pieniądze, Angelo? Powiedz mi.
- Nie mogę. - Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. -Musisz mi zaufać, Jack. Proszę cię.
Na ułamek sekundy przed oczyma stanęła mu blondyna z Tampa. Przyszło mu na myśl, że Angela postanowiła wykorzystać to, co między nimi zaszło, żeby przeciągnąć go na stronę senatora. Podejrzenie to rozwiało się równie szybko, jak się zrodziło. Był pewny, że Angela nie posłużyła się swoim ciałem, żeby go kupić. Nigdy nie uciekłaby się do takich nikczemnych sztuczek. Oddała mu się całkowicie i bez reszty. Na pewno nie chciała wykorzystać go do swoich celów. Dlatego on też nie będzie się nią posługiwał.
Odwrócił się i podszedł do telefonu.
- Co robisz? - Angela poderwała się na równe nogi.
- Nie będziesz już więcej pośrednikiem - powiedział. Od tej pory to, co się dzieje, to już tylko sprawa między mną a twoim szefem.

ROZDZIAŁ 11

Jaki jest prywatny numer senatora? - zapytał Jack, ściskając w ręku słuchawkę. - Nie chcę, żeby mnie bez końca przełączali.

Angela zawahała się. W głębi duszy czuła, że Jack ma rację. Że nareszcie powinien porozmawiać z senatorem w cztery oczy. Tylko senator mógł wyjaśnić sprawę tych pieniędzy, i to wyłącznie tym, którym ufał.

Jack powinien poznać motywy, które kierowały Claiborne'em. Miała nadzieję, że zrozumie go jako człowieka. Z drugiej strony czuła, że ma obowiązek bronić swojego szefa. Dlatego nie chciała nasyłać na niego żadnych ludzi - nawet człowieka, któremu ufała i z którym kochała się zaledwie kilka godzin wcześniej.

W końcu podjęła decyzję. Kiedy Jack podał jej telefon, wykręciła zastrzeżony numer i z biciem serca czekała. Po drugim sygnale odebrał Marc Green.

- Marc? Czy jest senator?

- Angela! - wykrzyknął Marc. - Gdzie ty się podziewasz? Co się dzieje?

Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby był tak wstrząśnięty.

- Nie mogę teraz rozmawiać.

- Co to znaczy, że nie możesz rozmawiać? Musisz. Nie mogę działać po omacku.
- To nie dotyczy ciebie, Marc. Połącz mnie z senatorem.
Za późno zrozumiała, że źle się wyraziła. Przez ostatnie kilka lat starała się postępować tak, żeby zaufanie, jakim obdarzał ją Claiborne, nie miało wpływu na jej stosunki z pozostałym personelem. Nie zawsze jej się to udawało.
Marc na ogół skutecznie maskował niechęć, jaką do niej żywił. Tylko czasami wymykały mu się kąśliwe uwagi na temat funkcji, jaką pełniła u boku senatora. Jak wtedy, kiedy przywiozła Merritta. I jak teraz, kiedy próbował wskazać jej, gdzie jej miejsce.
- Przypominam ci, że ciągle, jeszcze jestem doradcą prawnym i dyrektorem sekretariatu senatora Claiborne'a -powiedział lodowatym tonem. - Póki nie obejmiesz i mojej funkcji, bądź łaskawa pamiętać, że wszystko, co dzieje się w tym sekretariacie, mnie również dotyczy.
Angela wzięła głęboki oddech, żeby się opanować. Musiała zachować zimną krew, bo za dużo ludzi przysłuchiwało się ich rozmowie.
- Marc...-zaczęłapojednawczo. Green nie dał się udobruchać.
- Muszę wiedzieć, co się dzieje - przerwał jej ostro. -Dlaczego szef spóźnił się na spotkanie z przedstawicielami służb cywilnych? Dlaczego przełożył obrady nad projektem reformy? Chcę też wiedzieć, gdzie teraz jesteś.
Angeli rzadko zdarzało się tracić cierpliwość. Ale jeśli już - to na całego.
- Posłuchaj, Green. Nie mam czasu i nie obchodzi mnie,

co chcesz. Jeżeli masz problemy ze swoim nadętym ego, zgłoś się do psychologa. Połącz mnie z senatorem! I to już!
W słuchawce zapadła śmiertelna cisza.
Angela czekała. Kątem oka dostrzegła spojrzenie Jacka. I znów przypomniały jej się subtelne różnice między nim a Greenem. Chociaż obaj piastowali wysokie stanowiska, autorytet Jacka był wynikiem jego osobowości, a w przypadku Greena wynikał z pozycji jego szefa.
- Nie ma tu senatora - odezwał się w końcu Green. - Wyjechał godzinę temu.
- Dokąd?
- Nie mówił dokąd - brzmiała sucha odpowiedź. - Zostawił instrukcje, żeby w razie potrzeby dzwonić do niego na pager.
To wystarczyło Angeli, żeby się domyślić, dokąd wybrał się jej szef. W to samo miejsce, w które zawsze się udawał, ilekroć potrzebował spokoju i odosobnienia. Kiedy nie korzystał z jej usług, miał zwyczaj wzywać taksówkę, którą zmieniał co najmniej raz, żeby zatrzeć ślady. A czasami nawet dwa razy, na wypadek gdyby taksówkarz go rozpoznał.
- Dobra, dzięki. Później porozmawiamy, Marc.
- Angelo! - Green z trudem nad sobą panował. - Powiedz mi przynajmniej, czy jest z tobą Merritt. Czy będzie w stanie zeznawać, jeżeli przełożymy przesłuchanie na jutro?
- Później do ciebie zadzwonię.
Odłożyła słuchawkę i pomyślała, że będzie się musiała nieźle natrudzić, żeby ugłaskać urażoną dumę Greena. O ile oczywiście wróci do pracy. No i kiedy to nastąpi? Bo jak na razie wyglądało na to, że nieprędko.

162 SZALONE WALENTYNKI

- Czy mi się zdaje, czy Green jest bardzo niezadowolony, że został wyłączony z tej sprawy? - zapytał Jack.
- Utarliśmy mu nosa - przyznała Angela - ale mu przejdzie.

Taką miała przynajmniej nadzieję. Machnęła lekceważąco ręką i znowu wskoczyła w sam środek śledztwa, prowadzonego przez Jacka.

- Senatora nie ma w biurze. Przełożył przesłuchanie i godzinę temu wyjechał, nie mówiąc gdzie. Chyba wiem, gdzie się teraz znajduje. Zawiozę was tam... ale pod jednym warunkiem.
- Żadnych warunków - wtrącił Ramirez. - Żadnych ustępstw, Jack.
- Myślę, że wiem na pewno, dokąd pojechał - powiedziała z gniewem Angela. - A wy tego nie wiecie. Więc jeżeli któryś z was chce z nim porozmawiać, i to niedługo, musicie przyjąć moje warunki.
- Wysłuchajmy jej - powiedział Ramirez.
- Zgoda.

Obaj mężczyźni przemówili jednocześnie.

- Chwileczkę, Merritt - zdenerwował się Ramirez. - Ja tu jestem szefem. Nie możesz godzić się na warunki, których nie znasz.
- Mogę. Ufam Angeli.

Później, kiedy Angela miała już trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić, doszła do wniosku, że właśnie w tym momencie zakochała się w człowieku, którego senator przeznaczył na odstrzał. I nie miało to żadnego znaczenia, że reprezentował profesję, której nienawidziła. Że denerwował się, gdy prowadziła samochód. Że nie wiedziała, jaką lubi

muzykę, czy poprze projekt senatora i czy spodoba się jej matce.
Liczyło się tylko to, że jej ufał i ona także mu ufała. W jej kodeksie znaczyło to, że wytworzyła się między nimi więź znacznie silniejsza niż ta, jaka połączyła ich ciała.
- Chciałabym teraz zadzwonić - zwróciła się do obu mężczyzn, ale jej uśmiech przeznaczony był wyłącznie dla Jacka. - i to na osobności.
- Zaczekamy na dworze. Chłopaki, wychodzimy!
- Zaraz! Chwileczkę! - ryknął Ramirez, chwytając płaszcz i idąc za resztą. - Co to za warunek? Czy to ma być ten warunek? Prywatna rozmowa? Niech cię cholera, Jack!
Po wyjściu mężczyzn Angela zadzwoniła, a potem wzięła torebkę i w niecałe dwie minuty później dołączyła do reszty.
- W porządku. Zawiozę ciebie, Jack, i Ramireza do senatora, o ile nikomu nie zdradzicie, dokąd was zawiozłam. Nikomu! Taki jest mój warunek. Możecie albo go przyjąć, albo odrzucić.
Kiwając głową, Jack otworzył tylne drzwi wozu.
- Przyjmujemy.
- Zaraz, zaraz! - znowu oburzył się Ramirez. - Chwileczkę!
- Nie ma mowy - odparła Angela. - Zaczyna mi się spieszyć.
Ramirez zdołał wskoczyć na tylne siedzenie dokładnie w chwili, gdy wrzuciła bieg i wcisnęła gaz. Zawrócili. Spod kół prysnęły grudki ziemi i pokruszone muszle. Samochód pomknął wyboistą drogą.
Czterdzieści minut później Angela zahamowała na podjeździe niewielkiego domu z cegły, położonego pośród

malowniczych wzgórz Wirginii. Stromy trawnik od frontu, wciąż brązowy, jak to w zimie, był jednak starannie przystrzyżony. Posiadłość otaczał płot z pomalowanych na biało sztachet. Takie same białe sztachety tworzyły nad ceglanym chodnikiem pergolę, po której pięły się łodygi róż.
Angela minęła frontowe drzwi i poprowadziła Jacka i Ra-mireza do bocznego wejścia. Kiedy zapukała, Jack i Manny wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie był w stanie wyobrazić sobie wszechwładnego, żywiołowego senatora z Karoliny Południowej w tym ustronnym, sielankowym zakątku.
Jednak to właśnie senator otworzył im drzwi. W progu stanął nie ten wspaniały dżentelmen z Południa w białym garniturze, którego wyborcy podziwiali w telewizji i na Kapitolu. Henry Claiborne miał na sobje stary wełniany sweter, wypchane brązowe spodnie i zdeptane filcowe kapcie.
- No, no, moja panno! - wykrzyknął, całując Angelę w oba policzki. - Wiem, że chciałaś, żebym wymienił chryslera na inny wóz, ale to jeszcze nie powód, żeby go od razu wysadzać go w powietrze.
Angela uśmiechnęła się.
- Nawet z tym nowym silnikiem, który Tony zainstalował, ten wóz nie miał dość mocy, żeby mnie zadowolić.
Senator wybuchnął śmiechem.
- Nikt i nic nie ma dość mocy, żeby cię zadowolić.
- To prawda - przyznała. Prawda, ale nie do końca.
Wchodząc do zalanej słońcem kuchni, Angela pomyślała o domku nad morzem i wąskim łóżku. Jack miał dość mocy, żeby ją zadowolić. Nawet więcej niż trzeba.
Na myśl o tym zrobiło jej się gorąco. Rumieniec wystąpił

jej na policzki. Cofnęła się szybko, a senator zaczął się witać z mężczyznami.
- Muszę przyznać - zwrócił się do Jacka - że raczej się nie spodziewałem, że tak szybko uporacie się z moimi finansami. Ale oczywiście czekałem na telefon od Angeli.
- Pewnie dziś rano nie przyszło panu do głowy, żeby poinformować agenta Ramireza o tych wypłatach. Byłby mi pan oszczędził kilku godzin pracy - powiedział Jack.
Marchewkowy wąs nieznacznie drgnął.
- Nie, szczerze mówiąc, nie przyszło mi to do głowy.
- To nie żarty, panie senatorze - obruszył się Ramirez.
- Wiem. I wcale nie żartuję - odparł senator złowieszczo łagodnym tonem. - To mój samochód wyleciał w powietrze i niewiele brakowało, żeby mój kierowca podzielił jego los. To już nie są żarty! Ktoś za to zapłaci! I to drogo!
Ramirez zamrugał i cofnął się. Angela z trudem powstrzymała się od śmiechu. Swoją rubaszną prostodusznością Henry Claiborne potrafił rozbroić nawet najzagorzalszych przeciwników. Za to kiedy mówił cicho i spokojnie, wzbudzał zabobonny lęk.
- Wejdźmy do salonu - powiedział, znowu przybierając jowialny ton. - Pogadamy sobie.
Angela poprowadziła gości do słonecznego pokoju od frontu. Stały tam dwa fotele z szydełkowymi serwetkami na oparciach, wygodna sofa i koszyk, pełen różnobarwnych nici do haftowania.
- Cześć, Guzik - powiedziała spychając tłustego, rudego kocura z jednego z foteli. Podrapała go za uchem i zajęła jego miejsce. Guzik natychmiast wdrapał jej się na kolana, zostawiając masę rudych włosków na czarnym stroju Angeli.

Senator wskazał gościom sofę, a sam zajął drugi fotel. Splótł dłonie na wydatnym brzuchu i czekał na ich pierwszy krok.
- W ubiegłym roku parokrotnie podjął pan z konta większe sumy, na łączną kwotę prawie dwustu tysięcy dolarów - zaczaj Jack.
- Sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące, siedemset pięćdziesiąt, o ile pamiętam - powiedział senator.
- Pięćdziesiąt dwa - podpowiedziała Angela.
- Pięćdziesiąt dwa - poprawił się senator. - No więc, synku, dałem te pieniądze Angeli. Chyba wam o tym powiedziała?
- Tak, ale nie chciała powiedzieć na co. Claiborne z życzliwym uśmiechem spojrzał na Angelę.
- Wiedziałem, że nie powie. Jest na to zbyt lojalna.
- Zbyt lojalna czy zbyt uparta? - zapytał Jack.
- Jedno i drugie - odparł senator. - Radzę ci o tym pamiętać, Merritt.
Jack nie krył już uśmiechu.
- Tak jest, panie senatorze.
Rude wąsy uniosły się w górę. Ciężkie powieki nie zdołały ukryć przed wzrokiem Angeli błysku zainteresowania, jaki pojawił się w oczach senatora. Czuła już, że będzie się musiała przed nim solidnie tłumaczyć.
- No więc, na co były te pieniądze? - niecierpliwie zapytał Ramirez.
- Na ten dom. Angela kupiła go na swoje nazwisko. Chciałem zachować w tajemnicy tę transakcję z przyczyn czysto osobistych.
Manny Ramirez był zbyt wytrawnym profesjonalistą, że

by się dziwić otwarcie. Angela poczuła na sobie jego zdumiony, podejrzliwy wzrok. I bez pytania wiedziała, co o niej myślał. Pewnie to samo, co ci wszyscy, którzy dowiadywali się, że była kimś więcej niż tylko kierowcą senatora.
Ramirez miał jednak pewne trudności z wyobrażeniem sobie jej i senatora w tym gniazdku miłosnym. Angeli wcale to nie dziwiło. W końcu do żadnego z nich nie pasowały te hafty i serwetki na fotelach. Nie tylko Angela zauważyła sceptyczne spojrzenie Ramireza. Senator zmrużył oczy. W oczach Jacka zapaliły się ostrzegawcze błyski. Angela odczytała przesłanie, które przekazywał w ten sposób Rarnirezowi, i poczuła głęboką ulgę. Bez względu na niezbite dowody Jack odrzucał najbardziej oczywisty wariant
Jednak agent Ramirez nie tylko wyglądał na twardego faceta, ale i taki był. Nawet najbardziej drażliwe tematy nie stanowiły dla niego tabu. Teraz także wychylił się i zaatakował wprost:
- Chciałbym się upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Dał pan pannie Paretti sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów na kupno tego domu?
Senator spojrzał na niego spod ciężkich powiek.
- Tak.
- Mieszka pan tutaj...
- Mieszkam w Georgetown - łagodnie poprawił go Claiborne. - Niestety, obowiązki nie pozwalają mi przyjeżdżać tu tak często, jak bym sobie tego życzył.
- Czyli przyjeżdża pan tutaj, ilekroć pozwalają na to pańskie obowiązki oraz... - z obojętnym wyrazem twarzy Ramirez skinął w stronę Angeli - panna Paretti, tak?

- Zamknij się, Manny - syknął wściekle Jack. - Mylisz się!
- Może się mylę, a może nie. Dopóki się nie dowiem, kto mieszka tu oprócz senatora i...
- Ja tu mieszkam. [1]
Słowa te zostały wypowiedziane tak cicho, że Angela ledwo je usłyszała. Ramirez, który siedział przy drzwiach do holu, w ogóle ich nie usłyszał. Na widok filigranowej, siwowłosej pani, która wkroczyła do salonu, otworzył usta ze zdumienia.
Senator poderwał się. Na jego twarzy odmalowało się przygnębienie.
- Lilly! To ciebie nie dotyczy.
- Owszem, dotyczy, Henry - odparła łagodnie.
Angela zerwała się z fotela i przebiegła przez pokój, zapominając o drzemiącym na jej kolanach kocurze, który ocknął się i rozpaczliwie wczepił w nią pazurami.
- Wszystko w porządku, Lilly. Sytuacja już się wyjaśniła.
- Wiem - odparła starsza pani. - Wiem. W porządku, Angelo. Słyszałam, jak Henry powiedział ci, że możesz tu przywieźć tych panów pod warunkiem, że nikt nie dowie się o istnieniu tego domu.
Zielonkawymi oczyma spojrzała na obu mężczyzn, którzy także wstali na jej widok.
- Mogę liczyć na panów dyskrecję, prawda?
- Może pani - odparł Jack.
- Zaraz! Chwileczkę! - wtrącił się Ramirez, ale Jack nie zwrócił na niego uwagi.
- Może mi pani zaufać- powiedział.
Lilly przeszła przez pokój. Za nią kroczył strapiony sena-

tor, a na końcu zasępiona Angela z obrażonym kotem na ramieniu.
- Skoro Angela panu ufa - odezwała się Lilly - to mi najzupełniej wystarczy.
- Mnie też, panno... pani...?
- Pani - odezwał się senator, opiekuńczym gestem obejmując kruchą damę. - Pani Lilly Claiborne.
- To nie do wiary - burczał Manny na tylnym siedzeniu szewroleta, kilka chwil później. - Oni są małżeństwem od dwóch lat i nikt o tym nie wie!
- Lilly jest dość nieśmiała - zauważyła Angela.
- Jasne - prychnął Manny. - A ja jestem...
- Tępy? - podsunęła Angela. - Mało pojętny? Podejrzliwy, pedantyczny i ograniczony?
- Dobra, dobra. Rozumiem. Ale jak to możliwe? Dwa lata? A ona odwiedza go tylko w weekendy i wakacje? Jezu, nic dziwnego, że Szczwany Lis Claiborne w swoim rodzinnym mieście cieszy się reputacją wielkiego uwodziciela.
Angela spojrzała ze złością we wsteczne lusterko.
- Powiedziałam „ograniczony"? Zmieniam to na głupi.
- Zamknij się, Manny - odezwał się Jack, wciskając stopę w podłogę, kiedy Angela z niedozwoloną prędkością ścięła zakręt. - Kopiesz sobie grób, z którego nigdy się nie wygrze-biesz.
- Co? - Agent z Miami wyprostował się po ostrym skręcie w prawo. - Chcesz powiedzieć, że opinia playboya to tylko wymysł mediów?
Angela z politowaniem pokiwała głową.
- Oczywiście, że tak. To zasłona dymna, żeby odciągnąć

ich uwagf od Lilly. Właśnie dlatego postawiłam warunek, że żadna informacja o tym domu i Lilly nie może się przedostać do prasy. Media zjadłyby ją żywcem.
- No dobrze - burknął Ramirez. - Jeżeli nie wykryjemy żadnych powiązań senatora z HealthMarkiem...
- Na pewno nie wykryjecie!
- I jeżeli nie wykryjemy niczego podejrzanego w jego rachunkach...
- Na pewno nie wykryjecie!
- To daję moją stuprocentową gwarancję, że nikomu nie pisnę ani słówka o pani Claiborne.
- W porządku.
- Tak czy owak. Mój Boże! Dwa lata!?
Jack wyprostował nogi i rozsiadł się wygodnie przed dłuższą jazdą na zachodnie wybrzeże Maryland. Dwa lata, pomyślał. Jego własne małżeństwo nawet i tyle nie trwało.
Jeszcze przed ślubem z Marilyn wiedział, że mają różne cele w życiu - ale jak bardzo różne, zorientował się, gdy było już za późno. Marilyn była błyskotliwa, czarująca i z koneksjami, a kiedy dowiedziała się o milionach jego dziadka, zwariowała na tym punkcie. Gorączkowo zapragnęła pojednać go z dziadkiem, chociaż ani tego nie chciał, ani nie potrzebował. Wciągała go w długie łóżkowe dyskusje i debaty przy stole, które przerodziły się w otwarte ataki, kiedy kategorycznie odmówił wstąpienia do firmy Merritt Communications. A gdy oznajmił jej, że przyjął posadę w Szpitalu Dziecięcym w Atlancie, ze znacznie mniejszą pensją, po prostu się wyprowadziła.
Lilly była zupełnie inna. Niezłomna i stała. Mimo wrodzonej nieśmiałości nie zawahała się połączyć swojego losu

z tak barwnym i żywiołowym mężczyzną, jakim był senator Claiborne, osoba jak najbardziej publiczna.
Senator nigdy nie zawiódł jej zaufania. Od dwóch lat skutecznie chronił ukochaną kobietę przed wszelkimi niedogodnościami, związanymi z obraną przez niego karierą.
Jack zerknął spod oka na Angelę, która prowadziła wykupieniu. Ona także nigdy nikogo nie zawiodła. Był tego absolutnie pewny. Jeżeli już się czemuś oddała, to całą duszą.
Czy to możliwe, pomyślał, że zaledwie kilka godzin wcześniej dzielili wąskie łóżko w domku jej wuja? Że nie dalej jak tego ranka trzymali się w ramionach, płonąc z namiętności? Na myśl o tym zrobiło mu się gorąco.
Jak to możliwe, że choć znał tę kobietę tak krótko, zdołał poznać ją lepiej niż własną żonę? I pragnął jej tak, jak nigdy nie pragnął Marilyn. Że wryła mu się w pamięć, przyćmiewając wszystkie dotychczasowe doznania - a miał w końcu trzydzieści sześć lat.
W uszach zabrzmiały mu słowa, które wypowiedział Tony Paretti. „Tak się czasami zdarza".
A jemu się to przydarzyło na moście, kiedy bita śmietana i kilka sekund grozy po raz pierwszy rzuciły Angelę w jego ramiona.
Teraz musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ją zatrzymać na zawsze.
A gdyby jeszcze umazać ją bitą śmietaną, nie byłoby to wcale takie złe, pomyślał z łobuzerskim błyskiem w oku.
Wciąż napawał się tą wizją, kiedy Angela nieoczekiwanie skręciła w ulicę, przy której mieściły się eleganckie butiki i ciastkarnie.
Jack i Manny poważnie się zaniepokoili.

- Skąd ta nagła zmiana trasy?
- Ktoś jedzie za nami?
Angela ostro zahamowała przed sklepem.
- Nikt za nami nie jedzie - oświadczyła. - Po prostu kategorycznie odmawiam spędzenia następnej godziny w tym ubraniu. Poczekajcie chwilę.
Kiedy wysiadła, trzaskając drzwiami, i skierowała się w stronę wystawy z manekinami, spowitymi w jaskrawe wełny, Manny kompletnie osłupiał.
- Co to ma znaczyć?
- Chyba poszła na zakupy - roześmiał się Jack.
- Na zakupy? Jestem w trakcie jednego z najpoważniejszych śledztw w moim życiu, a ona sobie idzie na zakupy!
Jack pchnął drzwi.
- Ja też muszę coś kupić. Na przykład czystą bieliznę. Świeżą koszulę.
I oczywiście bitą śmietanę.

ROZDZIAŁ 12

Cztery godziny później Jack musiał przyznać to, przy czym Angela od początku twardo obstawała. Nie istniały żadne powiązania między senatorem Claiborne'em a HealthMarkiem. A w każdym razie takie, które udałoby się odkryć jemu lub jego zmęczonym pomocnikom.

- Musimy jeszcze sprawdzić kilka transakcji dokonanych za pośrednictwem banków w głębi kraju - zwrócił się do Manny'ego. - Ale to już drobne sumy. Zwrot pożyczki, udzielonej jednemu z przyjaciół, oraz wpłata na kampanię wyborczą senatora, dokonana przez jakiegoś plantatora trzciny cukrowej z Jamajki.

Ramirez odsunął na bok tackę z resztkami obiadu, składającego się z zakupionej w pobliskiej wiosce ryby z frytkami.

- Uważasz, że on jest czysty?

Tak samo czysty jak wszyscy, którzy od ponad czterdziestu lat uprawiali politykę, cynicznie pomyślał Jack. Henry Claiborne otrzymywał olbrzymie honoraria za swoje wystąpienia w senacie, do czasu gdy przed kilku laty wyznaczono górny pułap tego rodzaju wynagrodzeń. Bratał się z królami i książętami, którzy zasypywali go gradem kosztownych podarunków. Wiele z nich zostało zgłoszonych w stosownych raportach, ale pewnie jeszcze więcej nie. Senator był także

właścicielem rozległych terenów leśnych, zakupionych od parku narodowego z polecenia jednego z kolegów - senatorów.
Jednak żadna z tych spraw nie miała najmniejszego związku z przyczyną, dla której wezwano Jacka do Waszyngtonu.
- Jeżeli chodzi o HealthMark, jest absolutnie czy sty - powtórzył Jack, przeciągając się.
Z drugiego końca domku dobiegło go znaczące „Hm". Jack podniósł oczy znad komputera i spojrzał na kobietę, skuloną w fotelu. Musiał jej to zapisać na plus, że ograniczyła się do złośliwego uśmiechu. Nawet wtedy wyglądała prześlicznie. Purpurowy sweter z golfem, zakupiony podczas przerwy w podróży, doskonale podkreślał połysk jej ciemnych oczu i włosów, a bladoniebie-skie dżinsy opinały jej ponętne kształty w sposób, który poważnie utrudniał Jackowi koncentrację. Znane mu już adidasy także nie ułatwiały zadania. Czerwone serduszka migotały wesoło, przyciągając jego wzrok, ilekroć poruszyła nogą.
- I co teraz będzie? - zapytała Angela, wstając z fotela, żeby się przyłączyć do mężczyzn przy stole.
Rarnirez sięgnął po kartonowe pudło.
- Zabierzemy to ze sobą i sprawdzimy tych kilka transakcji jutro, po otwarciu banków.
Potrząsając głową, Angela podała mu plik wydruków.
- Tracicie tylko czas.
- Może i tak.
W ustach Manny'ego zabrzmiało to niemal jak przyznanie się do winy.
Podczas miesięcy wspólnej pracy Jack przekonał się, że Rarnirez jest czujny jak pies myśliwski. I nie rezygnował,

dopóki nie miał stuprocentowej pewności, że idą martwym tropem.
Teraz także nie chciał się poddać. Otwarcie przyznawał się, że śledztwo w sprawie HealthMarku jest jednym z najpoważniejszych, nad jakimi pracował. Że winni otrzymają wieloletnie wyroki i wielomilionowe grzywny. Dlatego chciał sprawdzić każdy, najbłahszy nawet świstek.
Podobnie jak Jack. Przynajmniej do czasu, kiedy granatowy chrysler wyleciał w powietrze, omal nie grzebiąc w swoim wraku Angeli. Teraz jego kryteria się zmieniły. Przede wszystkim chciał chronić osoby zamieszane w tę sprawę.
- Tracicie tylko czas - powtórzyła z uporem Angela, wrzucając kolejny plik dokumentów do pudła. - Niczego nie znajdziecie w tych papierzyskach. A jeżeli nic nie znajdziecie, to dokąd nas to doprowadzi?
- Do punktu, w którym byliśmy, kiedy spłonął twój wóz -odparł Rarnirez. - Do tego z całą masą pytań i brakiem odpowiedzi.
Nie będziemy dokładnie w tym samym punkcie, pomyślał Jack. Był już teraz pewny, że senator wezwał go do Waszyngtonu wyłącznie w związku z planowaną reformą. W tej sytuacji pozostawały tylko dwa motywy zamachu bombowego - i prawdopodobnie także strzelaniny.
Ktoś chciał uniemożliwić mu złożenie zeznań.
Albo chciał zamknąć usta Angeli.
Z pierwszym mógł się pogodzić, drugiego nie był w stanie zaakceptować.
Poczekał, aż Angela wyjdzie z pudłem przed dom, gdzie pomocnicy ładowali już wszystko do samochodu, i dopiero wtedy zwrócił się do Manny'ego:

- Chcę, żebyś uruchomił swoje kontakty w sądzie. Powiedz im, że przyszła pora, aby ta sprawa ujrzała światło dzienne. Dostarczyliśmy im wystarczającą liczbę dowodów, żeby mogli sformułować akt oskarżenia.
- Nie są jeszcze gotowi - zaprotestował agent. - Wydaje im się, że mogą złowić więcej ryb w tę samą sieć. Ja też tak uważam.
- Dosyć już złowiliśmy. Zacznijmy wyciągać sieci.
- Nie wiem, czy sąd wyda zgodę. Jack zacisnął zęby.
- Nie dam im wyboru. Powiedz im, że mają czas do jutra, żeby wszystko przygotować. Jeżeli tego nie zrobią, jutro po południu poinformuję o wszystkim prasę.
Manny z hukiem odstawił pudło,
- Jutro po południu?!
- Senator ze swojej strony dotrzymał słowa. Ja też dotrzymam warunków naszej umowy. Będę zeznawał przed komisją.
Rarnirez spojrzał w stronę uchylonych drzwi. W purpurowej poświacie wieczoru zamajaczyła mu sylwetka Angeli.
Jack był pewny, że Manny nie przeoczył tego, co działo się między nim a Angelą tego popołudnia. Z całą pewnością rozumiał, że jej udział w śledztwie wiąże się z jego żądaniem, by sprawa ujrzała wreszcie światło dzienne.
- Posłuchaj - upierał się Manny - jeżeli chodzi o bombę i strzelaninę, nadal brak dowodów, że te incydenty miały jakikolwiek związek z prowadzonym przez nas śledztwem. Daj nam trochę więcej czasu. Prześledźmy wszystkie tropy.
- Nie. - Jack potrząsnął głową. - Do tej pory szedłem ci na rękę. Teraz nie chcę już nikogo narażać.

- Nikogo czy Angeli?
- Powiedz swoim ludziom w sądzie, że nakazy aresztowania mają być gotowe na jutro, a szeryfowie niech od rana czekają, bo będą musieli zapukać do kilku drzwi.
Bębniąc palcami w stół, Rarnirez patrzył przez chwilę na Jacka.
- Jesteś zdecydowany wystawić się na cel, tak?
- Może.
- Zamierzasz jawnie i bezczelnie wspiąć się po schodach na Kapitol. Gdyby ktoś chciał cię powstrzymać przed złożeniem zeznań, to będzie jego ostatnia szansa, bo potem cała sprawa wyjdzie na jaw.
- Tak to widzę".
- Dlaczego, Jack? Przecież moglibyśmy was ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu, póki nie dowiemy się, które z was miało być celem.
- A jeżeli nigdy tego nie odkryjecie? Jeżeli ślady są tak doskonale zamaskowane, że nigdy nie dowiecie się, kto i dlaczego?
- No tak, zawsze jest taka możliwość.
- Skończyłem już z możliwościami. Jeżeli chodzi im o mnie, chcę ich zmusić do działania. I to jutro.
- A jeżeli nie chodzi o ciebie? Jack zmrużył oczy.
- Wtedy użyjemy wszelkich środków - ja, Ed Winters
i rodzina Parettich - żeby się dowiedzieć, kto dybie na życie Angeli.
Angela nie potrzebowała więcej czasu niż Manny Rarnirez, żeby zrozumieć, co kryje się za decyzją Jacka. Kiedy

światła samochodu Ramireza zniknęły w oddali, Jack zaproponował, by zadzwoniła do senatora i szefa jego biura i upewniła się, czy wyznaczony na następny dzień termin przesłuchania jest nadal aktualny.
- Chcesz zeznawać? - zapytała. - Zamierzasz poprzeć projekt senatora?
- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak". Na drugie - niekoniecznie. - Uniósł rękę, żeby uprzedzić jej protesty. - Przedstawię im moją opinię i odpowiem na wszystkie pytania, ale wciąż nie jestem przekonany, że wzmożona kontrola ze strony rządu rozwiąże problemy naszego systemu opieki zdrowotnej.
- Odpowiesz na wszystkie pytania? - powtórżyła. - Nawet dotyczące HealthMarku i grępmorphinu?
- Tak.
Angela zamyśliła się, a jej stopa zaczęła miarowo stukać w podłogę. Po chwili między jej brwiami ukazały się dwie równoległe zmarszczki.
- Chcesz ich sprowokować, tak?
- Przynajmniej chcę spróbować.
Zmarszczki zniknęły, za to w oczach Angeli błysnęła determinacja.
- To dobrze! Wykurzymy tych łotrów z ich nory, Jack! A potem się z nimi rozprawimy!
To entuzjastyczne poparcie nie zdziwiło Jacka. Spodziewał się, że Angela nie będzie się sprzeciwiać jego decyzji. Nie był jednak przygotowany na to, że z taką determinacją rzuci się w wir walki.
- Zadzwonię do senatora - powiedziała, idąc do telefonu. - A potem do Marca Greena. Jeżeli wyznaczy przesłucha-

nie na późne popołudnie, pewne zainteresowane osoby zdążą się o tym dowiedzieć. A wtedy my będziemy mogli... Jack chwycił ją za ramię.
- Zanim gdziekolwiek zadzwonisz, chcę, żebyś jedno zrozumiała. Nie ma żadnego „my". A przynajmniej nie jutro.
- O czym ty mówisz?
- Nie chcę cię już więcej narażać. Manny załatwi mi kierowcę i ustali trasę.
Spodziewał się sceny. Przewidywał burzę protestów. Tymczasem Angela skrzyżowała ręce na piersi i spokojnie spojrzała mu w oczy.
- Wyjaśnijmy sobie coś, Merritt. Przeszłam szkolenie w zakresie technik obronnych i ofensywnych oraz antyterrorystycznych. Nie mówiąc już o tym, że nikt - powtarzam nikt - nie odbierze prowadzenia żadnemu z Parettich.
- Czy to prawda?
- Tak, prawda.
W oczach Angeli płonęła tak silna determinacja, że Jack omal nie uległ. Jednak chęć zapewnienia jej bezpieczeństwa okazała się silniejsza. Ziarno zostało zasiane na moście, a zakiełkowało podczas jazdy z Gapiem. A kiedy chrysler wzniósł się nad ziemię, korzenie ciasno oplotły mu serce.
Niestety, Angela szybko rozwiała jego złudzenia, że będzie miał w tej kwestii ostatnie słowo. Ujmując się pod boki, wyłożyła mu to bez ogródek.
- Ja jestem twoim kierowcą. Koniec. Kropka. Przynajmniej póki to się nie skończy. A potem porozmawiamy sobie o przyszłych rolach i zadaniach.
Niestety, Jack musiał przyznać jej rację. To, co było mię-

dzy nimi, musiało na razie zaczekać. Ale nie mógł już dłużej czekać na to, żeby móc wziąć ją w ramiona.
- Mam nadzieję, że nie tylko porozmawiamy - powiedział, starając się wryć sobie w pamięć jej twarz.
Angela oblizała wyschnięte wargi. Czuła, że cała drży, a serce coraz mocniej bije jej w piersi. Ujęła w dłonie jego twarz.
- Zadzwonię do senatora i do Marca - powiedziała. - Potem ty zadzwoń do Manny'ego i do Eda Wintersa i powiedz im, że jutro wracamy. My, Jack. Ty i ja. Razem.
Jack objął ją.
- A po telefonach?
Angela musnęła ustami jego wargi.
- Po telefonach przejrzymy projekt ustawy senatora. Mam go w torebce.
- Żartujesz?
- Nie, ale jeszcze z ciebie nie zrezygnowałam, Merritt -mruknęła z ustami przy jego ustach. - Jest jeszcze młoda godzina. Możemy spróbować pobić rekord szybkiego uzupełniania paliwa.
Kiedy przygarnął ją mocno do siebie, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie zmienić kolejności działań. Mimo żartu o biciu rekordu nie zamierzała przyspieszać biegu spraw. Nie tej nocy. A może nawet nigdy.
Jack musiał być tego samego zdania, bo burknął:
- Załatw twoje telefony, a ja załatwię moje. A potem masz godzinę, powtarzam, jedną godzinę na mówienie. O czymkolwiek.
Senator z miejsca zrozumiał, co kryło się za decyzją Jacka.

- Więc on ma zamiar posłużyć się przesłuchaniem, żeby zastawić pułapkę? No to wasz szczwany senator, wytrawny myśliwy, pomoże mu ustrzelić trochę zwierzyny. Rozpuszczę poufną wiadomość, że zapowiada się kapitalne przesłuchanie. - Jego ton nabrał ostrości. - Uważaj na siebie, moja panno, słyszysz?
- Dobrze.
- I przypilnuj, żeby ten twój facet zapiął pasy i trzymał nisko głowę.
- On nie jest mój - rzuciła Angela. - Jeszcze nie.
- Ha! Może ostatnio szwankuje mi wzrok, ale nie na tyle, żebym nie zauważył spojrzeń, jakie mu rzucałaś. A tak przy okazji, wiesz, co w moich stronach mówi się o facetach, którzy całują młode kozy?
- Nie - odparła pospiesznie - i wcale nie chcę wiedzieć. Senator zaśmiał się cicho i zanim się wyłączył, polecił jej
zadzwonić do matki.
Zamiast do matki, zadzwoniła do Marca Greena.
Green zareagował znacznie bardziej powściągliwie niż jego szef. W słuchawce zapadła lodowata cisza. Angela z trudem stłumiła niecierpliwe westchnienie. Widocznie Green jeszcze jej nie wybaczył. A to niedobrze! Nie miała czasu ani ochoty, żeby zajmować się teraz jego urażoną dumą. Po potwierdzeniu terminu przesłuchania odłożyła słuchawkę, a potem wyjęła pogniecioną kopię ustawy senackiej numer 693 i usiadła obok Jacka.
- Masz jedną godzinę - przypomniał jej, stukając w szkiełko zegarka. - Zakładając, że uda mi się skupić na reformie i utrzymać ręce przy sobie.

- Jedną godzinę - powtórzyła, mając nadzieję, że jej też się to uda.
Powaga tematu sprawiła, że odłożyli na bok żarty i zagłębili się w lekturze. Angeli nie udało się przekonać Jacka, żeby poparł wszystkie punkty ustawy. Prawdę mówiąc, wielu z nich nie rozumiała. Za to zręcznie i entuzjastycznie optowała za tymi, które dotyczyły znanych jej spraw. Jack nie dyskutował z nią i nie próbował się spierać. Przedstawiał jej poszczególne kwestie ze swojego punktu widzenia.
To prawda, że masowa produkcja najdroższych leków kosztuje tylko kilka dolarów, ale koncerny farmaceutyczne muszą sobie odbić koszty ogólne oraz koszty wieloletnich badań i testów, potrzebnych do uzyskania atestu ministerstwa zdrowia. Narzucenie ustawowych cen początkowo byłoby z korzyścią dla pacjenta, lecz na dłuższą metę mogłoby się negatywnie odbić na badaniach nad wprowadzeniem nowych leków, ratujących ludzkie życie.
Wszyscy obywatele powinni mieć równe prawo do opieki zdrowotnej, bez względu na poziom dochodów. Jednak potrzeby i żądania pacjentów nie są równe. Czy można wymagać od podatników, żeby pokrywali koszty drogich kuracji kosmetycznych? Albo sztucznego utrzymywania przy życiu pacjentów, na których śmierć nie chcą się zgodzić ich najbliżsi? W każdym systemie gwarantowanych świadczeń musi być miejsce na indywidualne opcje i potrzeby.
Strona po stronie, paragraf po paragrafie, Jack tłumaczył Angeli wszystkie mocne i słabe punkty proponowanej ustawy. Wysłuchała już wielu dyskusji w biurze senatora, kiedy przedstawiciele wiodących firm ubezpieczeniowych prote-

stowali przeciwko jakimkolwiek zmianom. Jednak żadne argumenty nie przemówiły do niej równie mocno co Jacka.
Jack postukał palcem w paragraf u dołu przedostataiej strony.
- Ten dopisek, na przykład, to czysty dynamit. Marszcząc brwi, spojrzała na zakwestionowany tekst.
- Nie pamiętam, żeby ten dopisek figurował w oryginalnej wersji ustawy. Co złego widzisz w ulgach podatkowych dla klinik i instytucji, które zapewniają dobrą opiekę swoim pacjentom po obniżonych kosztach?
- Pozornie nic, ale coraz większa liczba klinik specjalistycznych i domów opieki staje się własnością międzynarodowych korporacji, które prócz tego, że zapewniają opiekę zdrowotną, prowadzą także rozliczne interesy, związane z ludzkim zdrowiem. HealthMark, na przykład, ma w całym kraju komórki dystrybucji leków, oddziały opieki dziennej i kliniki onkologiczne. Ten dopisek do ustawy zapewniłby im znaczne zniżki podatkowe w wypadku sprzedaży własnych leków dla własnych klinik - po nieznacznie obniżonych cenach. Co już i tak robią.
- Jestem pewna, że nie taka była intencja autorów - przyznała Angela. - Marc będzie musiał zmienić sformułowanie, zanim ustawa zostanie przedstawiona komisji.
- Owszem, będzie musiał.
Omówili ostatnią kartkę i po raz ostami przejrzeli całość.
- Są tu oczywiście pewne słuszne propozycje, Angelo - powiedział Jack po namyśle - ale znacznie więcej takich, które budzą mój gwałtowny sprzeciw. Jeżeli senator zapyta mnie o opinię, to mu ją przedstawię.
Zacisnęła usta. Znów zaczęły się w niej zmagać lojalność

wobec Jacka i wobec senatora. Szczwany Lis Claiborne był ekspertem w wyduszaniu dokładnie takich zeznań, o jakie mu chodziło, z najbardziej nawet opornych świadków. Znała jego taktykę. Widziała go przecież w akcji dziesiątki razy.
Wiedziała z góry, że w tym przypadku senator będzie zadawał Jackowi pytania dotyczące wyłącznie kontroli przeprowadzonej w HealthMarku oraz wykrytych przez niego nadużyć. A potem jego zeznania posłużą jako dowód na konieczność wprowadzenia proponowanej przez niego reformy. To w tym celu sprowadził Jacka do Waszyngtonu.
- On może cię wcale nie zapytać o zdanie - powiedziała w końcu. - Nie znasz senatora. On... bardzo starannie planuje wszystkie swoje wystąpienia.
- On też mnie nie zna. - Wzrok Jacka spoczął na jej twarzy. - Ty pod tym względem też mnie nie znasz.
Była to prawda. Poza gołymi faktami, zebranymi przez pracowników biura senatora, niewiele wiedziała na temat jego życia osobistego: I o dziwo, wcale jej to nie przeszkadzało.
- Wiem wszystko, co trzeba, Jack-powiedziała łagodnie. Wypowiedziane cichym głosem słowa zawisły w powietrzu. Jack odgarnął jej za ucho ciemny kosmyk i dotknął policzka.
- A co wiesz, Angelo?
Miał taką ciepłą dłoń, że aż zrobiło jej się ciepło na sercu.
- Wiem, że jesteś gotowy spróbować potrawę, której nazwy nawet nie potrafisz wymówić.
- To takie ważne?
- Dla mnie tak.
- Co jeszcze?

SZALONE WALENTYNKI 185

- Wiem, że wyglądasz fantastycznie w cylindrze. Jack musnął kciukiem jej usta.
- Tak uważasz?

Pocałowała miękki czubek jego palca.

- Tak uważam.
- Co jeszcze? Uśmiechnęła się.
- Wiem, że przed tobą jeszcze długa droga, zanim uda ci się pobić rekord uzupełniania paliwa.

Oczy Jacka rozjaśniły się uśmiechem.

- Chyba będę musiał więcej poćwiczyć. Z kimś, kto zna się na rzeczy.
- No cóż... Przez najbliższe kilka godzin nie mam nic do roboty. Mógłbyś poćwiczyć na mnie.

Dzwonek telefonu wyrwał ich z kamiennego snu. Jack stoczył się z wąskiego łóżka i już był na nogach, zanim ostry dźwięk dotarł do świadomości Angeli.

Zaspana i zdezorientowana uniosła się na łokciu.

- Co się dzieje?

Żarówka u sufitu zapaliła się, oświetlając gładkie płaszczyzny i cieniste zagłębienia ciała Jacka, który w napięciu nachylał się nad telefonem.

Zapadła cisza. Pięć sekund. Dziesięć.

Angela rozpaczliwie próbowała przystosować się do atmosfery zagrożenia, która wdarła się do ich zatopionej we śnie chatki. W bezpiecznym uścisku Jacka zapomniała, że na zewnątrz czyha na nich inny świat. Kiedy telefon znowu zadzwonił, odetchnęła z ulgą.

Jack natychmiast odebrał.

- Słucham?
Z drugiego końca pokoju poszukał jej wzroku. W oczach miał dziwny błysk.
- O tak, pani Paretti. Angelatujest. Boże! Znowu jej matka! I Jack! Nago!
To znaczy jedno z nich było nago. Bo jej matka wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była w tej chwili spowita od stóp do głowy w jaskraworóżową koszulę nocną, którą Tony podarował jej na Dzień Matki.
- Nie, proszę pani - powiedział Jack, nie spuszczając wzroku z Angeli. - Ani kropelki.
Angela z jękiem opadła na poduszki i zakryła rękami twarz. Leżała tak, dopóki Jack nie odłożył słuchawki.
- Jack - odezwała się błagalnyrą tonem - powiedz mi, że to nie jest zły sen. Ze moja matka nie zapytała cię właśnie, czy masz w sobie włoską krew.
- Twoja matka nie zapytała mnie o to, tylko ciotka Rose.
Angela odsłoniła twarz.
- Ciotka Rose? Żona wuja Guida?
Rose Paretti, potężna wąsata kobieta o świdrujących oczkach, żelazną ręką prowadziła dom. To ona właśnie była jedną z przyczyn, dla których biedny wuj Guido coraz częściej wymykał się do tej prymitywnej chatki.
Angela usiadła, podciągając prześcieradła.
- Po co miałaby tu dzwonić?
- Chciała przekazać wiadomość od wuja Guida. Mam się natychmiast skontaktować z Edem Wintersem.
Kompletnie zdezorientowana, Angela wysłuchała rozmowy Jacka z Edem, składającej się głównie z okrzyków

SZALONE WALENTYNKI 187

„O cholera!". Po chwili Jack odłożył słuchawkę i wbił ponury wzrok w ścianę.

- No i co? - zapytała Angela. - Co się dzieje?

Jack otrząsnął się jak pies, który próbuje strzepnąć z siebie resztki snu.

- Złapałem Eda, kiedy jechał do miasta. Podobno ktoś przed chwilą podrzucił kubeł na śmieci przed wejściem do II Komisariatu. Natknęli się na niego dwaj policjanci z patrolu. W środku znaleźli... faceta, zapakowanego głową w dół.

Angela podciągnęła kołdrę na piersi. Wiedziała już, co się stało. Kontakty wuja Guida przyniosły owoce.

Ten utalentowany drukarz i introligator przyjechał do Stanów po otrzymaniu wizy amerykańskiej pod koniec lat trzydziestych. Przy okazji sporządził fałszywe dokumenty dla kilku przyjaciół, którzy mieli mniej szczęścia. Przyjaciele ci nigdy nie zapomnieli mu tej przysługi. Jeden z nich został później burmistrzem dużego miasta na Wschodnim Wybrzeżu i zaprosił Guida na ceremonię zaprzysiężenia. Drugi sprzedał niedawno, za nie ujawnioną kwotę, sieć hoteli w Las Vegas. Angela wielokrotnie słyszała od wuja, że pojemnik na śmieci był jego wizytówką.

- Ed Winters twierdzi, że ten ludzki śmieć może być tym samym człowiekiem, którego już wcześniej dwa razy wynajęto.

- Naprawdę? - zapytała, czując, że serce zaczyna jej głucho walić w piersi.

- Policjanci z patrolu mówią, że ten typek pasuje do twojego opisu, chociaż jest bliżej trzydziestki niż dwudziestki.

Angela lekceważąco machnęła ręką.

- Widziałam go tylko przez jedną czy dwie sekundy.

- Drań robi w portki ze strachu - ciągnął Jack. - Skamle, że nie wie, kto go wynajął, i że wszystkie zlecenia dostawał przez telefon. Zaklina się na wszystkie świętości, że nie miał pojęcia, iż krewna Guida Drukarza była z facetem, którego miał sprzątnąć.
- Och! Jack!
W sekundę znalazła się na drugim końcu pokoju, w ramionach Jacka. Przylgnęła do niego, czując przykry skurcz żołądka.
W głębi duszy przez cały czas podejrzewała, że to Jack był celem tych zbrodniczych ataków. Podejrzewać, a wiedzieć, to olbrzymia różnica. Zrobiło jej się ciężko na sercu.
Jack objął ją i ukrył twarz w jej splątanych włosach. Od początku podejrzewał - miał nadzieję! - że to nie Angela, tylko on był celem. Teraz, skoro już wiedział to na pewno, lżej mu będzie wykonać swoją robotę.
Znacznie lżej.

ROZDZIAŁ 13

Angela, jak zwykle, starała się maksymalnie odwlec moment, w którym będzie musiała się obudzić. Naciągając kołdrę na głowę, żeby zasłonić oczy przed promieniami słońca, wpadającymi przez szczelinę między zasłonami, wtuliła twarz w poduszkę. Zauważyła przy tym, że odór pleśni już wywietrzał. Teraz wokół unosił się zapach Jacka - męski i bardzo ekscytujący.

Na wspomnienie minionej nocy krew uderzyła jej do głowy. Niewiele brakowało, a udałoby im się pobić rekord! Ale stało się to dopiero wtedy, gdy Jack odrzucił na bok projekt ustawy senatora i po telefonie ciotki Rose, kiedy...

W jednej chwili ocknęła się ze stanu miłego półsnu.

Telefon ciotki Rose!

Śmieciarz!

Jack!

Wystawiła głowę spod kołdry i rozejrzała się wokoło. Na widok Jacka odetchnęła z ulgą. Siedział przy stole i pisał coś na przenośnym komputerze, który zostawił mu Manny.

Musiał już być od jakiegoś czasu na nogach. Włosy miał mokre i zaczesane do tyłu. Ubrany był w rybacki sweter i kupione poprzedniego dnia brązowe sztruksy. Sądząc po stroju, nigdzie się nie wybierał. Przynajmniej na razie.

Był bezpieczny, był przy niej i jeszcze przez kilka godzin miał do niej należeć.
Angela wygramoliła się spod kołdry i przeciągnęła się leniwie. Odchyliła głowę do tyłu, a miękki bawełniany podkoszulek, który Jack kazał jej włożyć na noc, opinał jej kształty.
Jack oderwał wzrok od ekranu komputera. Na widok Angeli ogarnęło go pożądanie. Z opadającymi na plecy włosami i przebijającymi spod koszulki czubkami piersi wyglądała jak pogańska boginka. Jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Z trudem powstrzymał się od tego, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie przewrócić na łóżko.
Jednak poczucie obowiązku wzięło górę nad instynktem. Miał pewne zadanie do wykonanią i to ono wyrwało go z jej ramion jeszcze przed świtem. Zadowolił się więc samym widokiem Angeli, maszerującej przez pokój tylko w podkoszulku.
- Co robisz?
- Zmagam się z liczbami.
- Znam lepsze sposoby na rozpoczęcie dnia.
Jack z uśmiechem odchylił się w krześle i lekko się przeciągnął.
- Na przykład jakie? Angela oparła się o stół.
- Moglibyśmy pójść na spacer nad morze. Albo pojechać do wioski na śniadanie. Albo... - zamrugała zalotnie - jeszcze raz spróbować pobić rekord.
Mimo żartobliwego tonu nie było jej wcale do śmiechu. Świadomość, że Jack wkrótce opuści ich bezpieczne gniazdko i wystawi się na cel, nie dawała jej spokoju. I choć upierała

się, że osobiście zawiezie go na Kapitol, najchętniej schowałaby kluczyki wozu, popsuła starter i ukryła się z Jackiem w łóżku na cały tydzień, miesiąc albo i rok.
- Jestem jak najbardziej za - powiedział z uśmiechem - ale najpierw muszę ci coś pokazać.
- Co?
- Te liczby, które rozpracowywałem.
- Dobrze - westchnęła. - Powinieneś jednak wiedzieć, że jestem znacznie lepszym mechanikiem niż matematykiem.
Ponad jego ramieniem spojrzała na szary ekran komputera. Podkoszulek podsunął jej się na jednym biodrze.
- Muszę ci tu parę rzeczy wyjaśnić - powiedział Jack. - To trochę potrwa Może byś założyła coś cieplejszego... i mniej rozpraszającego.
Pokusa była krótka, ale silna. Jeżeli widok kawałka nagiego biodra potrafi oderwać Jacka od tych równych kolumn cyfr, to co by było, gdyby odsunęła laptopa, usiadła na stole i położyła Jackowi nogi na kolanach?
Jednak szybko porzuciła ten zwariowany pomysł. Rzeczywistość osaczała ich coraz ciaśniejszym pierścieniem. To, co Jack chciał jej pokazać, wiązało się z przyczyną, dla której tkwili teraz na tym odludziu. To nie był dobry czas na miłosne igraszki. Niestety.
Westchnęła, machnęła ręką i skierowała się do łazienki.
- Pójdę się umyć i ubrać. A ty zaczekaj.
Jack pomyślał, że i tak nigdzie nie pójdzie. Wbił wzrok w ekran, a jego palce zaczęły fruwać nad klawiaturą.
Wciąż analizował ten sam arkusz, kiedy zjawiła się Angela - umyta, uczesana i kompletnie ubrana. Włosy związała w koński ogon i włożyła dżinsy oraz bluzę z mewą. Przysu-

nęła sobie krzesło, usiadła przy stole obok Jacka i z miną męczennicy wbiła wzrok w ekran.
- Co my tu mamy?
- Pamiętasz tę klauzulę do ustawy senatora? Tę, w której jest mowa o ulgach podatkowych dla klinik i domów opieki?
- Tak.
- Myślałem o tym, gdy się obudziłem.
Angela poczuła się dotknięta. Jack obudził się, myśląc o ulgach podatkowych! A ona chciała spędzić z nim w łóżku cały tydzień!
- Postanowiłem porównać treść tej klauzuli z pewnymi liczbami.
Angela wychyliła się i wbiła wzrok w kolumny cyfr na ekranie.
- Skąd wziąłeś te liczby? .
- Ten komputer ma wbudowany modem. Wystarczy wystukać EDGAR.
- Jaki znowu Edgar?
- To nazwa elektronicznego systemu magazynowania
i przetwarzania danych.
- Chyba żartujesz?! Włamałeś się do banku danych Departamentu Handlu?
- To wszystko jest w Internecie. Trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego dostać.
- No tak.
- Posługując się tymi danymi, sporządziłem tabelę dochodów sześciu doskonale prosperujących i dobrze zadomowionych na naszym rynku firm.
Stuknął parokrotnie w klawisz. Kursor przesunął się w poprzek ekranu, od lewej do prawej, podświedając serię cyfr.

- Potem przeprowadziłem analizę pro forma, żeby obliczyć, jakie byłyby ich dochody, gdyby odpisy podatkowe, proponowane w tej ustawie, zostały wprowadzone w ubiegłym roku.
Angela bezradnie potrząsnęła głową.
- Już się pogubiłam.
- Przepraszam. Popatrz tutaj. - Przesunął kursor do rubryki u dołu strony. - To są zadeklarowane dochody Health-Marku ze wszystkich źródeł.
Na widok imponującej liczby zer Angela głośno przełknęła ślinę.
- Rozumiesz? - zapytał Jack.
- Tak.
- To teraz pokażę ci, jakie byłyby ich dochody, gdyby proponowane w ustawie ulgi podatkowe weszły w życie w ubiegłym roku.
Naprowadził kursor na długi, złożony wzór u góry tabeli i zmienił kilka cyfr. Kiedy ukazał się wynik, Angela jęknęła cicho.
- Coś podobnego!
- No właśnie.
- Ale... ale...
Próbowała zrozumieć, jak to możliwe, że taka klauzula przeszła nie zauważona. Przecież na Kapitolu pracuje tylu prawników! Przynajmniej jeden z nich powinien był to zauważyć. Jack przedstawił jej swoją własną interpretację;
- Język klauzuli wcale nie jest niechlujny czy niejasny. Sformułowana w ten sposób gwarantuje szczególne przywileje ograniczonej liczbie firm, w tym również HealthMarko-

wi. Człowiek, który dopisał ten paragraf, doskonale wiedział, co robi. Przypuszczam, że nieźle mu za to zapłacono.
- Zdawało mi się, że już rozwiązaliśmy kwestię, czy Health-Mark przekupił senatora, czy nie - oburzyła się Angela.
- Tak. Teraz szukam odpowiedzi na inne pytanie: Kto jeszcze mógł zrobić ten dopisek do ustawy?
Swoim spokojem rozbroił Angelę, gotową bronić szefa do upadłego. Spróbowała sobie przypomnieć, kto, kiedy i jak mógł to zrobić.
- Nie wydaje mi się, żeby takie sformułowanie figurowało w oryginalnej wersji ustawy. W końcu tekst był tyle razy sprawdzany. Ale nie jestem pewna.
- Czy dałoby się prześledzić wszystkie poprawki i sprawdzić, kto był autorem tego paragrafu?
- Oczywiście. Marc Green prowadzi archiwum wszystkich aktów prawnych oraz listę projektów, nad którymi senator pracuje. Prawdę mówiąc, to właśnie on... - Nagle urwała, bo coś ją tknęło.
- Co?
- To właśnie on wprowadza do wersji ostatecznej wszystkie zmiany wypracowane podczas spotkań komisji albo na konferencjach - dokończyła z bólem serca.
Jack spojrzał na nią z uwagą.
- Co wiesz o Greenie? Manny sprawdził go rutynowo przed moim przyjazdem do Waszyngtonu, ale nie znaleźliśmy nic, co by nas mogło zainteresować.
Angela poderwała się i zaczęła krążyć po pokoju.
- Bo nie mogliście niczego znaleźć! Przecież Marc to... to...
- Kto?

Zamachała rękami.
- Marc to typowy służbista! Król urzędników! Nie ma innego życia niż na Kapitolu, a przynajmniej nikt z nas o niczym takim nie wie. Kiedy przychodzimy, jest już w biurze, a wychodzi grubo po nas. Przez cały ten czas, gdy pracowałam z senatorem, tylko raz był na urlopie.
Jack słuchał jej z kamienną twarzą.
- Marc to uosobienie władzy - mówiła dalej Angela. -A przynajmniej jest tak blisko niej, jak tylko to możliwe. On nigdy by nie zaryzykował swojej kariery i pozycji dla jakiegoś HealthMarku.
- Władza odbita jest równie podatna na korupcję jak ta prawdziwa.
Jack miał oczywiście rację. Angela była pierwszorzędną obserwatorką. Wiedziała, jak łatwo skorumpować władzę. Ale żeby Marc...?
Nagle sama zadała sobie pytanie, czemu usiłuje go bronić? Przecież nawet się specjalnie nie lubili. Tyle tylko, że pracowali razem od prawie trzech lat i nie bardzo mogła sobie wyobrazić, żeby Marc chciał zdradzić senatora albo... zrobić jej krzywdę.
Wstrząsnął nią zimny dreszcz. W wyobraźni znowu usłyszała huk, który rozdarł nocne ciemności, i zobaczyła, jak chrysler staje w ogniu.
I podobnie jak tamtej nocy, rozległ się głos Jacka - chłodny, opanowany, precyzyjny.
- Prześledźmy wszystko po kolei, krok po kroku. Kiedy spotkaliśmy się u niego w biurze, Green powiedział, że próbował wyperswadować senatorowi pomysł zaproszenia mnie do Waszyngtonu. Dlaczego?

Angela wzięła głęboki oddech. Tłumiąc instynktowną chęć obrony człowieka, którego szanowała, choć nie lubiła, wróciła pamięcią do dni przed przyjazdem Jacka.
- Marc podawał te same powody co ty, kiedy mówiłeś, że nie chcesz zeznawać przed komisją. Zgromadzone przez ciebie dane były jeszcze zbyt ogólnikowe, a wnioski zbyt daleko idące, żeby je ujawniać bez uprzedniej dogłębnej analizy. Poza tym Marc twierdził, że nie wiadomo, co powiesz. Nadal zresztą tego nie wiemy - dodała, rzucając mu wymowne spojrzenie.
Jack udał, że tego nie słyszy.
- W porządku. Jeżeli przyjmiemy, że Markiem kierowały bardziej osobiste motywy, żeby nie życzyć sobie moich zeznań, możemy też założyć, że miał coś wspólnego z tym wypadkiem na moście. W końcu wiedział, jakim samolotem przylatuję.
- Wiedział również, o której godzinie wyjechaliśmy z lotniska. Dzwoniłam wtedy do biura. Pamiętasz?
- Pamiętam - odparł posępnie. - Pamiętam też, że Green był przy tym, kiedy senator kazał nam jechać na kolację swoim prywatnym samochodem. To nie było takie trudne, żeby nas wyśledzić na parkingu firmy twojego kuzyna.
Nagle zrobiło jej się słabo. Opadła na krzesło. Jack sięgnął po słuchawkę.
- Muszę złapać Manny'ego.
Odnalezienie Ramireza w Departamencie Sprawiedliwości zajęło kilka minut. Manny poinformował Jacka, że przygotowuje akty oskarżenia.
- Zostaw prawnikom papierkową robotę, Manny, i wyciągnij wszystko, co się da, na temat doradcy prawnego senatora. Tak, to Marc Green.

Słuchając ich rozmowy, Angela poczuła, że wzbiera w niej gniew. Kiedy Jack skończył rozmawiać z Ramirezem i odbył krótką telefoniczną naradę z Edem Wintersem, była już bliska wybuchu.
- Ten sukinsyn! - syknęła. - Ten przeklęty sukinsyn w szelkach!
- Jeszcze nie wiemy, czy on za tym stoi - przypomniał jej Jack.
- To prawda, ale jedno ci powiem. Jeżeli to on, to już po nim!
Poderwała się i przeszła przez pokój. Chwyciła ortalionową kurtkę.
- Chodźmy coś zjeść. A potem, panie doktorze Merritt, zadzwonię do mojej mamy.
- Do twojej mamy?
- Tak. Do mojej mamy. - Z błyskiem determinacji w oczach ruszyła do drzwi. - Nie tylko ty potrafisz zastawiać pułapki.
O dziesiątej rano Angela była gotowa. Otarła spocone dłonie o czarną spódnicę i sięgnęła po telefon. Dłoń Jacka zamknęła się na jej ręce, przyciskając ją do słuchawki.
- Nie musisz tego robić.
- Muszę.
- Ja do niego zadzwonię, Angelo.
- Nie - powiedziała z uporem. - Nie. To powinno wyjść ode mnie.
Jack puścił jej rękę. Nie podobał mu się ten pomysł. Mówił jej to parokrotnie podczas śniadania i później. Przekonał go dopiero telefon od podekscytowanego Manny'ego.
Ramirez potwierdził to, co Angela już wcześniej mówiła.

198 SZALONE WALENTYNKI

Marc Green tylko raz wybrał się na wakacje - na dwutygodniowy rejs na wyspy Galapagos. Ponieważ był to tak jaskrawy wyłom w jego rutynie, Manny skontaktował się z liniami oceanicznymi i odkrył, że Green dzielił kabinę z kobietą nazwiskiem Katherine Palmer.

„Pani Palmer - radosnym tonem poinformował Manny - była przystojną, rudowłosą kobietą po trzydziestce i... pracowała dlaHealthMarku".

Co za drań! - pomyślała znowu Angela i wystukała prywatny numer Marca.

- Tu Angela - powiedziała, szukając oczyma wzroku Jacka. - Tak, Merritt podtrzymuje chęć złożenia zeznań. Jednak najpierw chce porozmawiać z senatorem w cztery oczy. Jeżeli ruch na autostradzie 1-95 nie będzie za duży, przywiozę go na drugą. - Mocno zacisnęła palce na słuchawce. - Nie. Jadę wozem Tony'ego.

Odłożyła słuchawkę i patrzyła na nią w milczeniu przez długą chwilę.

- Ciekawe, jak długo to potrwa, zanim śmieciarz dostanie kolejny anonimowy telefon? - zapytała cicho.

Nie trwało to długo.

W niespełna kwadrans później Ed Winters zakomunikował, że ryba złapała przynętę.

Brudny, spocony mężczyzna, znaleziony w kuble na śmieci, w obecności grupy agentów i detektywów, odebrał telefon z automatu w St. Augustine, na Florydzie. Angela wcale nie była zdziwiona, słysząc nazwę miejsca. Jack uprzedził ją, że Green na pewno posłuży się pośrednikiem. Mimo to wiadomość przekazana przez Eda wstrząsnęła nią.

SZALONE WALENTYNKI 199

Tym razem, powiedział Ed, wynajęty człowiek miał wyeliminować pasażera w czerwonym szewrolecie corvette model 68, jadącym autostradą 1-95 w kierunku południowym, tuż przed godziną drugą.

Z posępną miną Jack rzucił Angeli kurtkę.

- Chodź! Idziemy na ten spacer, o którym tyle się mówiło.

- Teraz?

- Tak. Teraz! Mamy jeszcze kilka godzin. Spróbuję przekonać cię, żebyś tu została.

- Wybij to sobie z głowy, Merritt. Próbował, jak mógł. Trzeba mu to było przyznać. A Jack, kiedy chciał, potrafił być bardzo przekonujący, ale jego siła przekonywania była mniejsza niż jej upór. Zimny wiatr rozwiewał włosy Angeli, kiedy maszerowała obok niego, przeciwstawiając każdemu argumentowi natychmiastowy kontrargument.

- Nigdzie cię nie puszczę samego - stwierdziła po długiej dyskusji. - Musiałbyś mnie znokautować, a potem związać i zakneblować.

- Zastanawiam się nad jednym i drugim - z zaciętą miną odparł Jack.

Angela zatrzymała się w pół kroku.

- Nie zrobiłbyś tego!

Kiedy się do niej odwrócił, zrozumiała, że mówił serio. Oburzona, ujęła się pod boki.

- Posłuchaj mnie, Jacku Merritt! Jedziemy na jednym wózku. Razem. I to od chwili, kiedy padł pierwszy strzał.

- To jeszcze nie znaczy, że musimy być razem, gdy padnie ostatni strzał. Nie chcę, żeby coś ci się stało, Angelo.

- A ja nie chcę, żeby komukolwiek z nas coś się stało. Dlatego opuścimy ten domek punktualnie o pierwszej. Razem. Pojedziemy do miasta. Razem. Przeprowadzimy konfrontację z Markiem Greenem. Razem. Potem ty złożysz zeznania przed komisją senacką, a później pojedziemy do Baltimore. Razem.
- Do Baltimore? - ożywił się Jack.
- Owszem, do Baltimore. - Angela rzuciła mu spojrzenie, w którym kryła się obietnica. - Nie zamierzam sama stawić czoła mojej matce. Pojedziesz ze mną, nawet gdybym musiała cię znokautować, związać, zakneblować i rzucić na tylne siedzenie.
- Byłabyś do tego zdolna?
- Oczywiście. Mówiłam ci, że Tony nauczył mnie kilku chwytów, żebym sobie mogła radzić z takimi Gapiami i im podobnymi typami. Nie mówiłam ci za to, że niewiele brakowało, a pozbawiłby się przyjemności zostania ojcem - właśnie na skutek naszych treningów. Ja się szybko uczę, Jack. Bardzo szybko.
Błysk w jego oku powiedział jej, że wygrała. Tym razem.
Dokładnie o pierwszej otworzyła drzwi szewroleta« W czarnej tunice i wełnianej spódnicy, które służyły jej za uniform, czekała obok samochodu, podczas gdy Jack układał komputer na tylnym siedzeniu. Obok położył papierowe worki z rzeczami, które zgromadzili podczas krótkiego pobytu w domku.
Zatrzasnął drzwi i po raz ostatni ogarnął wzrokiem polankę. Wiatr rozwiewał mu włosy i zabarwił rumieńcem policzki. Przebrał się w grafitowy garnitur i niebieską koszulę, któ-

rą kupił podczas wyprawy do miasteczka, ale Angela znała już go zbyt dobrze, żeby uwierzyć w ten wizerunek konserwatywnego urzędnika. Pod bladoniebieską koszulą i szytym na miarę garniturem biło serce wojownika.
Nadszedł ich czas, by ruszyć do ataku.
Usiadła za kierownicą, zapięła pasy i wsunęła kluczyk do stacyjki. Kiedy Jack zapinał pas, po raz ostatni sprawdziła godzinę.
- Jeżeli siatka informacyjna matki zadziałała - a jak dotąd była niezawodna - cały klan Parettich wystartuje za pięć sekund. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden!
Przekręciła kluczyk i uśmiechnęła się do Jacka.
- Trzymaj się mocno. To będzie niezapomniana jazda. Wierzył jej. Pamiętał kilka trudnych sytuacji z przeszłości.
Skakał już z samolotów, z których wcale nie miał ochoty wysiadać, i płynął wpław do brzegu kilku krajów, do których wcale nie chciał wracać. Jednak nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek włosy zjeżyły mu się na głowie. A tak się stało w chwilę po tym, jak Angela wcisnęła gaz i zrobiła obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, żeby sprawdzić wytrzymałość wozu.
Wezwana wcześniej eskorta policyjna pojawiła się, jak tylko wyjechali na szosę. Jack zbyt późno uświadomił sobie, że eskorta policyjna dla Angeli to jak licencja na kradzież dla złodzieja. Z chwilą gdy znaleźli się na sześciopasmowej autostradzie prowadzącej do miasta, strzałka szybkościomierza rzadko spadała poniżej stu dwudziestu kilometrów.
Tuż przed obwodnicą miejską Jack dostrzegł dodatkową ochronę. Cała flotylla srebrnych-limuzyn i ciemnozielonych furgonetek z emblematem „Włoskie Wypieki Giancarla" za-

jęła strategiczne pozycje na wiaduktach i bramkach wyjazdowych z autostrady. Po to, radośnie poinformowała go Angela, żeby nikt nie mógł do nich strzelić albo zrzucić im kamienia na przednią szybę.
Rodzina Parettich zapewniała im ochronę na swój własny sposób.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy wjechali do miasta, konwój pomknął bocznymi ulicami, omijając główne arterie. Opony piszczały na zakrętach, a przechodnie przystawali i ze zdumieniem patrzyli na kawalkadę wozów policyjnych, limuzyn i furgonetek z piekarni.

Piętnaście minut przed drugą Angela minęła posterunek ochroniarzy przy wjeździe na parking podziemny Kapitolu. Kilka chwil później szewrolet zahamował na miejscu parkingowym senatora, gdzie już czekali Manny Ramirez i Ed Winters.

- Żadnych kłopotów? - zapytał zdenerwowany Ramirez.

- Żadnych - odparł Jack. - A co u was? Manny poklepał się po kieszeni.

- Sąd Najwyższy zalecił zatrzymanie i kontrolę wszystkich dokumentów związanych ze śledztwem w sprawie HealthMarku, a także podpisał nakaz aresztowania Marca Greena.

- To świetnie!

- Wygląda na to, że nasza sprawa zatacza coraz szersze kręgi - z ulgą stwierdził Ramirez. - Za niespełna godzinę w sześciu stanach szeryfowie zapukają do całej masy drzwi.

Jack wyciągnął rękę.

- Dobra robota, Ramirez.
Silny uścisk dłoni był wyrazem głębokiej więzi, jaka wytworzyła się między nimi- podczas miesięcy ciężkiej pracy i narastającego napięcia.
- Tak. Powiedziałbym, że zgrany z nas zespół.
Jack uśmiechnął się i objął spojrzeniem również Angelę iWintersa.
- Owszem.
- Będę się czuł lepiej po konfrontacji z Markiem Greenem - powiedział Winters. - Nie wiem nic o waszym śledztwie, ale burmistrz domaga się wyjaśnień w sprawie strzelaniny na moście. Nasi obywatele zaczynają się denerwować. Oczywiście wiadomość, że osobisty doradca prawny senatora jest głównym podejrzanym, wzmaga tylko niecierpliwość burmistrza.
- Jeżeli twój szef myśli, że wygra na tym jakieś punkty dla siebie, to się myli - odcięła się Angela, wciskając guzik windy. - Nie zna senatora.
- Jeżeli Marc Green mrugnie okiem albo odetchnie nie tak jak trzeba - cichym głosem odezwał się Jack - boję się, że zostanie z niego tak mało, że nie będzie przedstawiał żadnej wartości. Chodźmy. ,
Omijając pełną turystów rotundę, Angela zaprowadziła ich do sali senatu, a potem prywatnymi schodami, które wiodły prosto do biura Henry'ego Claiborne'a.
Okazało się, że senator był sam, a solidne dębowe drzwi między jego prywatnym gabinetem a biurem były zamknięte.
Na widok wchodzących senator wstał. Skinął w stronę Angeli i obu agentów, a potem utkwił lodowate spojrzenie w twarzy Jacka.

- Bądź łaskaw powiedzieć mi, o co tu chodzi, synu? - zapytał półgłosem. - Angela wspomniała mi tylko, że musimy porozmawiać na osobności. Bez mojego personelu.
- Łatwiej mi będzie pokazać, niż powiedzieć.
Jack położył na stole pogniecioną kopię ustawy senackiej numer 693 i otworzył ją na przedostatniej stronie. Mały paragraf na samym dole zakreślony był na czerwono. Obok położył arkusz, zawierający długie kolumny cyfr. W krótkich słowach przedstawił wynik swoich obliczeń.
Kiedy senator porównał dwie różne wersje ostatnich linijek, krwistoczerwony rumieniec wypłynął mu na twarz. Marchewkowe wąsy po raz pierwszy przestały szokować w zestawieniu z jego cerą. '
- Jesteś pewny co do tych liczb?
- Nie. To tylko przybliżone dane. Moim zdaniem, zaniżone. Prawdziwe sumy mogą być wyższe.
Senator, wstrząśnięty, przeciągnął ręką po łysinie. Angela ze ściśniętym sercem zauważyła, że ręka mu drży.
- Powinienem był wychwycić tę klauzulę - mruknął sam do siebie. - Niech mnie diabli! A może jestem już za stary i za bardzo zmęczony na tę robotę?
Otrząsnął się i spojrzał na Ramireza, a na koniec na Jacka.
- No i co, chłopaki? Nadal myślicie, że siedzę w kieszeni HealthMarku? Że umyślnie wstawiłem tę klauzulę?
- Nie - odparł Jack. - Mamy za to podejrzenia, kto mógł to zrobić.
Kiedy przedstawił senatorowi nagie fakty, które udało im się zebrać o Marcu Greenie, twarz senatora z czerwonej stała się purpurowa. A gdy Manny dodał, że pracownica działu PR HealthMarku, która spędziła z Greenem dwa tygodnie na

statku, została zatrzymana celem złożenia wyjaśnień, wąsy senatora zafalowały jak ogon przestraszonej wiewiórki.
- No tak - odezwał się po chwili przytłaczającej ciszy. -Myślę, że pora, żeby nagonić zwierzynę.
Podszedł do biurka i przycisnął guzik interkomu.
- Słucham pana - rozległ się skwapliwy głos Greena.
- Przynieś mi całą historię ustawy o reformie opieki zdrowotnej. Chcę ją przejrzeć.
- Teraz?Ale...
- Teraz.
Z bijącym sercem Angela przeszła na drugą stronę gabinetu, razem Jackiem, Wintersem i Ramirezem. Senator zasiadł w swoim fotelu i splótł ręce na wydatnym brzuchu.
Z tyłu, za olbrzymim oknem rozpościerał się widok na prostokątny plac, obramowany z obu stron eklektycznymi gmachami Smithsonian Institution. Na jego przeciwległym końcu pomnik Waszyngtona rysował się na tle szarego nieba jak samotna dzwonnica. Angela pomyślała, że ten majestatyczny widok stanowi stosowne tło dla dramatu, który miał się tu za chwilę rozegrać.
Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, choć pewnie była to zaledwie chwila, zanim otworzyły się drzwi i do gabinetu wkroczył Marc Green. Próbowała wychwycić cień zdenerwowania w jego głosie lub zachowaniu, ale jej się to nie udało. Każdy kosmyk jego rzedniejących, jasnych włosów był starannie przyczesany. Brązowe skórzane szelki podtrzymywały granatowe spodnie zaprasowane na kant, a na śnieżnobiałej koszuli nie było najdrobniejszej plamki potu.
Dopiero w połowie czerwonego, pluszowego dywanu

SZALONE WALENTYNKI 207

Green zauważył Angelę, Jacka i pozostałych mężczyzn. Zatrzymał się, rozdymając nozdrza. Ciężka teczka, którą trzymał w ręku, nieznacznie zadrżała.

A potem niespodziewanie się uśmiechnął.

Był to blady półuśmiech, wystarczający jednak, by furia, którą Angela tłumiła w sobie od kilku godzin, buchnęła pełnym płomieniem.

- Widzę, że ty i doktor Merritt przyjechaliście wcześniej. Powinienem był się domyślić, że jazda wozem Tony'ego zajmie wam mniej czasu.

Dygocząc z furii, Angela zrobiła krok w jego stronę.

- Nie jechałam wozem Tony'ego, Marc.

Green zamrugał, a potem jego wzrok spoczął na Wintersie i Ramirezie.

- No tak, rzeczywiście. Czy panowie przybyli tu, żeby wysłuchać raportu doktora Merritta?

W oczach Jacka błysnął gniew. Wysunął się przed Angelę.

- Nie, prawdę mówiąc, nie. To jest agent służb specjalnych Manny Ramirez z Miami, z Biura Kontroli Produktów Spożywczych i Leków, a to detektyw Ed Winters ze stołecznej policji. Chcą z panem porozmawiać.

Green zbladł, ale zachował zimną krew. Unosząc brwi, zwrócił się do swojego szefa:

- O co tu chodzi, panie senatorze?

Szczwany Lis Claiborne splótł palce na brzuchu. Spod ciężkich powiek jego bladoniebieskie oczy jak lasery wbiły się w pobladłego Greena.

- Myślę, że to pan powinien nam odpowiedzieć na to pytanie. A przy okazji może mi pan opowie o tym ciekawym

dwutygodniowym rejsie, na którym był pan w ubiegłym roku, z błogosławieństwem HealthMarku.
Angela na ułamek sekundy przeraziła się, że Marc może uciec. Z twarzą bladą jak kreda zerknął przez ramię w stronę drzwi.
- Spróbuj, Green - mruknął Jack ze złowieszczym spokojem. - Wyświadcz mi tę przysługę i spróbuj.
Ku wielkiemu rozczarowaniu Angeli Marc niczego nie spróbował. Niech go diabli! - pomyślała. A tak bardzo chciała zobaczyć, jak ląduje na dywanie! I chętnie by mu w tym pomogła!
Rozczarowanie zamieniło się w głęboką pogardę, kiedy Green postawił grubą teczkę na biurku senatora, wyprostował się i z kamienną twarzą zwrócił się do swojego szefa:
- Chcę porozmawiać z adwokatem.
- Może pan wezwać adwokata z miasta - poinformował go Ramirez. Sięgając po teczkę, rzucił Greenowi uśmiech rekina, który wita swoją kolejną ofiarę. - Mam obowiązek rx)informować pana o przysługujących mu prawach. Chyba zresztą są one panu znane?
Słuchając, jak Ramirez odczytuje milczącemu Greenowi jego prawa, Angela powiedziała sobie, że może kiedyś będzie jej go żal, gdy już będzie wiadomo, co pchnęło go do tak desperackich czynów. Może nawet będzie w stanie mu wybaczyć. Kiedyś. Jednak gdy Manny i Ed wyprowadzali go zakutego w kajdanki, obok osłupiałego personelu biura, czuła jedynie mściwą satysfakcję, że opuszczał ten przybytek władzy tak publicznie i w tak upokarzający sposób.

SZALONE WALENTYNKI 209

Uczucie triumfu rozwiało się, kiedy spojrzała na swojego szefa. Siedział przygarbiony, ze smętnie zwisającym wąsem, i patrzył, jak wyprowadzają jego doradcę.

- Powinienem był się tego domyślić- mruknął.

Trzy kwadranse później ryk senatora odbił się od dębowej boazerii.

- A to dranie!

Twarz płonęła mu purpurą. Z założonymi z tyłu rękami ciężkim krokiem krążył przed biurkiem.

- Więc oni obiecywali Greenowi moje miejsce? - Z każdego słowa biło niedowierzanie. - Te dranie z HealthMarku obiecały mu moje miejsce w senacie?!

Zza linii czerwonego dywanu Jack pochwycił spojrzenie Angeli. Jej ciemne oczy mówiły mu, że ona także zauważyła metamorfozę, jakiej uległ szef. Przygaszony starzec, któremu drżały ręce, przestał istnieć. Jeden telefon od Ramireza na nowo rozpalił ogień w jego sercu.

- Sądząc po tym, co mówi człowiek Manny'ego z FBI -odezwał się Jack - pani Palmer tak samo pali się, by złożyć zeznania, jak ten facet, którego wuj Guido dostarczył wczoraj na poUcję. Ona też jest chora ze strachu.

- Dobrze jej tak! - wtrąciła się Angela. Miała nadzieję, że nieznana pani Palmer nieprędko wyzdrowieje.

- Zeznała, że przedstawiła Greenowi niezwykle kuszącą ofertę HealthMarku, gdyby w następnych wyborach zdecydował się wystąpić jako pana następca. A on skwapUwie rzucił się na nią.

- On moim następcą! - zagrzmiał senator. - Jakby on mógł mnie zastąpić!

- HealthMark chciał widzieć na tym stanowisku kogoś, kto wykazałby więcej zrozumienia dla jego interesów.
Angela groźnie prychnęła. Jack z uśmiechem powtórzył resztę szczegółów, które przekazał mu podniecony Ramirez.
- Kiedy pan dowiedział się o przeprowadzonej przeze mnie kontroli i zaprosił mnie do Waszyngtonu, Green tkwił po uszy w sprawach HealthMarku. Na razie nie wiadomo, czy to ktoś od nich stał za oboma zamachami, czy też Green na własną rękę postanowił wyehrninować autora kontroli, czyli mnie, zanim jej wyniki zostaną publicznie ujawnione. Dowiemy się i tego.
To znowu rozwścieczyło senatora. Przez kilka minut grzmiał na temat żmij, tchórzy i szakali, które rozpleniły się w stolicy. Kiedy twarz zrobiła mu się znowu purpurowa, Angela podeszła do karafki, stojącej na bufecie za biurkiem.
- Proszę. - Wcisnęła mu do ręki szklankę z wodą. -Niech się pan uspokoi.
Senator pociągnął solidny łyk, a ona spojrzała na zegar nad drzwiami.
- Przesłuchanie zaczyna się za dziesięć minut. Czy chce je pan przełożyć, żeby trochę ochłonąć?
Senator z hukiem odstawił szklankę na biurko.
- Raczej piekło zamarznie, moja panno, niż ja pozwolę, żeby tacy ludzie jak Marc Green zakłócili działalność tego czcigodnego gremium.
Obciągnął marynarkę i uniósł głowę. W jednej chwili spowiła go aura autorytetu.
- Jest pan gotowy na pierwsze spotkanie z komisją Kongresu Stanów Zjednoczonych? - zwrócił się do Jacka.
- Gotowy jak zawsze, panie senatorze.

Porzucając wyniosłą pozę, senator udzielił swojemu świadkowi dobrodusznej rady.
- Niektórzy sądzą, że składanie zeznań przed Kongresem to przerażające przeżycie. Wystarczy, że będziesz wyczerpująco odpowiadał na moje pytania, a resztę mnie zostaw.
Jack z błyskiem w oku spojrzał na Angelę.
- Przyjechałem ta z Maryland z pańskim kierowcą i eskortą policyjną. Składanie zeżnań przed komisją senacką nie da się porównać z tym doświadczeniem.
Angela nie wiedziała, czy to komplement, czy wręcz przeciwnie. Podeszła do drzwi. Za nią szli senator i Jack. Jej szef używał podziemnej kolejki, żeby się dostać do budynku, w którym senat prowadził większość bieżących spraw. Teraz zamierzał przedstawić Jacka pozostałym członkom komisji. Kiedy już tam dotarli, klepnął swojego koronnego świadka w plecy i popchnął go w stronę drzwi dp sali, w której urzędowała komisja, a sam ruszył do małego pokoiku na tyłach.
Angela okazała portierowi identyfikator i wprowadziła Jacka do sali o brązowych ścianach. Tłum widzów zapełniał rzędy krzeseł, oddzielone od stanowiska świadka dębową balustradą. Wyposażony w mikrofony stoi dla świadków zwrócony był w stronę podium, na którym zajmowali miejsca senatorowie. Na stole umieszczono pojedynczą tabliczkę z nazwiskiem Jacka.
Zasiądzie przy tym stole sam, naprzeciwko całej armii senatorów. Angela przystanęła przed balustradą. Była bardzo zdenerwowana.
- Jesteś jedynym świadkiem przewidzianym na dzisiejsze popołudnie. Mam nadzieję, że nie będziesz czuł się zbyt samotny przy tym stole.

- A gdzie ty będziesz?
- Tuż za tobą.
- W takim razie nie będę samotny.

Z pokoiku na zapleczu wysypała się gromada prawników. Poinformowali Angelę, że zaraz zacznie się przesłuchanie.

Większość przesłuchań, przy których była obecna na tej sali, zrobiła na niej żałosne wrażenie. Słyszała, jak niebywale elokwentni świadkowie czytali nudne oświadczenia, przy których połowa sali drzemała, a połowa bazgrała na świstkach papieru.

Jednak przy kilku pamiętnych okazjach zdarzyło jej się uczestniczyć w autentycznych jatkach. Pewien generał opuścił tę salę z płonącymi uszami i zębami tak mocno zaciśniętymi, że Angela była pewna, że je sobie połamie. Kilku przemysłowców po wyjściu z sali zetknęło się z przedstawicielami mediów oraz żądaniem dymisji. Ostatnio pewna znana gwiazda rockowa, zeznająca na temat pornografii w sztuce, całkowicie straciła profesjonalną pozę i wybuchnęła płaczem.

Angela nie chciała oglądać Jacka we łzach czy choćby tylko z płonącymi uszami. Zawahała się, a potem powiedziała to, co uznała za najlepsze w tej sytuacji:
- Powodzenia!
- Dzięki.

Patrząc na Jacka, pomyślała z zazdrością, że sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie był zdenerwowany. Ona za to była roztrzęsiona i miała wilgotne ręce.

Zajmując miejsce, myślała o niechęci, jaką czuła do Jacka po wypadku na moście. Wydawał jej się wtedy taki zimny i opanowany. Oskarżała go o brak ludzkich uczuć, właściwy ludziom jego profesji.

Teraz żałowała, że nie ma bodaj cząstki jego opanowania. Schowała ręce do kieszeni, żeby z nerwów nie obgryzać paznokci, i czekała na rozpoczęcie przesłuchania.
Po piętnastu minutach Angela przestała się denerwować i zaczęła się bawić równie dobrze jak Jack i senator.
Musiała przyznać, że stanowili godnych siebie przeciwników. Senator przemawiał kwiecistym stylem, a jego zawoalowane, często podchwytliwe pytania stanowiły pułapkę dla nieświadomego rozmówcy. Prawem kontrastu Jack udzielał krótkich, bezpośrednich odpowiedzi i zachowywał chłodną rezerwę właściwą ludziom jego profesji.
Patrząc na niego, Angela czuła, jak namiętność i pożądanie, jakie wzbudził w niej ten mężczyzna, nabierają głębszych znaczeń. Zaczęły się w niej rodzić podziw i szacunek, bez których trudno mówić o prawdziwym uczuciu.
Jack siedział na dębowym krześle dla świadka. Patrzyła na jego szerokie ramiona i pewne ruchy. Na większość pytań odpowiadał z pamięci. Mówił o systemie kontroli przeprowadzanych w jego szpitalu, o różnych przedsięwziętych środkach. A także o odstępstwach od normy, które zauważył i którym starał się zaradzić.
Zgodnie z podejrzeniami Angeli senator skoncentrował się na problemie recept, przepisujących hormon wzrostu gro-morphin.
W odpowiedzi na jego pytania Jack przytoczył nagie fakty. Tak, przeprowadził kontrolę recept na ten konkretny lek. Tak, wykrył, że niektórzy lekarze wystawili procent recept wykraczający poza wszelkie normy, zważywszy na liczbę leczonych przez nich pacjentów oraz ich choroby.

214 SZALONE WALENTYNKI

Z tłumu rozległy się okrzyki i pomruki, kiedy Jack ze spokojem relacjonował podejrzenia, które doprowadziły do czteromiesięcznego śledztwa przeciwko dystrybutorowi gro-morphinu, firmie HealthMark.

- Tej samej firmie - powiadomił senator osłupiałą widownię - która, jak mam wszelkie prawo przypuszczać, skorumpowała pracownika mojego biura! Mojego własnego biura!

Henry Claiborne grał na uczuciach tłumu jak genialny aktor. Drżącym z oburzenia głosem wyliczył szereg poważnych zastrzeżeń, dotyczących pozostawiania firmom takim jak HealthMark nieograniczonej swobody. Koncernom, które swoimi mackami oplotły wszelkie branże, związane z ochroną zdrowia. Tylko zaostrzona kontrola rządu może ukrócić ich samowolę.

- Firmy te - grzmiał senator - są odpowiedzialne za eskalację kosztów ochrony zdrowia, co sprawia, że dostęp do świadczeń medycznych staje się ograniczony dla coraz większej liczby obywateli. Zbyt wielkiej! - zakończył, waląc pięścią w stół. Jego końcowy apel o zreformowanie systemu opieki zdrowotnej spotkał się z gorącym aplauzem wszystkich słuchaczy.

Wszystkich prócz Jacka. I prócz Angeli.

Po raz pierwszy w życiu nie dała się porwać słowom senatora oraz wspomnieniom krucjaty, jaką przeżyła jej rodzina. Tym razem słuchała spokojnego głosu Jacka.

Jack nie spierał się. Nie kwestionował dyskutowanych zagadnień. Przedstawił je tylko komisji z odmiennego punktu widzenia.

W logiczny, przekonujący sposób przemówił za ograniczeniem kontroli rządu zamiast jej wzmocnieniem. Apelował o jasną formułę prawną, która pozwoliłaby środowisku lekarskiemu na niezbędną elastyczność, a zarazem o wyznaczenie nieprzekraczalnych norm.
Kiedy skończył, nie było oklasków, tylko cichy pomruk aprobaty. Senator Claiborne przygarbił się w swoim fotelu
i nerwowo skubał koniuszek wąsa. Przez dłuższą chwilę patrzył Jackowi w oczy.
- No tak, poruszył pan kilka interesujących kwestii. Bardzo interesujących. Może powinniśmy rozważyć możliwość wprowadzenia jednej czy dwóch poprawek do ustawy.
- Myślę, że więcej niż jednej czy dwóch, panie senatorze. Claiborne uśmiechnął się i zakrył ręką stojący przed nim
mikrofon. Przytłumionym głosem zaczął się konsultować ze swoimi kolegami. Kiedy znowu zwrócił się do Jacka, miał tak dobrze znaną Angeli minę lisa w kurniku.
- Członkowie komisji będą panu bardzo wdzięczni za wkład w opracowanie poprawek, doktorze Merritt.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panie senatorze -z ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem odparł Jack.
- Czy zechciałby pan przyjąć stanowisko doradcy naszej komisji? Oznaczałoby to konieczność spotkań przez najbliższy okres raz lub dwa razy w miesiącu.
Angela zakryła ręka usta, żeby stłumić mimowolny chichot. Jej szef rzeczywiście był niepoprawny. Doprowadził swojego kozła ofiarnego do ołtarza i w nagrodę otrzymał kopniaka. Mimo to, jakby nigdy nic, próbuje nakłonić niedoszłą ofiarę, żeby się do niego przyłączyła.
Nagle dotarło do niej, że szef stwarza tym samym jej

i Jackowi możliwość spokojnego kontynuowania znajomości, zawartej w tak dramatycznych okolicznościach.
Przez ten krótki czas, kiedy się znali, nie odważyli się sięgnąć myślą dalej niż poza bezpośrednie niebezpieczeństwo. A już z pewnością nie poza to przesłuchanie. Nie mieli nawet czasu, żeby się zastanowić nad tym, co do siebie czuli. Żeby porozmawiać o przyszłości. Myśl, że Jack będzie musiał przez jakiś czas regularnie przyjeżdżać do Waszyngtonu, napełniła jej serce radością.
Będą mieli szansę, żeby zgłębić to cudowne uczucie, tak bliskie szczęścia.
Żeby się dowiedzieć, co każde z nich lubi jeść, oprócz świeżo upieczonych cannoli i fettuccine eon salsa di noci.
Zaczęła się modlić w duchu, żejby Jack powiedział „tak".
- Jestem zaszczycony... - zaczął Jack. Senator uniósł rękę.
- Wiem, że to dodatkowe obciążenie, zważywszy na pana liczne obowiązki w Atlancie. Postaramy się zrobić wszystko, żeby pańskie wizyty w Waszyngtonie były możliwie jak najbardziej produktywne.
Przeniósł wzrok z Jacka na Angelę i oczy mu zalśniły.
- Moi pracownicy zadbają o to, żeby panu niczego nie brakowało.
- Wobec tego przyjmuję pańską propozycję, panie senatorze - odparł z godnością Jack.

ROZDZIAŁ 15

Ho, ho!

Angela zahamowała pośrodku obsadzonej drzewami ulicy Baltimore. Trzymając obiema rękami kierownicę, patrzyła poprzez gęstniejący zmrok na samochody, zaparkowane zderzak przy zderzaku, wzdłuż obu krawężników przed domem jej rodziców.

Przed ich domem, dodała po cichu. Wciąż miała pewne kłopoty z myśleniem o tym elegancko odremontowanym segmencie w osławionej baltimorskiej „Małej Italii" jako o ich własnym domu. Wkrótce po wypadku Tony'ego rodzice sprzedali przytulny domek, w którym mieszkali od trzydziestu lat, i przeprowadzih się do maleńkiego mieszkanka. Mimo ich protestów Tony kupił im nowy dom już w miesiąc po otwarciu pierwszego sklepu z częściami samochodowymi. Tony miał teraz przedstawicielstwa w dwunastu stanach

i w dwójnasób zwrócił rodzicom każdy grosz, wydany na jego leczenie, ale - podobnie jak Angela - wciąż nie mógł przeboleć utraty ich starego domku.

Tony także przyjechał tego wieczoru. Jego wóz stał na podjeździe, zablokowany przez zieloną furgonetkę z piekarni. Dwie srebrne limuzyny parkowały nos w nos przed fron

towymi drzwiami. Samochody wszelkich możliwych kolorów i marek stały w bocznych uliczkach, prowadzących na przystań, oddaloną zaledwie o kilka przecznic.
- Mama musiała uruchomić swoją siatkę. Wygląda na to, -że zjechała się prawie cała rodzina.
- Prawie? - zapytał lekko kpiącym tonem. Spojrzała na jego tonącą w cieniu twarz.
- Nie musisz tego robić.
- Przestań się martwić, Angelo. Ja naprawdę chcę poznać twoją rodzinę.
- Ja też chcę się z nimi spotkać. Tylko nie ze wszystkimi naraz. W takiej liczbie są przytłaczający.
- Przestań się zamartwiać.
- Dobrze.
Wrzuciła luz i wcisnęła się w wąski pas między uliczną latarnią i kubłem na śmieci. Wzięła torebkę i wysiadła z samochodu. Z domu dobiegały śmiechy i ożywione rozmowy. Od czasu do czasu wszystko przebijał chwytający za serce śpiew jakiegoś tenora.
- Pavarotti czy Caruso? - zapytał Jack, usiłując wyłowić znajomą melodię.
- Żaden z nich. To mój kuzyn Michael. W dzień jest aptekarzem, a w nocy gwiazdorem teatru.
- Jest naprawdę dobry.
- Poczekaj, aż wypije kilka kieliszków. Wtedy jest nie tylko bardzo dobry, ale i bardzo głośny. - Przerzuciła torebkę przez ramię. - Na pewno tego chcesz?
- Prowadź.
Był taki spokojny, pomyślała z zazdrością Angela, kiedy przedzierali się pomiędzy ciasno zaparkowanymi samocho

darni. Tak zdumiewająco opanowany i... taki mało włoski, pomyślała z melancholijnym uśmiechem.
Idąc poi kroku za nią, Jack wytarł spocone dłonie o nogawki spodni. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni był taki zdenerwowany!
Nie kłamał, kiedy mówił Angeli, że bardzo chciałby poznać jej rodziców i wszystkich krewnych. Całe dzieciństwo spędził w pustym domu dziadka, marząc o wielkiej, wesołej rodzinie. Marzeń tych nie udało mu się zrealizować z byłą żoną, a po rozwodzie nie miał już ani czasu, ani ochoty, żeby o tym myśleć.
Jednak od kilku dni myśl ta zaczęła go znów prześladować. Kiedy przestał się martwić o bezpieczeństwo Angeli, wyłączną panią jego myśli stała się właśnie ona Nigdy nie spotkał nikogo, kto by tak żywiołowo kochał życie, nie mógł też sobie wyobrazić, że miałby dzielić je z kimkolwiek innym.
Miał świadomość, że to on ją przynaglał. Że wciągnął ją w swoje ramiona, zamiast jej pozostawić decyzję. Cywilizowane zasady wymagały, żeby dać jej trochę czasu, póki nie dojdzie do siebie po tak dramatycznych przeżyciach. Tymczasem on, wiedziony prymitywnym męskim instynktem, chciał już teraz sięgnąć po swoją zdobycz. Tego wieczoru. W obecności całej rodziny. Albo jej większej części.
Wspinając się po schodach, próbował sobie wyobrazić, jak oni na to zareagują.
Z Tonym sobie poradzi. Ale z resztą... ? Może.
Miał pewne wątpliwości co do wuja Guida. Ten na wpół emerytowany fałszerz wydawał się mieć wysoko postawione koneksje prawie wszędzie.
Ojciec Angeli był kompletną niewiadomą.

Najbardziej jednak obawiał się spotkania z matką Angeli. Nie mógł zapomnieć przerażenia, jakim napawała Eda Win-tersa myśl o kolejnym telefonie od Marii Paretti. Ani pełnej niepokoju miny senatora, kiedy kazał Angeli dzwonić do matki. Jeżeli była ona w stanie wprawić w zakłopotanie dwie tak silne osobowości, musiała być naprawdę niesamowitą kobietą.
I taka właśnie była. Niesamowita i groźna.
Pojawiła się w chwili, gdy Jack i Angela weszli do holu, w którym unosił się smakowity aromat lasagni z czosnkiem.
- Angela! - zawołała, przekrzykując śpiewającego na całe gardło Michaela, i w dziękczynnym geście wzniosła ręce do nieba. - Nareszcie wróciłaś do domu!
Angela serdecznie uściskała ubraną na czarno, wąsatą kobietę i ucałowała ją w oba policzki.
- Witaj, ciociu Rose.
Jack poczuł tchórzliwą ulgę.
- Pozwoli ciocia, że jej przedstawię Jacka Merritta. Rozmawiałaś z nim przez telefon wczoraj w nocy... a raczej chyba rano.
- Pamiętam. - Na podbródku ciotki Rose ukazały się trzy fałdy, kiedy zlustrowała Jacka wzrokiem od stóp do głów. -Rozwiedziony. Trzydzieści sześć lat. Nie ma dzieci. O nim jeszcze nie słyszałam, *cańna.*
Angela ze śmiechem wzięła Jacka pod rękę.
- Przyszedł na wino, ciociu Rose. I na lasagnię. I żeby poznać wszystkich, zaangażowanych w tę sprawę, zanim wróci do Atlanty. To wszystko.

twojej matce - powiedziała ciotka Rose znaczącym tonem. -Jest w kuchni.
- Zaraz tam pójdziemy.
Mimo zapewnień Angeli minęło trochę czasu, zanim udało im się przebić przez gąszcz podochoconych dorosłych, rozdokazywanych dzieci, pełzających na czworakach maluchów oraz hałaśliwych niemowląt. Przedzierając się przez rozgadany, rozgestykulowany tłum, Jack natknął się na kuzynkę Teresę. Odnowił znajomość z jej mężem, Gusem. Wymienił uścisk ręki z Dominikiem, który przykazał mu, żeby następnym razem spróbował spaghetti alle vongole. Przyjął kieliszek czerwonego wina od Leonarda, którego matka, Helena, skromnie przyznała, że to ona jest tą artystką, która upiekła te właśnie cannoli, którymi jej siostrzenica poczęstowała go na moście.
Trzymając w jednej ręce kieliszek wina, a w drugiej kawałek melona owinięty w plaster szynki, który ktoś - chyba matka Michaela, Julia - wcisnął mu siłą, Jack szedł za Angelą jak cielę na rzeź. W połowie wąskiego korytarza jego przewodniczka zauważyła Tony'ego, który właśnie zmierzał w ich stronę. Z okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję. Słabsza noga Tony'ego nie wytrzymała naporu rozentuzjazmowanej siostry. Zachwiał się lekko i cofnął o krok, ale zaraz objął Angelę i serdecznie ją uścisnął.
- Słyszałeś o Marcu Greenie? - zapytała bez tchu.
- Słyszałem. Niech lepiej śpi z otwartymi oczyma. I to przez długie lata.
Kiedy Tony wypuścił z objęć siostrę, wyciągnął rękę do Jacka. Jednak jego czujne spojrzenie wyraźnie mówiło, że nie proponuje przyjaźni. Jeszcze nie. Póki się nie dowie, jak

sprawy stoją między jego siostrą a tym obcym, który naraził ją na niebezpieczeństwo.
Jack sięgnął z uśmiechem do kieszeni i oddał Tony'emu rewolwer. Tony natychmiast schował broń.
- Idę do salonu. Mama jest w kuchni.
- Już do niej idziemy - zapewniła go Angela.
Zapach czosnku i lasagni z przyprawami z każdym krokiem stawał się coraz bardziej upojny. Kiedy Jack wszedł wreszcie do zatłoczonej kuchni, o pół kroku za Angełą, buchnęło na niego ciepło z rozgrzanego pieca. Jack otarł spocone czoło.
- Witaj, *mammal*
Na okrzyk Angeli drobna, delikatna kobieta z okrzykiem radości wyciągnęła ręce. Przefrunęła przez kuchnię, zamknęła córkę w spazmatycznym uścisku, pocałowała ją, potem poklepała po policzkach i znowu pocałowała. Oczy miała pełne łez. Kiedy wreszcie wypuściła z objęć na wpół roześmianą, na wpół płaczącą Angelę i odwróciła się do Jacka, poczuł na sobie magnetyczne spojrzenie jej wielkich, brązowych oczu.
Pani Paretti miała równie wspaniałą oliwkową cerę jak jej córka i to po niej Angela odziedziczyła delikatne rysy. Maria Paretti patrzyła Jackowi w twarz przez dłuższą chwilę. Nie potrafił powiedzieć, co z niej wyczytała, ale kąciki ust drgnęły jej w zagadkowym uśmiechu. Puściła córkę, wzięła Jacka pod rękę i pociągnęła go w stronę owalnego stołu.
- Tony opowiedział nam o tym *bastardo* z biura senatora. Chcę poznać wszystkie szczegóły. Co do jednego. Ale dopiero po jedzeniu. Siadaj. Oboje usiądźcie.
Jack usiadł, lekko oszołomiony.

Więc tak wyglądała kobieta, która jednym telefonem wprawiała w dygot dorosłych mężczyzn? Była mistrzynią manipulacji i miała oko na całą rodzinę poprzez siatkę informacyjną, której nawet armia mogłaby jej pozazdrościć?
Angela pogłaskała czarną, kędzierzawą główkę po drugiej stronie stołu i mrugnęła do Jacka.
- To jeszczejiie koniec. Próba ognia dopiero się zaczęła. Ulubiona taktyka mamy polega na karmieniu ofiary do granic możliwości. Potem szantażuje ją dalszym jedzeniem, jeżeli nie powie wszystkiego jak na spowiedzi. Wychodząc stąd, nie będziesz miał przed nią żadnych sekretów, Jack. Żadnych!
Pewny, że poradzi sobie z tą czarującą, żywotną kobietką, która postawiła przed nim kopiasty talerz chrupiącej lasagni, Jack wziął widelec i zaczął jeść.
Niestety, szybko odkrył swoją pomyłkę.
Zanim udało mu się zrobić zauważalną dziurę w kopcu lasagni, Maria Paretti zdołała wyciągnąć z niego wszystko na temat jego pracy, rodziny i stanu zdrowia. Uzyskała nawet bardzo interesującą informację, że wprawdzie nie jest katolikiem, ale przed laty odwiedził Watykan, kiedy był na przepustce.
Na szczęście miał jeszcze na tyle rozsądku, żeby się nie przyznać, że on i jego dwaj kumple byli już na dobrej bańce, kiedy postanowili uzyskać osobiste błogosławieństwo papieża. Nie wspomniał też ani słowem o tym, że udało im się dotrzeć zaledwie do pierwszej bramy, zanim nie znający się na żartach żołnierze Gwardii Szwajcarskiej przekazali ich władzom cywilnym.
Pojawienie się dwóch mężczyzn uratowało Jacka od dal-

szych pytań. Jeden z nich był starszą i bardziej krepą wersją Tony'ego, a drugi wyglądał jak siwy, krzywonogi gnom ze złotym zębem.
- Tata! Wujek Guido!
Jack podniósł się, a Anthony Paretti senior zmiażdżył córkę w niedźwiedzim uścisku. Kiedy witała się z wujem, jej ojciec uścisnął Jackowi rękę z powagą i siłą człowieka, który całe swoje dorosłe życie przepracował w dokach Baltimore.
- Witaj w naszym domu.
- Dziękuję.
- Tony mówi, że dbał pan o Angelę.
- Ona sama doskonale potrafi o siebie zadbać - odparł Jack.
- O tak - uśmiech rozjaśnił pobrużdżoną twarz pana Pa-rettiego - ale nigdy nie udało nam się przekonać o tym jej matki.
- Nie w tym życiu, w każdym razie - odezwała się Maria Paretti z drugiego końca kuchni.
Angela jęknęła, po czym przedstawiła Jackowi wuja Guida.
- Dziękuję za udostępnienie domku - powiedział Jack. -A także za pomoc, którą pańscy... wspólnicy okazali policji.
Typowym dla Parettich gestem wuj Guido zamachał ręką w powietrzu,
- Wszyscy jesteśmy jedną rodziną - powiedział. - Dlatego sobie pomagamy.
Trzy godziny później Angela odrzuciła propozycję rodziców, żeby skorzystać z pokoju gościnnego, a także podziękowała Tony'emu, który chciał pożyczyć im swój samochód.

SZALONE WALENTYNKI 225

Obiecując dostarczyć Gusowi jego zielonego szewroleta na parking nazajutrz rano, pożegnała się, tłumacząc, że musi jeszcze załatwić senatorowi transport, a Jack chce sfinalizować swoje własne plany.

- Kiedy musisz wracać do Atlanty? - zapytała, gdy szli do samochodu.

- Chyba jutro rano -odparł po namyśle. -Powinienem tam być, kiedy media zaczną się dobijać o szczegóły śledztwa.

Wiedział, że Szpital Dziecięcy w Atlancie znajdzie się w samym oku cyklonu z powodu jego udziału w całej sprawie, a także... jego najlepszego przyjaciela, Philipa. Jack zadzwonił do swojego szefa z biura senatora. Powiedział mu o śledztwie i uprzedził, że kilku konsultantów oraz dostawców jest w to wmieszanych.

Potem zadzwonił do Philipa. Mimo iż jego przyjaciel brał aktywny udział w śledztwie od owej pamiętnej nocnej rozmowy, kiedy Jack pokazał mu wyniki kontroli, musiał być przygotowany na to, że czeka go ostracyzm ze strony kolegów i wspólników za przyjmowanie łapówek. Jack nie chciał, żeby Philip i jego żona musieli sami stawić czoło przeciwnościom.

- A więc jutro, tak? - cicho zapytała Angela.

Jadąc w kierunku autostrady, prowadzącej z Baltimore do Waszyngtonu, borykała się z myślą, że już wkrótce będzie musiała się z nim pożegnać. Rozumiała, że wzywały go poważne obowiązki. Doceniała jego lojalność względem przyjaciela. I pocieszała się, że za tydzień czy dwa będzie musiał przyjechać do Waszyngtonu.

Te dwa tygodnie jawiły jej się jak ta ciemna, ponura droga, którą właśnie jechali.

Jack położył rękę na oparciu jej fotela i delikatnie pogłaskał ją po karku. Puls natychmiast jej podskoczył.
- Muszę wracać do Atlanty, Angelo - powiedział cicho - ale niedługo znowu przyjadę.
Wóz mknął poprzez noc. Jechali w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Kiedy ukazał się drogowskaz na Annapolis i domek wuja Guida, Jack zapytał, dokąd jadą.
- Do mnie - odpowiedziała Angela.
Palce Jacka nie zaprzestały powolnego, zmysłowego masażu.
- A czy jest tam jakieś łóżko?-zapytał.
- Oczywiście, że tak.
- Prawdziwe? Nie takie na półce? Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, żebyś przez całą noc trącała mnie pupą. Pytam z ciekawości.
- Jest tam olbrzymie, małżeńskie łoże - powiedziała.
- Małżeńskie łoże? - Palce Jacka musnęły jej szyję. - Jak długo zajmie nam droga do twojego domu?
- Od tego miejsca większości ludzi zajęłaby pół godziny. Ja będę tam za dwadzieścia minut.
- No to jazda!
Dojechali po siedemnastu minutach. Jack wziął papierowe torby z zakupami i poszedł za Angelą na drugie piętro brunatnej kamienicy, kilka przecznic na północ od Kapitolu. Mieszkanie składało się z trzech przestronnych, wysokich pokoi. Było tam mnóstwo półek z książkami, a na ścianach wisiały oprawione sztychy. Wszędzie leżały porozrzucane buty i stroje sportowe, których Angela najwidoczniej nie zdążyła posprzątać.

SZALONE WALENTYNKI 227

Jack skrzywił się na widok tenisówek w czerwono-pomarańczowe paski.

- Ładne buty.

- Dziewczyna musi ładnie wyglądać - powiedziała, potrząsając głową. - Nawet w uniformie szofera. Zwłaszcza w uniformie szofera.

Wrzucając pozbierane z podłogi ubrania za sofę, zerknęła na Jacka. Stał obok półki z książkami i z zainteresowaniem oglądał fotografie w ramkach. W końcu wziął zdjęcie Tony'ego ze srebrnym pucharem. Obok stała Angela, umazana smarem i bardzo szczęśliwa.

- He miałaś wtedy lat?

- Piętnaście. Tydzień wcześniej dostałam zgodę na udział w szkoleniu i Tony pozwolił mi zrobić próbną rundę. Przeżył to bardziej niż ja.

- Szczerze mu współczuję - rzekł Jack, odstawiając fotografię. Podszedł do Angeli i zanurzył palce w jej włosy. Nachylając się ku niej, uśmiechnął się.

- Dziękuję ci za to, że poznałaś mnie ze swoją rodziną, Angelo.

Nakryła dłońmi jego ręce.

- Chciałam, żebyś ich poznał. Może nie wszystkich naraz, ale... Są częścią mnie. Jeżeli będziemy się spotykać po twoim przyjeździe do Waszyngtonu...

- Będziemy.

- Wobec tego musisz wiedzieć, że wchodzę w to wszystko razem z moją rodziną, masą sportowych butów, kupą przyjaciół i... premią za bezwypadkową jazdę-dokończyła. - Myślisz, że możesz mi na tyle zaufać, żeby już więcej nie walić stopą w podłogę wozu?

- Spróbuję, panno Paretri. - Musnął ustami jej wargi. - Czy potrafisz nauczyć mnie wciskać samochód w szczelinę szerokości kartki?
- Mogę spróbować. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Ale nie tej nocy.
- Oczywiście, że nie tej nocy.
Topniała w jego ramionach. Mieli dla siebie tylko tę noc. I kawałek jutra, póki nie odleci jego samolot. A potem dni i tygodnie w Waszyngtonie, podczas najbliższych miesięcy. Będą mieli czas, żeby łącząca ich namiętność mogła przerodzić się w trwałą miłość, jakiej pragnęła zaznać z tym mężczyzną. W taką miłość, jaką darzyli się jej rodzice. Jaka połączyła Lilly i senatora. Lilly nie musiała się obawiać częstych rozstań.
Ale ją myśl o wyjeździe Jacka wprawiała w panikę.
Kiedy rozpinała mu koszulę, drżały jej palce. Jack czuł, jak bardzo go pragnie. Miażdżył ustami jej wargi. Jego ręce powędrowały w dół jej pleców, na biodra. Przytulił się do niej tak, by czuła jego spragnioną męskość. Kiedy bez wysiłku chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni, zabrakło jej tchu. Nie przerywając pocałunku, postawił ją na ziemi. Zaczęli się nawzajem rozbierać.
- Jesteś taka piękna - mruknął, nakrywając dłońmi jej piersi. - Kremowa, miękka i słodka, jak pralinka.
Zanurzyła palce w czarne, szorstkie włosy na jego torsie.
- Ty też nie jesteś najgorszy. Jak na pedantycznego audytora rozbierasz całkiem zręcznie.
Kiedy opadli na łóżko, była już nieprzytomna i rozpalona. Oplotła Jacka udami, ponaglając go, by stopili się w jedno.
- Nie spiesz się tak, kochanie - wyszeptał Jack, muskając

oddechem jej szyję. - Niech to będzie powoli i słodko. W końcu mamy dla siebie całą noc i to królewskie łoże. Chcę zapamiętać każdą minutę.
- I zapamiętasz - przyrzekła mu, przesuwając dłoń po jego brzuchu. - Na pewno.
Angela nie chciała, żeby to było powoli. Chciała wycisnąć swoje piętno na całym ciele Jacka. W każdym najtajniejszym zakątku.
Pieściła go delikatnie i z wprawą, drażniła, póki nie dotarł na skraj przepaści. A potem zmienili pozycję i palce Jacka odnalazły czuły punkt między jej udami. Jego dotyk narastał w niej spiralą rozkoszy. Kiedy nachylił się i dotknął ustami jej piersi, osiągnęła szczyt.
- Teraz, Jack! - krzyknęła, wyginając się w łuk. - Teraz! Och!
Z jękiem rozkoszy wdarł się w nią i natychmiast doznał spełnienia.
Następnego ranka Angela obudziła się z takim samym trudem jak zawsze.
Mrużąc oczy przed słońcem, które wpadało do pokoju przez wysokie okna, zaczęła sobie naciągać kołdrę na głowę. W jednej chwili otoczyła ją aura rniłości, a po minucie dotarło do niej, że jest sama w tym ciemnym, ciepłym kokonie.
Wystawiła głowę spod kołdry. Nigdzie nie było ani śladu Jacka. Nie było go też słychać z innych pokoi. W mieszkaniu panowała przytłaczająca cisza. Tylko przez okna sączył się szum ulicznego ruchu.
Marszcząc brwi, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.

Chwyciła czerwoną sportową koszulkę, w której zwykła sypiać, narzuciła ją na siebie i boso pobiegła do salonu.
Jack siedział w jedynym wygodnym fotelu, wykąpany i ubrany, i czytał ze spokojem poranną gazetę. Angela ze smutkiem zdała sobie sprawę, że przespała jego poranny rytuał. Następnym razem, obiecała sobie, musi się obudzić w jego ramionach.
Podniósł na nią oczy, a jej serce głucho zabiło w piersi. Zobaczyła w nich ten sam uśmiech, którym obdarzył ją na lotnisku, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wyrażał podziw i aprobatę. Zapomniała, że jest zaspana i nie uczesana.
- Dzień dobry - powiedziała nieśmiało.
- Dzień dobry.
Gazeta zaszeleściła, kiedy podniósł się, żeby przywitać ją czymś więcej niż tylko słowami. Odgarnął jej włosy z czoła i już sam jego dotyk obudził w niej rozkoszne wspomnienia minionej nocy.
- Pobuszowałem trochę po kuchni - powiedział Jack. -Chciałem ci podać śniadanie przed wyjściem, ale nie znalazłem nic prócz paczki starych krakersów i wody mineralnej.
W jednej chwili prysł nastrój rozmarzenia. Przypomniała sobie o jego wyjeździe. Kryjąc rozczarowanie, machnęła niedbale ręką.
- Na ogół jadam na mieście. O której masz samolot? Jack spojrzał na zegarek.
- Za godzinę. To jedyny lot do Atlanty, na który były wolne miejsca.
- Pójdę się ubrać. Jack złapał ją za rękę.
- Musisz się zająć senatorem. Wezmę taksówkę.

- Nie ma mowy, Merritt - powiedziała, siląc się na uśmiech. - Senator powiedział, że jego personel zadba o twoje potrzeby. Pamiętasz? Odwiozę cię na lotnisko i mogę ci zagwarantować, że tym razem na moście nie będzie żadnych korków.
Mimo porannego szczytu Angela w porę dowiozła go na lotnisko.
Z piskiem opon zajechała na to samo miejsce przed terminalem Delta, gdzie wbrew przepisom zaparkowała, kiedy przyjechała po Jacka przed paroma dniami. Nie zwracając uwagi na żółty pas przy krawężniku i ustawione co kilka metrów znaki zakazu parkowania, zgasiła silnik.
Chłodny powiew wdarł się pod czerwony zamszowy żakiet, kiedy wysiadła, żeby odprowadzić Jacka. Zamszowa spódnica do kolan zafalowała na wietrze. Drżąc z zimna, padła Jackowi w ramiona. Pocałunek pieczętował obietnice, jakie Jack składał jej gorącym szeptem tej nocy. A kiedy podniosła wzrok, jego szare oczy raz jeszcze wszystko potwierdziły.
- Nie chcę pożegnań, Angelo. Nigdy. Niedługo wrócę.
- Będę czekała-odparła z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 16

Po wejściu do budynku Jack zrobił dokładnie dwa kroki i stanął jak wryty.

Pasażerowie mijający jego nieruchomą sylwetkę obrzucali go zdumionym wzrokiem. Jack nie zwracał uwagi na ich zgryźliwe, wypowiadane półgłosem uwagi. Nie zwróciła też jego uwagi informacja, migająca na wielkiej, świetlnej tablicy, która powiadamiała, że pasażerowie jego lotu wchodzą już na pokład. Wszystko umykało jego uwagi prócz jednej myśli: Co on takiego robi? Co on, do diabła, robi najlepszego?

Opuścił zimnego, obojętnego dziadka i nigdy tego nie żałował. Wbrew życzeniom byłej żony zgodził się na pracę w szpitalu i przyglądał się ze spokojem, jak ona odchodzi. A teraz, jak ostatni głupiec, uciekał od Angeli.

Wyjeżdżał tylko na kilka tygodni, przekonywał się w duchu. Wróci. Przecież obiecał jej, że wróci. Za tydzień albo dwa - no, może za trzy.

Jack stał nieruchomo jak posąg, myśląc o wszystkich tych tygodniach. Nagle obrócił się na pięcie i popędził w kierunku drzwi. Dopadł krawężnika w momencie, gdy szewrolet Gusa opuszczał strefę krótkiego postoju i skręcał w główną ulicę.

- Cholera!

SZALONE WALENTYNKI 233

Nie tracąc ani chwili, podbiegł do taksówki, z której właśnie wysiadali pasażerowie.
- Muszę dogonić tego ciemnozielonego szewroleta, który przed chwilą stąd odjechał.
- Nie, nie proszę pana - zaprotestował śniady taksówkarz, wskazując postój na odległym końcu lotniska. - Muszę ustawić się na końcu kolejki. Taka tu jest zasada.
- Zasady są po to, by je łamać. - Jack rzucił okiem na plakietkę, wpiętą w koszulę kierowcy. - Mustafo.
Opróżniając portfel, wcisnął w dłoń taksówkarza zwitek banknotów. W mgnieniu oka Mustafa schował banknoty i otworzył szeroko drzwi.
- Ciemnozielony szewrolet? Nie ma sprawy.
Taksówka ruszyła z piskiem opon, z którego nawet Angela mogłaby być dumna. Jack wychylił się do przodu i uważnie obserwował sześć pasów ruchu, na których zaczynały się już południowe korki. Powolne tempo pomagało mu, ale i go przygnębiało. Z westchnieniem ulgi dostrzegł sylwetkę szewroleta, oddaloną o jakieś kilkaset metrów. Mustafa starał się, jak mógł, ale nie był w stanie przybliżyć się ani trochę do celu.
Natomiast Angela sunęła dzielnie do przodu, wykorzystując każdą najmniejszą lukę w korku. Musiała mieć cholernie dobrego i zwariowanego instruktora jazdy, pomyślał Jack, patrząc w kierunku oddalającego się, ciemnozielonego wozu. Krótkie przewężenie Memoriał Parkway pomiędzy lotniskiem krajowym a zjazdem na most zdawało się nie mieć końca. Samochody posuwały się do przodu w ślimaczym tempie, a pod koniec w ogóle stanęły. Nadzieja obudziła się w sercu Jacka, gdy ujrzał znowu szew-

roleta pośród aut, próbujących wjechać na most. Nadzieja okazała się krótkotrwała i zamieniła się w gorycz, gdy zielona limuzyna kilkoma nieprawdopodobnymi manewrami wkręciła się w niedostrzegalną lukę w sznurze samochodów i zaczęła się piąć w górę.
Jack w jednej chwili podjął decyzję. Pożegnał się ze zdziwionym Mustafą i wyskoczył z taksówki na zastygłą bez ruchu autostradę. Szerokie pobocze oferowało znacznie większą swobodę ruchu. W ciągu kilku chwil był już na wjeździe na most.
Chłodny powiew wiatru znad Potomacu przeszywał mu płuca. Wyziewy z rur wydechowych szczypały go w oczy. Wszyscy kierowcy patrzyli na niego w osłupieniu. Nie zważając na nic, przemierzał wąski korytarz pomiędzy wystającymi lusterkami i poszerzanymi zderzakami. Myślał tylko o tym, żeby dogonić Angelę.
Powinien był się domyślić, że nie trzeba będzie jej doganiać.
Kiedyś, podczas krótkiego szkolenia na kierowcę, powiedziała mu, że dobry szofer powinien zawsze wiedzieć, co znajduje się przed nim, obok niego i za nim. Jack był o jakieś trzydzieści metrów od szewroleta, kiedy Angela zaciągnęła hamulec, otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta. Wiatr uformował z jej włosów ciemny, gęsty obłok.
- Jack! Co się stało? O Boże, chyba nie było kolejnej katastrofy?
Rzuciła mu się w ramiona, ściskając kurczowo rękawy jego garnituru. Z przejęciem zaglądała mu w twarz, szukając śladów wypadku.
- Bomba w samolocie? Terroryści zajęli lotnisko?

- Nie - wysapał, nieźle zdyszany po tym nie planowanym biegu. - Zadni terroryści.
- Więc co? Co się stało?
- Kocham cię.
- Co?
- Kocham cię - powtórzył. - Kocham cię. Tu i teraz. Na zawsze. Nie wyjadę z Waszyngtonu bez ciebie. Nie wyjadę w ogóle, o ile tego chcesz.
- Ale... ale...
Gdzieś za nimi rozległ się klakson. Jack nie zwracał na to uwagi. Podobnie jak kierowcy, którzy wysiedli ze swoich samochodów, aby asystować scenie, rozgrywającej się na samym środku wjazdu na most.
- Żadnych „ale", kochanie. Żadnych „może". Proszę cię, Angelo, uczyń twoją matkę i mnie szczęśliwymi. Wyjdź za mnie. Dzisiaj. Jutro.
- Ja... ja nie mogę!
Angela stanęła na czubkach swoich sportowych butów i zarzuciła mu ręce na szyję.
- Nie mogę wyjść za ciebie... nie mogę, dopóki nie wynajmiemy najdłuższej limuzyny Gusa, a ciocia Helen nie upiecze cannoli na wesele, a wujek Guido nie wydrukuje zaproszeń na ceremonię ślubną u Świętego Ignacego i... dopóki Michael nie zgodzi się przyjść i zaśpiewać na naszym ślubie.
Jack uniósł ją i przytulił mocno do serca.
- Ile to wszystko musi potrwać?
- Niedługo - odparła głosem pełnym nie skrywanej radości. - Jeżeli powierzymy organizację mojej mamie.
Ich usta połączyły się w długim pocałunku.

EPILOG

Lucy!

Słysząc wysoki, podekscytowany głos koleżanki, Lucy Falco wstała od biurka i pospiesznie udała się do głównej sali biura „Podróże Guliwera".

- Co się stało?

Srebrnowłosa Tiffany Tarrington Toulouse zerwała się na równe nogi i zaczęła gorączkowo wymachiwać formularzem rezerwacji.

- Nawet nie zgadniesz, jaki telefon przed chwilą odebrałam!

A więc w budynku nie wybuchł pożar i nie jest to kolejne włamanie! Lucy odetchnęła z ulgą.

- Dzwonił doktor Merritt! - krzyczała w podnieceniu Tiffany. - Pamiętasz ten luksusowy pakiet, który przygotowałam na jego podróż do Waszyngtonu? Ten, który musiałam anulować?

- Tak.

- Właśnie zamówił nowy pakiet wraz z wynajęciem limuzyny w korporacji „Tip-Top"! I to za pełną stawkę!

- Żartujesz!

- Nie. Zobacz!

Pozostałe pracownice biura zgromadziły się wokoło, żeby

posłuchać, jak drżącym z zachwytu głosem Tiffany czyta listę zamówień.
- Życzy sobie wynająć ich najdłuższą, prezydencką limuzynę. Tylko nie numer dwieście osiemdziesiąt sześć, bo to stary gruchot.
- Co?
- Tak powiedział. Dom Pérignon rocznik osiemdziesiąt sześć, a nie osiemdziesiąt trzy. Jedna czerwona róża w srebrnym wazonie. I - podsunęła pod nos swoje odręczne notatki - kaseta ze wszystkimi piosenkami, jakie kiedykolwiek nagrali Enrico Caruso, Mario Lanza i Placido Pavarotti.
- Chyba Luciano Pavarotti - poprawiła jedna z pracownic.
Tiffany lekceważąco machnęła ręką.
- Nieważne.
- A o co właściwie chodzi? Skąd nagle te pomysły? - zapytała Lucy, sięgając po różową kartkę.
- Nie uwierzysz - odpowiedziała z uśmiechem starsza koleżanka - ale on chce zabrać pannę młodą na nocną przejażdżkę po Waszyngtonie, zanim pojadą na miesiąc miodowy.
- Pannę młodą?!
- Żeni się! Jutro! Powiedział, że robi sobie spóźniony prezent walentynkowy.
W biurze zapadła cisza, którą przerwał ciepły śmiech Tiffany.
- To nie do wiary! Pięć wakacyjnych pakietów w ciągu pięciu miesięcy, a następnie pięć pakietów na miesiąc miodowy. „Podróże Guliwera" mają fantastyczna passę!
- Na to mi wygląda - przyznała Lucy.
- Cóż, nie będę przerywać dobrej passy - oświadczyła

radośnie Tiffany. - Jak tylko skończę z tą rezerwacją, zadzwonię do Hurnphreya. To jeszcze szczeniak, niespełna pięćdziesięciojednoletni, ale za to od lat nie widziałam bardziej ponętnych pośladków. Poza tym on mnie uwielbia. Po prostu za mną szaleje!
Sięgnęła do kalendarza, wypełnionego barwnymi fotografiami europejskich miast.
- Zobaczmy, co będzie następne? Aha! Dzień Świętego Patryka! Bardzo dobrze. Świetnie!
Odsuwając na bok koleżanki, Tiffany wróciła do swojego stanowiska. Wszyscy patrzyli na nią ze zdumieniem, a potem zwrócili wzrok na szefową. Lucy uśmiechała się, a jej ciemne oczy błyszczały radością.
- Tiffany Tarrington Toulouse iHumphrey Huffmeister, Irlandzkie święto narodowe i miesiąc miodowy w Irlandii, Idealnie! Wprost idealnie!